KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 10/168 1961



« La Culture » • Revue mensuelle •

Wł. MAZURKIEWICZ: **AMERYKA ŁACIŃSKA**

Cz. MIŁOSZ: **PO ZIEMI NASZEJ**

J. MIEROSZEWSKI: **KONIEC WIEKU LIBERALIZMU**

SPIS RZECZY

Władysław Mazurkiewicz: *Ameryka Łacińska* (I) 5
Aleksander Grobicki: *Rio des Mortès* 24
Marek Hłasko: *Powiedz im kim byłem* 33
Zygmunt Haupt: *Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali* 41



W.H. Auden: *Ach co to za głos* 46
Czesław Miłosz: *Po ziemi naszej* 48

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski: *Koniec wieku liberalizmu* 55
Bohdan Osadczuk: *Konferencja w Belgradzie* 63
BEO: *Wybory niemieckie* 65
Londyńczyk: *Kronika angielska* 68

KRAJ

Janina Miedzińska: *Niebezpieczny eksperyment* 76

SĄSIEDZI

Tadeusz Nowakowski: *Bezdomna lewica* 87
Berlińczyk: *Notatki berlińskie* 97

WOLNA TRYBUNA

Zygmunt Zaremba: *Istota rewizjonizmu sowieckiego* .. 103

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Sławoj Składkowski: *Ucieczka z Rumunii* 119
W.A. Zbyszewski: *Janusz Iliński* 128
— *Jules Laroche* 133

KSIĄŻKI

Gustaw Herling-Grudziński: *W szufladzie autora „Il Gattopardo"* 137
Aleksander Hertz: *O wartościach społecznych* 142
Wiktor Turek: *Trzy książki o Kanadzie* 144
Tymon Terlecki: *Polski tomista* 148
Tymon Terlecki: *„Stary Rapacki" i „Zimajerka"* 153
— *Nadesłane nowości wydawnicze* .. 158



Jerzy Stosius: *List do Redakcji* 160

KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Październik – Octobre 1961

NSTYTUT  LITERACKI

WPŁATY NA NAGROBEK DLA ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO

Józef Czapski, Maisons Laffitte	100,00 NF
Aniela Mieczysławska, New York	50,00 ,,
Gustaw Herling-Grudziński, Neapol	40,00 ,,
Jan Bielatowicz, Londyn	14,00 ,,
Maria Sołowij, Montreal	5,00 ,,
Redakcja ,,Kultury"	500,00 ,,



OD REDAKCJI „KULTURY"

Podajemy do wiadomości naszych czytelników, że od chwili obecnej wydawcą „Kultury" i książek z „Biblioteki KULTURY" jest INSTITUT LITTERAIRE S.a.r.l. (INSTYTUT LITERACKI) z siedzibą prawną: 91, Av. de Poissy, Maisons Laffitte (S.-et-O.). Dyrektorem statutowym (Gérant) Instytutu Literackiego jest redaktor „Kultury", Jerzy Giedroyc.

Zawiadamiając o powyższym pragniemy serdecznie podziękować „Libelli" w osobach jej géranta p. Christiane Karasiewicz i dyrektora Kazimierza Romanowicza za długoletnią harmonijną i koleżeńską współpracę.



Zwracamy uwagę naszych czytelników francuskich, *że wszelkie wpłaty z tytułu prenumerat i za zamówione książki należy wpłacać na konto pocztowe:*

INSTITUT LITTERAIRE, 91 Av. de Poissy
Mesnil le Roi par MAISONS LAFFITTE (S.-et-O.)
C.C.P. 18 228 56 — PARIS.



Zawiadamiamy jednocześnie, że dla wpłat zagranicznych *pochodzących zarówno od prenumeratorów „Kultury" jak i od przedstawicieli otworzyliśmy osobne konto pocztowe:*

INSTITUT LITTERAIRE, 91 Av. de Poissy
Mesnil le Roi par MAISONS LAFFITTE (S.-et-O.)
C.C.P. 18 228 38 — PARIS.

Imprimé en France

Ameryka Łacińska

(KOMENTARZ DO SPRAWY KUBAŃSKIEJ)

II *Historyczny rzut oka na stosunki Ameryki Łacińskiej ze Stanami*

Gabriela Mistral, laureatka nagrody Nobla, uważana za największą poetkę Ameryki Łacińskiej, pisze: ,,Co łączy nas w Ameryce Hiszpańskiej to nasz piękny język i nieufność do Stanów Zjednoczonych''. Drugi wybitny pisarz, Urugwajczyk, Józef Henryk Rodo w swym dziele ,,Ariel'', zajmującym naczelne stanowisko w literaturze urugwajskiej wyraża się o Amerykanach północnych, iż brak im umiejętności budzenia sympatii. ,,Nie lubię ich, pisze, lecz podziwiam''. Wreszcie bojownik o niepodległość Kuby Józef Marti, który dłuższy czas przebywał w Stanach Zjedn. i liczył tam wielu przyjaciół, w jednym ze swych artykułów zaznacza: ,,Pogardliwe stanowisko naszego potężnego sąsiada, który nas nie zna, stanowi największe niebezpieczeństwo dla naszej Ameryki i jest rzeczą absolutnie konieczną, ażeby nasz sąsiad nas poznał i to szybko, a wówczas nie będzie nami gardził''. Owa kwestia wzajemnego poznania i zrozumienia natrafiała zawsze i natrafia wciąż jeszcze na przeszkody wskutek różnic chrakteru, różnic kultur oraz różnic w systemach polityczno-społecznych. Niewątpliwie na te różnice wpłynęły również całkowicie odmienny skład ludnościowy Stanów i Ameryki Łacińskiej oraz odmienne tradycje co do sposobu rządzenia i problemów socjalnych. Podczas gdy Stany powstały z mieszaniny europejskiej przy oparciu o kulturę i zwyczaje angielskie, Ameryka Łacińska powstała z mieszaniny hiszpańskiej z Indianami, Murzynami, z dodaniem następnie licznych grup z kilku krajów europejskich. Ameryka Łacińska jest raczej kontynentem metysów w pierwszym rzędzie, zaś białych, Murzynów i Indian w drugim rzędzie. Podczas gdy Anglicy udali się za ocean w po-

szukiwaniu wolności politycznej i religijnej i rozpoczęli kolonizację na niewielkim początkowo obszarze, stwarzając przy tym, zgodnie z tradycjami jakie wynieśli ze swej ojczyzny, rządy oparte na władzach przez nich samych powołanych i dopiero później podjęli kolonizację wielkich obszarów na Zachodzie, Hiszpanie przybyli jako zdobywcy, w poszukiwaniu złota i bogactw z jednoczesną misją przymusowego nawracania pogańskich Indian. Rządzeni byli przez cały czas trwania kolonii w sposób absolutny przez władze nadesłane z Metropolii i prócz pewnych doświadczeń samorządu miejskiego nabytych przez tak zwane *cabildos,* kraje te były całkowicie pozbawione jakichkolwiek tradycji w rządzeniu. Kolonie hiszpańskie były ponadto eksploatowane przez Metropolię, czego nie podobna powiedzieć o koloniach angielskich. Pęd ku zdobyczom i awanturom pchnął Hiszpanów do natychmiastowego zagarnięcia całego kontynentu. Jak mówi znany pisarz Arciniegas, Stany rozpoczęły kolonizację, a później szły zdobywać. Odwrotnie Hiszpanie: przede wszystkim zajęli się zdobywaniem nowych terenów (niszcząc przy tym dawną kulturę indiańską), później dopiero pomyśleli o kolonizowaniu. Stany Zjednoczone uznały niepodległość krajów łacińsko-amerykańskich w roku 1822, odczekawszy aż znajdą się w posiadaniu obu Florid, to jest gdy przestało im zależeć na nie drażnieniu Hiszpanii. Oczywiście stosunek do walk sąsiadów południowych o wolność był w społeczeństwie amerykańskim od początku wysoce przyjazny, rząd jednak nie chciał się angażować zbyt szybko. W roku 1823 nastąpiło opublikowanie przez prezydenta Monroe doktryny, która do dziś dnia nosi jego imię. Zgodnie z tą doktryną spowodowaną częściowo przez ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, Canninga, Stany przyjęły dla swej przyszłej polityki trzy zasady: zasada niekolonizowania, to jest twierdzenie, iż kontynent amerykański nie może być w przyszłości terenem kolonizacji dla państw europejskich; zasada nie interwencji Europy w sprawy krajów amerykańskich, w szczególności niedopuszczenie do przeniesienia europejskich systemów politycznych na terytorium amerykańskie (chodziło tu o systemy monarchiczne); i wreszcie zasada nie mieszania się Stanów do wojen i konfliktów europejskich, czyli zasada tzw. izolacjonizmu. Doktryna Monroe miała olbrzymi wpływ na całą politykę amerykańską i obecnie, choć zmieniona, jest respektowana w dalszym ciągu, czego dowodem stanowisko do komunizmu jakie znalazło wyraz na konferencji w roku 1954 w Caracas, gdzie Foster Dulles powołał się na tę doktrynę.

Drugim czynnikiem odgrywającym zasadniczą rolę w polityce amerykańskiej do początków wieku dwudziestego, było hasło *manifest destiny.* Zgodnie z tym hasłem zmierzającym do opanowania przez Stany całego kontynentu północno-amerykańskiego (w swoim czasie były dość głęboko zakorzenione tendencje w społeczeństwie amerykańskim do przyłączenia Kanady) Stany, kosztem Meksyku, zwiększyły swój stan posiadania w latach 1846 do 1848 o milion kilometrów kwadratowych; po-

cząstkowo przyłączono Teksas, który po krótkim okresie niepodległości wypowiedział się za przyłączeniem do Stanów, co spowodowało następnie wojnę z Meksykiem, która skończyła się całkowitą przegraną tego kraju. Meksyk zmuszony był odstąpić Stanom Nowy Meksyk i Kalifornię i oczywiście zaakceptować wcześniejszą aneksję Teksasu. Owe *manifest destiny* znalazło następnie swój wyraz w przyłączeniu do Stanów, po zwycięskiej wojnie z Hiszpanią, Porto Rico i Filipin (przy czym Kuba była właściwie do roku 1934 protektoratem amerykańskim). Z biegiem czasu Stany dały całkowitą niepodległość Filipinom, które domagały się jej od początku, oraz weszły w specjalne stosunki z Porto Rico, które rządzi się samoistnie i jest połączone jedynie pewnymi węzłami ze Stanami, mogąc w każdej chwili, gdyby chciało, uzyskać całkowitą niepodległość. Wracając do doktryny Monroe należy podkreślić, iż nie zawierała ona zobowiązania ze strony Stanów wyrzeczenia się nowych zdobyczy na terenie amerykańskim, przeciwstawiała się ona tylko jakimkolwiek nowym zdobyczom przez kraje europejskie. Stosunek krajów łacińsko-amerykańskich do tej doktryny był różny. Obok osób, które wyrażały się o niej z uznaniem, większość uważała ją za pewnego rodzaju narzędzie do utrzymywania Ameryki Łacińskiej pod narzuconą im opieką. Jak się wyraził jeden z pisarzy argentyńskich, Ibarguren, było to coś w rodzaju ,,przymusowego braterstwa''. Doktryna Monroe nie była żadnym zobowiązaniem dwustronnym, było to oświadczenie dotyczące wyłącznie przyszłej polityki amerykańskiej, Doktryna Monroe broniła niewątpliwie kraje amerykańskie przed zaborczością Europy, ale była stosowana raczej w wypadkach, gdy było to w interesie Stanów. Tak np. w roku 1861 Stany przestrzegły Hiszpanię przed anektowaniem Santo Domingo, które zresztą nastąpiło za zgodą tego państwa i trwało bardzo krótko. Dzięki energicznej interwencji Stanów, które przeciwstawiły się tworzeniu monarchii w Meksyku z cesarzem Maksymilianem na czele i poparły przywódcę Meksykańczyków Juareza, wojska francuskie wycofały się z terenu meksykańskiego i Maksymilian po zwycięstwie Juareza przypłacił głową ów nieszczęsny pomysł Napoleona III. Podobnie Stany interweniowały w roku 1893, podczas sporu o granice między Wielką Brytanią i Wenezuelą, biorąc stronę Wenezueli i żądając arbitrażu, na co w końcu Anglia się zgodziła. Od tego czasu datuje się milczące uznanie przez Anglię doktryny Monroe. Natomiast Stany nie interweniowały z okazji zajęcia przez Wielką Brytanię wysp Falklandzkich, do których rości pretensję Argentyna. Ostatecznie, na ujemny stosunek krajów Ameryki Łacińskiej do doktryny Monroe wpłynęła interpretacja jaką jej dał zupełnie błędnie (co później zostało stwierdzone przez rząd Stanów) Teodor Roosevelt. Teodor Roosevelt stanął na stanowisku, iż dla uniknięcia interwencji europejskich w tych krajach Ameryki Łacińskiej w wypadku nie płacenia długów, wyrządzenia przez rządy tych krajów szkód obywatelom europejskim itp. Stany muszą stać się czymś

w rodzaju policjanta, pilnującego ażeby państwa te zachowywały się właściwie i spełniały swe zobowiązania. Trzeba przyznać, iż Roosevelt był popychany w kierunku tej polityki przez kraje europejskie. W ten sposób rozpoczął się w polityce amerykańskiej okres tak zwanych interwencji trwający blisko trzydzieści lat i który tyle szkód moralnych wyrządził Stanom na terenie Ameryki Łacińskiej. Interwencje te objęły prócz Kuby Panamę, Santo Domingo, Haiti i Nikaraguę. Osobne miejsce należy poświęcić Panamie, gdzie postępowanie prezydenta Stanów zostało zakwalifikowane przez historyka Bemis jako czarna plama w dziejach tego kraju. Jak wiadomo, Stany były zdecydowane zbudować kanał łączący Pacyfik z Atlantykiem i chciały przeprowadzić tę budowę na terytorium należącym do Kolumbii. Zawarto więc w roku 1903 odnośną umowę z Kolumbią, której parlament kolumbijski jednak nie ratyfikował. Prezydent Roosevelt wpadł w pasję. Zagrożono Kolumbii, iż Kongres poweźmie środki, które odbiją się ujemnie na tym kraju, to jednak nie pomogło. Przy pomocy przedstawiciela towarzystwa francuskiego budowy kanału panamskiego, zorganizowanego przez Lessepsa, wybuchła wówczas rewolucja w części Kolumbii, gdzie miał powstać kanał. Nie ma dowodów że rewolucja ta była spowodowana przez Stany, jednakże wysłały one natychmiast okręt wojenny, który nie dopuścił wojsk kolumbijskich, przybyłych dla stłumienia rewolucji i rewolucja dzięki temu zatriumfowała. Panama ogłosiła się osobnym państwem z którym Roosevelt natychmiast zawarł umowę o kanał, przy czym zgodnie z tą umową, obowiązującą do roku 1936, kiedy to została zmieniona przez Franklina Roosevelta, Panama stała się czymś w rodzaju protektoratu, Stany bowiem, na podstawie konstytucji tego nowego państwa, miały prawo interweniować na jego terytorium celem przywrócenia porządku konstytucyjnego i pokoju, a także gwarantowały niepodległość i suwerenność Panamy. Co do terytorium zajętego przez kanał, to rządzą tam Amerykanie z całkowitym wykluczeniem wykonywania przez republikę Panamy jakichkolwiek praw suwerennych. Ostatnio, jak wiadomo, Stany zgodziły się na zawieszenie na terenie kanału sztandaru panamskiego, który ma symbolizować, przynależność tego terenu do Panamy.

Interwencje we wspomnianych krajach były bądź zbrojne, dla przywrócenia porządku, ochrony życia i mienia obywateli amerykańskich, bądź w okresie wyborów, kiedy to przysyłano specjalne komisje, faktycznie uzależniając sprawowanie władzy przez tego czy innego prezydenta, od uznania go przez Stany. Interwencja połączona z faktyczną okupacją kraju trwała np w Haiti 19 lat, od 1915 do 1934 roku. Trzeba przyznać na usprawiedliwienie Stanów, iż stosunki w tych krajach były często zupełnie chaotyczne. W Haiti, w ciągu czterech lat, od 1911 do 1915, było sześciu prezydentów, z których niektórych zamordowano. W Nikaragui, interwencja zaczęła się w roku 1912 i trwała do r. 1925, po czym stacjonujący tam marynarze zostali

wycofani, ale wysłano ich znowu w r. 1927; ostatecznie opuścili Nikaraguę w roku 1933. Santo Domingo było pod okupacją Stanów od roku 1916 do 1920, następnie zaś, do 1924, przebywał tam oddział marynarzy. W Nikaragui w roku 1931 nastąpił bunt Sandino, wymierzony przeciwko tamtejszemu rządowi i popierającym go Stanom. Bunt ten cieszył się dużą sympatią w Ameryce Południowej. W 1934 roku Sandino został zamordowany. Prócz interwencji wojskowych i kontrolowania wyborów miały miejsce interwencje finansowe w postaci wyznaczenia przez rząd Stanów agenta finansowego w danym kraju, który miał za zadanie ściąganie opłat celnych. Część z nich szła na potrzeby kraju, reszta zaś na spłatę długów w bankach amerykańskich czy europejskich. Pierwszy taki układ został zawarty z Santo Domingo w roku 1905. Prócz tych interwencji, które odbijały się bardzo ujemnym echem w państwach Ameryki Łacińskiej, co znalazło między innymi swój wyraz na konferencjach panamerykańskich w Chile w roku 1923 i w Hawanie w roku 1928, nieufność do Stanów potęgowały niektóre nieopatrzne wystąpienia mężów stanu amerykańskich. W roku 1895 np., sekretarz departamentu Olney, oświadczył: ,,Stany Zjednoczone są w praktyce suwerenne na tym kontynencie i ich *fiat* jest prawem w stosunku do obywateli, do których się stosuje''. Podobnie Taft, będąc ministrem w rządzie Teodora Roosevelta, miał oświadczyć w roku 1906: ,,Granice Stanów *de facto* kończą się na Ziemi Ognistej''. Prezydent Wilson starał się, jak wiadomo, prowadzić politykę przyjazną w stosunku do krajów amerykańskich i niewątpliwie zdobył sobie sporo sympatii, ale i on kontynuował politykę interwencji; za jego czasów Pershing zajął Vera Cruz w Meksyku. Stosunki z Meksykiem podczas pierwszej wojny światowej były na ogół bardzo naprężone, jeszcze w roku 1923, po uznaniu prezydenta Obregona, Kellog zaznaczył, iż rząd Stanów gotów jest tak długo popierać rząd meksykański dopóki ten ochrania życie i mienie obywateli amerykańskich i wypełnia zobowiązania. Była to tak zwana *dollar policy*, zapoczątkowana przez Tafta, który wyciągał dłoń z dolarami w kierunku państw Ameryki Łacińskiej, ale podkreślał mocno ich obowiązek obrony mienia i życia obywateli amerykańskich i uważał, iż prawo międzynarodowe dopuszcza interwencję obcego państwa w wypadku gdy jego obywatele narażeni są na szwank.

Państwa amerykańskie odniosły się z wielkim zaufaniem do powstałej po pierwszej wojnie światowej Ligi Narodów, widząc w niej oparcie przeciwko presji ze strony Stanów. Wzięły w niej czynny udział i oddawały jej do rozpatrzenia swe spory. Niestety, jak wiadomo, Liga zawiodła. Wracając jeszcze do doktryny Monroe należy podkreślić, iż szereg państw południowo-amerykańskich, między innymi Argentyna, wystąpiło przeciwko artykułowi 21 paktu Ligi (który traktuje doktrynę Monroe jako zobowiązanie międzynarodowe) twierdząc — słusznie i zgodnie z samą interpretacją doktryny przez czynniki amerykańskie

— iż nie jest ona żadnym zobowiązaniem, a jedynie jednostronnym oświadczeniem Stanów, dotyczącym ich polityki.

Przejdźmy obecnie do tak zwanego panamerykanizmu, o którym jeden z pisarzy wyraził się, iż jest to związek słonia z mrówkami i jako taki niecelowy. Konferencje panamerykańskie rozpoczęły się z inicjatywy Stanów w roku 1889. Pierwsza ich faza, trwająca do roku 1933, miała wyłącznie na celu zbliżenie na polu handlowym, kulturalnym i prawniczym z nieomal zupełnym wykluczeniem spraw politycznych. Konferencje, jakie miały miejsce w tym czasie, zajęły się jednak sprawą pokojowego załatwienia sporów, jakie mogłyby wyniknąć między krajami amerykańskimi i w tym celu wypracowano szereg układów przewidujących sposoby ich załatwienia. W r. 1933, podczas konferencji w Montevideo, następuje fakt znamienny, a mianowicie przyjęcie zasady nie interwencji, na którą Stany, kierowane w swej polityce zagranicznej przez Franklina Roosevelta i Hulla, ostatecznie się zgodziły, co zostało uroczyście potwierdzone już po drugiej wojnie światowej na konferencji w 1948 r., w Bogocie. Polityka dobrego sąsiedztwa, proklamowana przez Roosevelta, w roku 1933 zaczęła wydawać owoce. Ustały wszelkiego rodzaju interwencje, skasowano poprawkę Plat, czyniącą z Kuby protektorat Stanów, przyznano całkowitą niepodległość Filipinom, oraz daleko idącą autonomię Porto Rico. W roku 1936 Roosevelt przybył do stolicy Argentyny, kraju który dotychczas odnosił się z nieufnością do Stanów, i był tam powitany entuzjastycznie. Rozpoczyna się nowy okres panamerykanizmu. Powstaje *de facto* sojusz między Stanami a krajami Ameryki Łacińskiej, sojusz którego najpełniejszym wyrazem jest, już po drugiej wojnie światowej, traktat w Rio de Janeiro w roku 1947, oparty na artykule 52 Karty Narodów Zjednoczonych. Podstawą jego jest zasada, iż jakikolwiek atak przeciwko integralności lub nienaruszalności terytorialnej lub przeciwko suwerenności lub niepodległości któregoś z państw amerykańskich będzie uznany jako akt agresji wymierzony przeciwko wszystkim pozostałym państwom. Każde z tych państw zobowiązuje się przyjść z pomocą napadniętemu, zgodnie z postanowieniami odnośnych organów konstytucyjnych, z tym jedynie zastrzeżeniem, iż żadne z państw nie jest obowiązane do użycia siły zbrojnej wbrew swej woli. W roku 1948, na konferencji w Bogocie, utworzono Organizację państw amerykańskich, której siedziba znajduje się w Stanach. Jej sekretarzem generalnym jest obecnie dyplomata urugwajski Mora Otero. Solidarność jaka zapanowała między krajami amerykańskimi na skutek nowej polityki Roosevelt i niebezpieczeństwa nazistowskiego, wyraziła się między innymi w wypowiedzi wojny lub zerwaniu stosunków dyplomatycznych i handlowych przez wszystkie kraje Ameryki Łacińskiej z państwami Osi, przy czym jednak Chile, a szczególnie Argentyna, uczyniły to pod presją. Podczas pierwszej wojny zachowały neutralność Chile, Argentyna, Meksyk, Kolumbia, Wenezuela, Salwador i Paragwaj.

II. *Sytuacja gospodarcza Ameryki Łacińskiej*

Cechami charakterystycznymi położenia gospodarczego krajów Ameryki Łacińskiej są: 1) produkcja oparta w głównej mierze na surowcach; 2) eksport i import — procentowo znacznie większe niż to ma miejsce w Stanach i Europie; 3) monokultura; 4) ogromne wahania cen, o ile chodzi o produkty będące przedmiotem eksportu; 5) brak kapitałów; 6) tendencje w kierunku uprzemysłowienia; 7) niski dochód na głowę mieszkańca.

Jeżeli chodzi o produkcję minerałów to Ameryka Łacińska produkuje czwartą część całej światowej produkcji miedzi. Pierwsze miejsce zajmuje Chile z potężnymi kompaniami *Anaconda Copper Company, Chile Copper Company* i *Andes Copper Mining Company,* poza tym w poważnych ilościach produkuje miedź Peru, gdzie wysuwa się na czoło *Cerro de Pasco Copper Company,* dalej idą Meksyk, Brazylia, Boliwia i Kuba. Ołów i cynk produkowane są w Meksyku i Peru. Cyna w Boliwii — której produkcja w roku 1929 doszła do 24 procent produkcji światowej. Chile produkowało do pierwszej wojny światowej dwie trzecie produkcji światowej saletry, następnie jednak, wskutek rozwoju przemysłu saletry sztucznej w Europie, produkcja ta spadła do 20 procent produkcji światowej. Ruda żelazna produkowana jest, choć w niewielkich ilościach, w Brazylii, na Kubie, w Argentynie, Peru, Wenezueli, w Chile i Meksyku, przy czym pokłady rudy w Brazylii mają należeć do największych na świecie. Węgiel kamienny wydobywany jest w Brazylii, Chile, Kolumbii, Meksyku i Peru w ilościach, z wyjątkiem Chile, nieznacznych, Brazylia produkuje bauksyt i manganez, ten ostatni w Mines Geraes i Matto Grosso. Peru produkuje 25 procent całej produkcji światowej bizmutu. Nikiel produkowany jest w Brazylii i na Kubie, chrom na Kubie, rtęć w Meksyku, Peru i Brazylii, antymon w Boliwii i Meksyku, vanadium w Peru, kryształy kwarcu w Brazylii, molybdenum w Meksyku i Peru. Tungsten w Boliwii, Brazylii i Peru; szmaragdy znajdują się w dużych ilościach w Kolumbii, Meksyk jest jednym z największych producentów srebra. Złoto wydobywa się w Meksyku, Kolumbii, Chile, Peru, Brazylii, Wenezueli, Ekwadorze, Boliwii i Nikaragua. O ile chodzi o naftę to Wenezuela zajmuje drugie miejsce w produkcji światowej, następnie idą Meksyk, (w swoim czasie zajmował on jedno z pierwszych miejsc w produkcji nafty, ostatnio jednak produkcja ta bardzo się zmniejszyła). Kolumbia, Argentyna — Peru, i w bardzo nieznacznych ilościach Brazylia, Boliwia, Ekwador i Chile. W dziedzinie rolnictwa i hodowli wysuwają się na pierwszy plan: kawa z Brazylią jako największym producentem na świecie, po czym idą Kolumbia i kraje Ameryki Centralnej, cukier — z Kubą na czele, republiką Dominikańską, Brazylią, Argentyną, Peru, Meksykiem i niektórymi krajami Ameryki Centralnej); bawełna produkowana jest w dużych ilościach w Peru, Brazylii, Meksyku

oraz w mniejszych w Argentynie i Paragwaju, kakao produkuje Brazylia, Ekwador, kraje Ameryki Centralnej. (Te ostatnie otrzymały miano krajów bananowych, przy czym prym trzyma tutaj Honduras). Argentyna, Urugwaj, Wenezuela, Meksyk, Kolumbia i Brazylia produkują zboże i artykuły hodowlane, w pierwszym rzędzie mięso, skóry i wełnę. Paragwaj, Brazylia, kraje Ameryki Centralnej Meksyk i Kuba produkują też tytoń, zaś Brazylia, Kolumbia, Peru, Wenezuela i Ekwador kauczuk, który w swoim czasie stanowił jeden z głównych artykułów eksportu brazylijskiego. Argentyna znana jest też z produkcji *quebracho*. Co do przemysłu, to w roku 1954 40 procent całej produkcji przemysłowej przypadało na Argentynę i Meksyk, drugie zaś 40 procent na Brazylię, Kolumbię i Wenezuelę, od tego jednak czasu wzrósł bardzo przemysł w Chile i częściowo też w Urugwaju. Szereg krajów stara się rozwinąć przemysł stali i żelaza, w szczególności należy wymienić powstałą w Brazylii w roku 1941 hutę ,,Volta'' Redonda w stanie Mines Gerais, przy pomocy amerykańskiego *Export Import Bank*'u, który udzielił na ten cel pożyczki w wysokości 45 milionów dolarów. Poza tym fabrykacja stali zaczyna rozwijać się w Kolumbii, Chile, Peru, Meksyku, Argentynie i Wenezueli. W Meksyku w szczególności zasługuje na uwagę *Compania Fundidora de Fierro y Acero w Monterrey*, posiadająca najnowsze urządzenia. Wzrost produkcji stali w krajach Ameryki Łacińskiej wyniósł w ciągu czterech lat, od 1950 do 1954, blisko milion ton (z 2,6 milionów ton do 3,5 milionów). Z innych przemysłów rozwijają się: przemysł tekstylny w szczególności w Meksyku, na Kubie, w Brazylii, Argentynie i Urugwaju, przemysł skórzany, przemysł cementowy w Argentynie, Urugwaju, Chile, Kolumbii, Wenezueli i Meksyku, przemysł chemiczny, przemysł automobilowy w Argentynie, Brazylii i Meksyku. Oczywiście mamy też w większości krajów amerykańskich mniej lub więcej rozbudowany przemysł spożywczy i w ogóle konsumpcyjny, dla potrzeb miejscowych. W niektórych krajach istnieją specjalne organizacje, mające na celu rozwój przemysłu. Do najważniejszych należy *Corporation de fomento* w Chile, której to organizacji zawdzięcza się wydatne zwiększenie działalności przemysłowej w tym kraju; ostatnio zaczęto tam fabrykować papier różnego gatunku, m.in. też papier gazetowy. W Kolumbii istnieje organizacja zwana *Instituto de fomento industrial*, w Meksyku zaś *Nacional financiera* itp. Według danych zaczerpniętych z biura statystycznego Narodów Zjednoczonych ogólna wartość przemysłu krajów Ameryki Łacińskiej w roku 1953, w stosunku do wartości wyrobów przemysłowych na świecie, nie licząc Sowietów, wynosiła skromną cyfrę, 3,4 procent. Wartość przemysłowa na głowę mieszkańca była zbliżona do 35 dolarów. Tym niemniej, według tego samego źródła, produkcja przemysłowa na głowę mieszkańca wzrosła od roku 1948 do 1957 o 40 procent. Podobny wzrost dla Stanów Zjednoczonych wyniósł 42 proc., dla Europy zaś 75 do 80 procent. We-

dług innych danych, wzrost wartości przemysłu w krajach Ameryki Łacińskiej od 1945 do 1953 wyniósł 65 procent, od 7 miliardów do 11,5 miliardów dolarów.

Przechodząc obecnie do handlu tych krajów, eksport ich dotyczy artykułów wymienionych wyżej w dziale produkcji, przy czym jednak rzucają się tu w oczy dwa fakty. Pierwszy, to znacznie większy udział procentowy tych krajów w handlu zagranicznym niż to ma miejsce w Stanach lub Europie. Dla większości krajów łacino-amerykańskich wartość ich handlu zagranicznego w stosunku do dochodu narodowego waha się od 40 do 60 procent. W krajach Ameryki Centralnej, na Kubie, w republice Dominikańskiej, Wenezueli, Peru i Ekwadorze ów stosunek dochodzi do 80 procent, podczas gdy dla Stanów procent ten wynosi 10, dla Francji, Niemiec Zachodnich i Italii 20 do 30. Dowodzi to jak wielką rolę odgrywa w gospodarce danych państw handel zewnętrzny. Drugi fakt, który bije w oczy gdy przypatrzymy się statystyce ich eksportu, to oparcie tego eksportu na jednym artykule. Tak w Wenezueli 93 procent dochodów z eksportu przypada na naftę, w Salwadorze 83 procent na kawę, w Kolumbii 77 procent na kawę, w Gwatemali 73 procent na kawę, w Haiti 70 procent na kawę, w Brazylii 67 procent na kawę, na Kubie 82 procent na cukier, w Chile 67 procent na miedź, w Boliwii 56 procent na cynę i w Hondurasie 54 procent na banany. Na ogół na 20 państw Ameryki Łacińskiej 11 opiera ponad 50 procent swego eksportu na jednym artykule, sześć na dwóch artykułach. Owa monokultura jest zjawiskiem niewątpliwie niebezpiecznym i niezdrowym. Dowodem tego Chile, które w swoim czasie opierało nie tylko swój eksport lecz całą swoją gospodarkę finansową na saletrze i z dnia na dzień znalazło się wobec zamknięcia rynków zbytu na ten produkt. Ujemne strony monokultury potęguje jeszcze fakt niesłychanej oscylacji cen na szereg artykułów będących przedmiotem handlu latino-amerykańskiego. Tą sprawą cen zajmiemy się niżej. Na ogół kraje Ameryki Łacińskiej starają się iść w kierunku możliwej w danych warunkach industrializacji. Na przeszkodzie jednak stoją tu brak węgla, żelaza i nafty — z wyjątkiem niektórych państw, poza tym brak miejscowych kapitałów, niedostateczne środki komunikacji przy ogromnych przestrzeniach i bardzo słaba wydajność miejscowego robotnika. W chwili obecnej rolnictwo pochłania od 50 do 70 procent pracujących w większości krajów latino-amerykańskich. W Haiti więcej niż 70 procent, podobnie w Gwatemali i Hondurasie, natomiast w Chile, Argentynie i Urugwaju mniej niż 30 procent. Przeciętnie, biorąc całość tych krajów, na rok 1955 przypadało w rolnictwie 50,7 procent, w przemyśle i kopalnictwie 15,7 procent. W ciągu jednak dziesięciu lat od 1945, rolnictwo absorbowało jedynie 4 miliony ludności, reszta zaś zajęć — 9 milionów. W szeregu krajów daje się zauważyć ucieczka ludności ze wsi do miast. Czwarta część ludności w Argentynie zamieszkuje wielkie Buenos Aires, zaś w Urugwaju trzecia część Montevi-

deo. Stosownie do danych zawartych w dziele ekonomisty chilijskiego Pobleto Troncoso, procent ludności aktywnie pracującej w krajach Ameryki Łacińskiej jest na ogół niższy niż w Stanach i Europie, co oczywiście wpływa ujemnie na ich produkcję. Wreszcie, co do dochodu rocznego na głowę mieszkańca, ogólny dochód narodowy roczny wynosi w krajach Ameryki Łacińskiej 1/8 dochodu Stanów. Według danych zebranych w roku 1950 przez komisję Narodów Zjednoczonych dla Ameryki Łacińskiej przeciętny dochód na głowę mieszkańca wynosił 240 dolarów, przy czym niektóre kraje figurują z cyfrą znacznie wyższą i vice-versa. Tak Argentyna figuruje z 395 dolarami i podobnie Urugwaj, Chile 350 dolarów, Kuba 290 dolarów, Brazylia 210 dolarów, Gwatemala 150, Ekwador 130, Meksyk 115, Peru 95 a Paragwaj, Nikaragua i Boliwia 90. Jak widać, z jednej strony niektóre kraje mają dochód zbliżony do Włoch, podczas kiedy inne stają na równi z Indiami. Na zakończenie tego rozdziału (do niektórych tu poruszonych spraw wrócę jeszcze poniżej) pragnę zaznaczyć, iż ogromna większość krajów latino-amerykańskich cierpi obecnie na inflację związaną z drastycznym spadkiem ich walut. Dla przykładu wezmę Chile, gdzie waluta w ciągu dwudziestu lat, od 1940 do 1960, spadła z 31 pezów za dolara do 1000 pezów za dolara. (Ostatnio nastąpiła sanacja waluty przy przyjęciu wartości dolara 1000 pezów. Stosunek ten utrzymuje się od dłuższego czasu). W Urugwaju nastąpił spadek waluty z dwóch pezów za dolara dziesięć lat temu do 11 pezów. Podobnież spadek na wielką skalę, choć mniejszy niż w Chile, daje się zaobserwować w Argentynie i Brazylii. Oczywiście pociąga to za sobą ogromny wzrost cen wszystkich artykułów i powoduje zamieszania natury socjalnej w formie strajków itp. Wszystko to sprawia, iż kraje te przechodzą kryzys gospodarczy, który odbija się na ich polityce i zmusza rządy do coraz większej ingerencji w stosunki ekonomiczne kraju. Z jednej strony zachodzi potrzeba uzdrowienia finansów państwowych i postawienia gospodarki kraju na realnym gruncie, z drugiej strony pociąga to za sobą coraz to większą drożyznę połączoną z nieustającymi żądaniami podwyżki płac, która wywołuje nową drożyznę i tak w kółko.

III. *Stosunki socjalne*

Wybitny pisarz kolumbijski German Arciniegas w swej niedawno wydanej książce *Entre la libertad y el miedo* („Między wolnością i strachem") mówi o dwóch Amerykach:

„Jedna jest to Ameryka widzialna, druga jest niewidzialna. Ameryka widzialna wypowiada się za pośrednictwem organizmów oficjalnych, za pośrednictwem prasy rządowej, jest to Ameryka prezydentów i ambasadorów. Istnieje też inna Ameryka, milcząca, przytłumiona, która stanowi

obszerną rezerwę dla rewolucji. Ameryka widzialna musi demonstrować swój zapał demokratyczny, podpisując dokumenty dotyczące swobód".

Pod Ameryką niewidzialną rozumie oczywiście Arciniegas masy ludności żyjące w fatalnych warunkach. Mówi on o nich w innym miejscu:

,,Amerykanie łacińscy są niezadowoleni, zawiedzeni... Choroby tropikalne, złe odżywianie, brak oświaty. Przez długi okres czasu w ciągu bieżącego wieku chłopi żyli w warunkach nie lepszych niż te, w których znajdowali się Indianie przed Kolumbem. W tym stanie rzeczy szereg republik siedzi na wulkanie. Rosja przynosi wartości, które z punktu widzenia rewolucyjnego są pozytywne, jedną z nich jest nienawiść. Istnieje powszechne pragnienie nowego porządku. Lud chce produkować więcej, zarabiać więcej, żyć lepiej. Kraje ekonomicznie niedorozwinięte są to kraje, które nadają się do rewolucji. One to czują potrzebę zmian. Wśród peonów (prostych robotników) źle odżywianych, źle opłacanych, źle traktowanych demagodzy mogą siać dynamit...".

Nie da się zaprzeczyć, iż w wielu krajach panują stosunki niemal kolonialne. Oligarchie, składające się w większości z potomków Europeczyków, rozciągają swą władzę połączoną częstokroć z uciskiem nad masami ludności złożonej z Indian lub mieszańców, utrzymywanych w stanie kompletnego zacofania, nędzy, zabobonów, jednym słowem jak najbardziej prymitywnym.

Wojna o wyzwolenie spod spuścizny kolonialnej toczy się wciąż jeszcze w Ameryce Łacińskiej. Toczy się raczej na płaszczyźnie ideologicznej i kulturalnej, niż przy pomocy oręża. Postęp w tej dziedzinie ma miejsce przez oczyszczanie terenu od dyktatur, konsolidowanie reżymów demokratycznych, modernizowanie sposobu życia. Pęd ku industrializacji jest jednym z aspektów tej kampanii. Istnieją w rzeczywistości jak gdyby dwa systemy ekonomiczne, co widać nawet tu, w Urugwaju. Znaczne ilości ludności żyją swym życiem po wsiach, całkowicie izolowane od żyjących we względnym dobrobycie miast. Drugi pisarz, Argentyńczyk, Emanuel Ugarte zaznacza, iż rewolucja w Ameryce Południowej dokonała się w interesie elity kolonialnej.

,,Miasta położone nad brzegiem morza ustanowiły swe panowanie nad ludnością przebywającą wewnątrz kraju. Kraje te zorganizowały się antydemokratycznie i rewolucje i rozruchy, jakie często miały miejsce, były wyrazem protestu przeciwko centralizmowi i absorbowaniu przez miasta życia politycznego".

Miało to też związek z problemami rasowymi, nie żeby istniały w Ameryce Łacińskiej przesądy rasowe. W każdym razie są one bardzo nieznaczne. Faktem jest jednak, iż z pewnymi wyjątkami, elementy należące do białej rasy, które według opinii profesora peruwiańskiego Luis Alberto Sanchez stanowią wszy-

stkiego 25 procent ludności Ameryki Łacińskiej (1) (reszta zaś są to w większości metysi i mulaci, tudzież kilkanaście milionów Murzynów i kilkanaście milionów Indian) zagarnęły w swe ręce władzę i własność ziemi, podczas kiedy metysi stali się raczej rzemieślnikami, drobnymi właścicielami, urzędnikami w przedsiębiorstwach prywatnych, robotnikami i funkcjonariuszami drugiej lub trzeciej kategorii, Indianie zaś tworzyli kadry zwykłych robotników. Jak wiadomo, kraje z przewagą procentową Indian to Boliwia, Peru, Ekwador, Gwatemala i Meksyk. Kraje z przewagą ludności mieszanej, metysów, to Wenezuela, Kolumbia, Paragwaj, Chile (2), Honduras, San Salvador, Nikaragua, Santo Domingo. Brazylia ma liczyć 40 procent ludności białej, 15 procent Murzynów, 35 procent mulatów, 9 procent metysów i 1 procent Indian. Kuba i Panama mają ludność mieszaną biało-murzyńską i nieco metysów, Argentyna, Urugwaj i Costa Rica mają ogromną przewagę ludności białej, przy czym Urugwaj jest prawie całkowicie krajem europejskim (to jest z ludnością pochodzenia europejskiego).

Zanim omówię sytuację w niektórych poszczególnych państwach, pozwolę sobie przytoczyć jeszcze opinię wypowiedzianą przez osobę, która podobnie, a może jeszcze w większym stopniu niż Arciniegas, zasługuje na całkowite zaufanie. Jest to biskup chilijski Emanuel Larrain, który tak charakteryzuje większość krajów latino-amerykańskich:

„Arystokratyczny klan, który wywodzi się z czasów kolonialnych i który zachował do chwili obecnej psychologię klasy rządzącej. Plutokracja, która nie zawsze zgadza się z arystokracją na ogół pochodzącą z europejskiej lub lewantyńskiej klasy kupieckiej. Brak silnej klasy średniej. Lud, produkt pomieszania ras o niskim poziomie intelektualnym i ekonomicznym. Rozwój wielkich posiadłości ziemskich obok klasy chłopskiej, która z punktu widzenia socjalnego jest niedorosła. Słabość więzów rodzinnych. (Jak wiadomo, w Ameryce Łacińskiej jest mnóstwo dzieci nieślubnych). Problem Indian. Straszne nierówności socjalne, powyżej wzmiankowane, olbrzymie masy proletariatu, lub zbliżone do proletariatu, które żyją w warunkach nieludzkich, stałe tolerowania wielkich posiadłości ziemskich połączone z reżymem feudalnym w zonach rolniczych, brak poczucia odpowiedzialności socjalnej wśród wielu katolików, którzy korzystają z wygodnej pozycji ekonomicznej — są to czynniki, które zmuszają nas do szybkiego powzięcia decyzji odnośnie reform społecznych".

Weźmy dla ilustracji Wenezuelę, kraj gdzie obecnie demokratyczny rząd Betancourt stara się przeprowadzić pewne reformy i gdzie zgodnie z wypowiedzią członka wyższej hierarchii duchownej Rafaela Arias Blanco, olbrzymia masa ludu żyje w

(1) Biorąc pod uwagę znaczną emigrację europejską do Argentyny, Urugwaju i Południowej Brazylii, ilość ta wydaje się zbyt niską i winna być zwiększona o jakieś 5-10%; niektórzy przy obliczaniu ludności białej dochodzą nawet do 44%.

(2) W Chile ilość ludności białej jest wszakże stosunkowo znaczna.

warunkach, których nie podobna określić jako ludzkie. Ilustruje ten stan rzeczy 90 tysięcy opuszczonych dzieci. Jeden z pisarzy, Edwin Lieuven, pisze:

„Masy ludności w Wenezueli są dzisiaj biedne, niezdrowe, niepiśmienne, żyją w warunkach jak najbardziej prymitywnych. Państwo jest coraz bogatsze, naród jest w nędzy".

Obok tej nędzy widzimy szereg milionerów zamieszkujących pałace. Dochód na głowę mieszkańca wykazuje jednak według danych Narodów Zjednoczonych, 480 dol. Tłumaczy się to niesłychaną nierównością tego dochodu wśród poszczególnych warstw ludności i poszczególnych dzielnic kraju. Inny kraj, Peru, gdzie czterdzieści rodzin sprawuje kontrolę ekonomiczną państwa. Na 9 milionów mieszkańców mamy milion białych, 4 miliony Indian zamieszkujących w górach (Sierra) 4 miliony metysów i blisko 100 tysięcy Chińczyków. Nad nieszczęsnym położeniem Indian utrzymywanych w stanie feudalnym biadali wybitni pisarze peruwiańscy jak Emanuel Prada, Mariategui Haya de la Torre itp. Podczas gdy dochód przeciętny na głowę ludności w Limie dochodzi do 445 dolarów, w pozostałych częściach kraju wynosi 50 dolarów. Większość tych Indian, stojących całkowicie poza życiem politycznym i ekonomicznym kraju, nie mówi nawet po hiszpańsku. Boliwia, gdzie dokonano ostatnio pewnych reform, to kraj w 55 procentach zupełnie indiański, gdzie 40 procent dochodu wydaje się na *chicha* (mocny napój, coś w rodzaju wódki). W 1953 roku konsumpcja *chicha* w jednej z prowincji Boliwii wyniosła 979 butelek na dorosłego mężczyznę i kobietę. Zgodnie z danymi ekonomisty chilijskiego Poblete Troncoso, tylko 10 procent ludności nosi obuwie skórzane. Rolnictwo znajduje się w stanie wysoce zacofanym. Standard życiowy robotnika boliwijskiego jest niezmiernie niski. Zarabia on 33 procent tego co się uważa jako minimum egzystencji. Cierpi na niedożywienie, brak odzieży i mieszkań. W roku 1940 śmiertelność dzieci wyniosła 299 promil. W Kolumbii istnieje wielki przedział między poszczególnymi warstwami społeczeństwa. Wyższe sfery tworzą coś w rodzaju kasty, opartej na pochodzeniu i traktują sfery niższe z lekceważeniem i prawie pogardą. W rękach ich znajduje się też większość ziemi. W Chile wspomniany wyżej Poblete Troncoso dokonał ankiety wśród 3383 osób ze sfer ludowych, przy czym okazało się, iż 403 osoby spożywa dziennie przeciętnie 2 tysiące do 2 tysięcy 400 kalorii, 922 osoby od 1500 do 2000 kalorii i 370 mniej niż 1500, istnieją nawet grupy osób z ilością kalorii dochodzą wszystkiego do 979. Na ogół tenże ekonomista zaznacza, iż w Chile 28 procent ludności jest niedożywiona, zaś 40 procent odżywia się niedostatecznie. W Ekwadorze ilość osób z wykształceniem i kulturą jest bardzo nieznaczna.

Panuje powszechna bieda. Choroby tropikalne, suchoty, niewłaściwy podział ziemi, brak ludności na wielkich połaciach

kraju gospodarczo nierozwiniętych. Masy proletariatu wiejskiego, brak dróg, słaby rozwój oświaty, przedział między częścią kraju górzystą i morską. W Haiti, które jak wiadomo jest republiką murzyńską, istnieje podział na elitę, która wynosi 3 procent ludności, i resztą kraju. Elita nie pracuje fizycznie, mieszka w miastach, mówi po francusku. Elita posiada w swym ręku rząd, wojsko oraz wpływy gospodarcze. Wszystko to jest niedostępne dla mas, przy czym kto ma jaśniejszą cerę tym łatwiej może dostać się do grona elity. Gdyby jakiś rząd okazywał zbyt wiele zainteresowania masami, to spotkałby się ze zdecydowaną opozycją owej elity, która nie chce tracić swego uprzywilejowanego stanowiska. Jest to oczywiście młyn na wodę rewolucjonistów. Również w Panamie, sąsiadującej tak blisko z Amerykanami, mieszkającymi w zonie kanału, sytuacja jest bardzo ciężka. Analfabetyzm, nędza, fatalne warunki mieszkaniowe, brak urządzeń elektrycznych i niepewne warunki polityczne. W Brazylii większość ludności żyje na bardzo niskim poziomie. Jedna czwarta rodzin posiada stały deficyt, gdyż trzy czwarte ich zarobku pochłania wyżywienie (3). W Meksyku, pomimo dokonanych dość poważnych reform, sytuacja mas jest nadal ciężka, jak o tym świadczy list pasterski biskupów meksykańskich z roku 1951, który głosi: ,,Mamy wielkie masy naszego ludu, które żyją jak ekskomunikowani wyłączeni z dobrodziejstw społeczeństwa, nie stanowią części integralnej wspólnoty ludzkiej, tak wielka jest nędza, w której żyją''. Nie będę kontynuował tych przykładów, które wydają się dostateczne dla zrozumienia warunków egzystencji szerokich mas w większości krajów Ameryki Łacińskiej. Oczywiście warunki te w Ameryce Centralnej nie są lepsze, a częściowo jeszcze gorsze. Kilka słów tylko chciałbym powiedzieć o warunkach mieszkaniowych, które dotyczą również i Argentyny oraz Urugwaju. Dane poniższe są zaczerpnięte z książki wielokrotnie cytowanego ekonomisty Pobleto Troncoso. W Argentynie na 950 tysięcy rodzin, 424 tysiące 122 mieszkało w jednym pokoju, przy czym 349 rodzin składało się z 12 osób, 3859 z ośmiu do jedenastu osób i 36241 z sześciu do ośmiu osób. Wiele pomieszczeń są to *ranchos* (chałupy) z gliny pokrytej cynkiem lub słomą. W Chile 28 procent ludności żyje w warunkach mieszkaniowych wysoce prymitywnych, jedna trzecia mieszkań w ogóle, w Santiago w szczególności, posiada warunki niezdrowe. W Kolumbii wypada przeciętnie trzy do sześciu osób na pokój, 68 procent rodzin mieszka w jednym pokoju, 80 procent domów nie ma wody i światła. Konsumpcja elektryczności jest wyjątkowo niska w Ameryce Łacińskiej — 350 kwh na głowę mieszkańca (w Stanach przypada 4500 kwh, w Europie Zachodniej 1600 kwh).

Dwie plagi, które szczególnie dają się we znaki w krajach

(3) Szczególnie groźny jest stan w północno-wschodniej części kraju, gdzie dochód na głowę mieszkańca zredukowany jest do 112, 84 i nawet 30 dolarów rocznie.

Ameryki Łacińskiej i które są obecnie przedmiotem szczególnej troski, to analfabetyzm i tak zwane latyfundia, to jest niewłaściwy podział własności ziemi z krzywdą dla mas, co czyni koniecznym przeprowadzenie we wszystkich absolutnie krajach reformy rolnej. Odnośnie analfabetyzmu to pozwolę sobie podać poniżej dane statystyczne oparte na roczniku statystycznym Narodów Zjednoczonych. Nie wiem czy dane te są ścisłe, mam wrażenie, na zasadzie innych źródeł, iż są zbyt optymistyczne. Według nich w Argentynie, Urugwaju, Chile i Costa Rica procent analfabetów, biorąc całość kraju, jest poniżej 20. Na Kubie, Panamie i Paragwaju (4) poniżej 30 i ponad 20, w Kolumbii i Ewadorze między 30 a 40, w Wenezueli, Brazylii i Republice Dominikańskiej powyżej 40 i poniżej 50, w Salvadorze, Boliwii, Hondurasie i Gwatemali powyżej 55 do 70 i w Haiti 86. Co do Kuby na przykład, to niektóre osoby, które przybyły ostatnio stamtąd dowodzą, iż liczba analfabetów wynosi połowę ludności czyli 50 procent. Oczywiście należy to położyć na karb propagandy, mimo to jednak ilość podana w cytowanej statystyce, 22,5 procent, wydaje się zbyt niska. Również co do Brazylii niektórzy podają ilość analfabetów na 80 procent. Mam jednak wrażenie, iż odnosi się to do niektórych części kraju położonych na północy. Na ogół analfabetyzm jest skoncentrowany na wsiach, gdzie procent ich jest znacznie wyższy niż podają powyższe cyfry. W wielu wsiach brak zupełnie szkół, w innych mieszczą się one w nędznych bundynkach bez okien. Nawet w Urugwaju otwarta niedawno wystawa szkoły publicznej wykazała fatalne warunki pomieszczeń szkolnych w poszczególnych częściach kraju. Poza tym, o ile chodzi o szkoły początkowe, daje się zauważyć we wszystkich tych krajach daleko idący absenteizm. W Brazylii na przykład zaledwie szósta część dzieci uczęszczających do szkoły w pierwszym roku dochodzi do roku czwartego. I tu w Urugwaju daje się zauważyć podobne zjawisko, choć w nieco mniejszym zakresie.

Latyfundia są zjawiskiem powszechnym we wszystkich krajach Ameryki Łacińskiej. W Argentynie 85 procent ziemi jest w rękach posiadaczy, których majątek ziemski przekracza 500 hektarów. Pięciuset właścicieli ziemskich włada 18 procentami ziemi i zaledwie półtora procent gruntów należy do drobnych właścicieli posiadających farmy mniejsze od 50 hektarów. W prowincji Buenos Aires jest 50 posiadłości o obszarze przekraczającym 75000 akrów czyli zajmujących więcej niż 15 procent całości gruntów. Kilkunastu z nich władają każdy przeszło 250000 akrami ziemi, a jeden posiada przeszło milion akrów. W Chile 70% ziemi należy do 1,5% właścicieli, 64 procent ziemi jest w rękach właścicieli, z których każdy ma przeszło 5000 hektarów, jest ich ogółem 570. Zaś tylko 1,8 procent ziemi składa się na drobne farmy wielkości mniej niż 50 hektarów. W Brazylii 8 procent ludności jest w posiadaniu 73 procent ziemi. Na

(4) Według innych danych w Paragwaju ma być do 60% analfabetów.

ogół można powiedzieć na podstawie przybliżonych danych, iż dwie trzecie ziemi w Ameryce Łacińskiej jest w rękach obszarników lub co najmniej większych właścicieli i że wielkie masy ludności wiejskiej są bądź całkowicie pozbawione ziemi, bądź są jej dzierżawcami, bądź wreszcie posiadają ilości zbyt nikłe, ażeby móc wyżywić siebie i rodzinę.

Na jeden jeszcze fakt należy zwrócić uwagę mówiąc o stosunkach socjalnych w Ameryce Łacińskiej, gdyż wpływa on zasadniczo na podział dochodu narodowego. Jest to niesłychany wzrost ludności na tych terenach. Poczynając od roku 1920 ludność dwudziestu republik amerykańskich wzrosła o 95,6%. Tymczasem w tymże okresie ludność Stanów i Kanady wzrosła o 52,9% zaś ludność światowa o 46,5% czyli ludność krajów latino-amerykańskich rośnie dwa razy szybciej niż ludność światowa. Komplikuje to oczywiście niesłychanie jakąkolwiek akcję w dziedzinie poprawy warunków bytu tej ludności.

IV. *Obecne stosunki między Stanami Zjednoczonymi a Ameryką Łacińską*

A. Stosunki gospodarcze

Stosunki gospodarcze między Stanami a Ameryką Łacińską uległy znacznemu rozwojowi poczynając od pierwszej wojny światowej i spotęgowały się jeszcze bardziej po drugiej wojnie. Podczas kiedy poprzednio prym zarówno w handlu jak też inwestycjach w krajach Ameryki Łacińskiej trzymała Europa i w pierwszym rzędzie Anglia, po pierwszej i drugiej wojnie światowej berło pierwszeństwa przechodzi w ręce Stanów Zjednoczonych i odnosi się to nie tylko do handlu, ale również do inwestycji.

Udział Stanów w eksporcie do krajów Ameryki Łacińskiej w latach od 1901 do 1910 wynosił 12% całego eksportu Stanów, w latach od 1931 do 1941 — 17% i w latach 1951 do 1955 — 22,4%. Udział w tymże ostatnim okresie Stanów w imporcie pochodzącym z Ameryki Łacińskiej wynosił 33,2% całego importu Stanów. Eksport z krajów Ameryki Łacińskiej do Stanów wynosił w roku 1939 — 518 milionów dolarów, zaś w roku 1952 — 3410 milionów dolarów. W 1956 Ameryka Łacińska eksportowała do Stanów artykułów w wysokości 46% całego jej eksportu i importowała ze Stanów produktów, których wartość wyniosła 50,3% jej importu. Jeżeli chodzi o poszczególne kraje, to udział Stanów w eksporcie Panamy, Gwatemali, Meksyku, Kolumbii, Kuby i Hondurasu wyniósł przeszło 60% ich eksportu, przy czym o ile chodzi o Panamę ów procent doszedł do 94,8, Meksyk 72,9 i Kubę 64,7. Udział Stanów w eksporcie Ekwadoru, Boliwii, Brazylii, Costa Rica, Republiki Dominikańskiej, Salvadoru i Chile wynosił od 40 do 60% ich eksportu, przy czym na Brazylię przypadło 49,6%. Wene-

zuela, Peru i Haiti eksportowały do Stanów produkty wartości od 30 do 40% całego ich eksportu, zaś Paragwaj, Argentyna i Urugwaj od 10 do 20%. Jeżeli chodzi o udział Stanów w imporcie tych krajów, to pierwsze miejsce zajmuje tu Meksyk, którego import ze Stanów wyniósł 78,2% całego jego importu. Na drugim miejscu stała Kuba z 76,2% całego swego importu. Z krajów Ameryki Południowej Ekwador, Wenezuela, Kolumbia, Peru i Boliwia figurują od 49,5 do 61,6%. Udział w imporcie Brazylii nie był stosunkowo tak wielki i wyniósł 28,8%. Wreszcie Argentyna, Urugwaj i Paragwaj importowały produktów amerykańskich w ilościach mniejszych niż 20% całego swego importu. Jeżeli pominąć Urugwaj i Argentynę, których węzły handlowe z Europą są mocniejsze, to średnio otrzymamy, iż Stany partycypują w 72,5% całego eksportu krajów Ameryki Łacińskiej i w 51,5% ich importu. Cały obrót handlowy z Ameryką Łacińską waha się w granicach 7 miliardów dolarów, przy czym zasługują szczególnie na uwagę artykuły uważane za strategiczne, które są eksportowane z Ameryki Łacińskiej do Stanów, co miało doniosłe znaczenie podczas wojny. John Cabot, który przez pewien czas pełnił funkcje podsekretarza stanu do spraw Ameryki Łacińskiej, cytuje jako artykuły strategiczne: cynk, miedź, ołów, cynę, naftę, manganez, rudę żelazną, vanadium, kryształy kwarcu, bauksyt, nikiel, quebracho. Cytowany przeze mnie wyżej Arciniegas podkreśla, iż Ameryka Łacińska dostarcza Stanom 97% całego ich importu antymonium, 63% miedzi, 53% cyny, 95% kawy, 87% cukru, zaś otrzymuje ze Stanów 58% wszystkich importowanych maszyn, 46% motorów, 37% produktów chemicznych, 40% tekstylii, 30% stali i żelaza i 36% mąki. Do wymienionych najważniejszych artykułów eksportu latino-amerykańskiego należy jeszze dorzucić banany i częściowo wełnę. Wobec tak wielkiego udziału Ameryki Łacińskiej w handlu ze Stanami, wszelkie zmiany czy to opłat celnych czy ustanowienie kwot, wahania cen odbijają się fatalnie na całej gospodarce tych państw, powodując dla nich nieraz bardzo wielkie straty. Do sprawy tej powrócimy w następnym rozdziale. Tu nadmienię jedynie dla przykładu, iż fakt ustanowienia kwot na cynk i ołów produkowane przez Meksyk i Peru (początkowo była mowa o nałożeniu na te artykuły cła, czego jednak udało się uniknąć) spowodował, iż import ołowiu ze wspomnianych krajów spadł z 521 tysięcy ton do 354 tysięcy 720 ton, cynku zaś z 795 tysięcy ton do 520 tysięcy 900 ton.

Przechodzimy obecnie do sprawy inwestycji. W roku 1914 wartość obcych inwestycji w Ameryce Łacińskiej wynosiła ogółem 8,5 miliardów dolarów, z czego na Wielką Brytanię przypadało 3,7 miliardów dolarów, na Stany 1,7, na Francję 1,2 i na Niemcy 900 milionów dolarów. Przed wybuchem drugiej wojny światowej wartość całości inwestycji w Ameryce Łacińskiej była oceniana na 9 miliardów, z czego na Anglię przypadało 4 miliardy i na Stany 3,5 miliardów. Jak widzimy, Stany choć nie zajmowały jeszcze pierwszego miejsca, to jednak pod-

woiły swe inwestycje, które w roku 1956 doszły do 7 miliardów, (a obecnie do 8 miliardów) z czego na Wenezuelę przypadało 1 miliard 800 milionów, (obecnie 2 miliardy 800 milionów) na Brazylię 1 miliard 200 milionów, na Kubę 774 miliony, na Chile 677 milionów, na Meksyk 675 milionów i wreszcie na Argentynę 470 milionów. Owe siedem miliardów odnoszą się oczywiście do kapitału prywatnego. Poczynając od roku 1950 inwestycje zmieniły swój kierunek. Mianowicie w tym roku inwestycje wynosiły ogółem 4,74 miliardów dolarów, z czego w nafcie umieszczono 1,4 miliarda, w transporcie, komunikacji, urządzeniach publicznych 1 miliard, w górnictwie 628 milionów i w rolnictwie 520 milionów. Od tego czasu kierunek inwestycji przerzuca się na wyroby fabryczne i handel. Tak w roku 1956 mamy inwestycje w nafcie w wysokości 2 miliardów, wyrobach fabrycznych 1,5 miliarda, górnictwie 1,1 miliarda, w rolnictwie 632 miliony i w handlu 495 milionów. W szczególności kapitał amerykański był w posiadaniu 35% przemysłu cukrowego na Kubie, kontrolował przemysł naftowy w Wenezueli, Kolumbii i Peru, miedź w Chile i Peru, cynk i ołów w Meksyku, kopalnie rudy żelaznej w Wenezueli, kopalnie manganezu w Brazylii, tungstenu w Boliwii. *American Foreign Power Company* posiada 11 filii w krajach Ameryki Łacińskiej. Podobnie posiadają szereg filii *First National City Bank, Bank of Boston, Chase Manhattan Bank*. Na szczególną uwagę zasługuje *Grace Company*, założona w Peru, która dzisiaj jest właścicielką wielkiej floty handlowej, fabryk tekstyliów, plantacji cukru, rafinerii, fabryk papieru itd. Posiada 11 tysięcy urzędników, z czego 50% to Amerykanie i działa w krajach Pacyfiku, oraz *United Fruit Company* która rozwinęła swą działalność w krajach Ameryki Centralnej, gdzie spotkała się z gwałtowną nieraz krytyką. W rękach tej kompanii skoncentrowana jest większość handlu tych krajów, posiada ona obszerne połacie ziemi w Hondurasie, Costa Rica, Kolumbii, Gwatemali i Panamie. Jak wiadomo, głównym przedmiotem jej eksploatacji są banany, których plantacje posiada w wymienionych krajach, w szczególności zaś w Hondurasie. Poza tym jednak jest ona właścicielką kolei w Costa Rica, Hondurasie i Panamie, posiada linie okrętowe pod nazwą *Great White Fleet* i w ogóle kontroluje środki komunikacji w większości krajów Ameryki Centralnej. Siłą rzeczy rozporządza wielkimi wpływami, które rozciągają się na rządy tych krajów. Na usprawiedliwienie jej działalności Amerykanie powołują się na budowę przez nią instytucji użytku publicznego, jak szpitale, tudzież wskazują, iż w jednym roku pozostawiła, prócz zarobków robotników, 123 miliony dolarów w dziesięciu krajach Ameryki Łacińskiej w formie podatków i innych świadczeń. W roku 1955 — 30% eksportu krajów Ameryki Łacińskiej powstało z operacji kampanii amerykańskich, ich udział w produkcji fabrycznej tych krajów wyniósł 15% wartości tej produkcji. Miliard dolarów zapłaciły kampanie amerykańskie tytułem podatków i półtora miliarda zaoszczędziły na imporcie.

70% eksportu chilijskiego, 97% eksportu wenezuelskiego i 55% eksportu Costa Rici pochodzą z działalności kampanii amerykańskich. Należy też mieć na względzie, iż kampanie naftowe oddają obecnie 60% swych zysków do rozporządzenia rządu Wenezueli, podobnie w Costa Rica *United Fruit Comp.* oddaje rządowi 35% zysków.

Dotychczas mówiliśmy o kapitale prywatnym, obok tego kraje Ameryki Łacińskiej korzystają, w dużej mierze dla celów rozwoju gospodarczego, z kredytów *Export Import Banku* w Waszyngtonie oraz *World Bank* — Banku światowego, gdzie przeszło trzecia część kapitału pochodzi z funduszów amerykańskich. Operacje *Export Import Bank* rozpoczęły się w roku 1934. Do roku 1957 ilość kredytów oddanych do dyspozycji krajów Ameryki Łacińskiej wyniosła dwa i pół miliarda. Co do Banku Światowego, to do końca roku 1957 udzielił on 72 pożyczki piętnastu krajom latino-amerykańskim, na ogólną sumę 745 milionów dolarów, z czego na Brazylię przypadło 182 miliony i Meksyk 152 miliony. Kredyty te przeznaczone są na budowę dróg, kolei, portów, finansowanie importu maszyn, na cele górnictwa, elektryczności itp. Wreszcie innym jeszcze źródłem napływu kapitałów do danych krajów są pożyczki i subwencje pochodzące od rządu Stanów. Ilość ich wyniosła, poczynając od drugiej wojny światowej do roku 1954, 1,1 miliardów, zaś w okresie od 1954 do 1956 390 milionów, nie licząc kwot przeznaczonych na pomoc wojskową. Oczywiście pomoc ta jest korzystniejsza dla wspomnianych krajów, gdyż koszt jej jest o wiele mniejszy niż korzystanie z kapitału prywatnego. Wreszcie kilka słów należy poświęcić tak zwanej pomocy technicznej, znanej pod nazwą ,,punkt czwarty''. Odnośna agencja Stanów dostarcza techników, specjalistów tudzież cały ekwipunek, natomiast kraj zainteresowany opłaca siły miejscowe i inne wydatki lokalne. Programy obejmują działy zdrowia, oświaty, rolnictwa, przemysłu jak również komunikacji, organizacji administracji publicznej itp. W roku 1954 było w 19 krajach Ameryki Łacińskiej 550 techników. Ogółem wydano na pomoc techniczną do roku 1958 włącznie, 157 milionów dolarów (w ciągu siedmiu lat). W tym ostatnim roku wydano między innymi na cele sanitarne przeszło 6 milionów, na pomoc techniczną w rolnictwie przeszło 15 milionów i na cele oświaty przeszło 5 milionów. Zorganizowano szpitale, ośrodki zdrowia, przeprowadzono kampanie przeciwko malarii, kształcono miejscowy personel sanitarny, udzielono pomocy w organizacji szkół normalnych (dla nauczycieli).

Montevideo, czerwiec 1961.

Władysław MAZURKIEWICZ

(*Dokończenie nastąpi*)

Rio des Mortès

Strumień poczynał się na urwistych stokach *Sierra Madre* — Matki Gór, kręgosłupu Kontynentu. Rysowały się na horyzoncie siną, drapieżnie zygzakowatą linią, niczym rogaty grzbiet dinosaurusa, i wypukłymi żebrami w prawo i w lewo sięgały Oceanów.

Za górami tymi codziennie, z przedziwną regularnością, od tysięcy lat na kamiennym kalendarzu ustaloną przez ludy pamiętane już tylko w legendzie, chował się *Tonacatecutil,* Bóg-Słońce. Zza gór tych, modlitwą i ofiarami w okresach suszy wzywane, wyłaniały się czarne chmury, tropikalną ulewą napęczniała i fajerwerkami błyskawic trzaskające, sługi *Czak,* Boga Deszczu. Wśród gór tych wreszcie dymiły wulkany, siedziby Bogów rozmaitych. I od czasu do czasu pomruk boskiego gniewu lub grzmot złości rozchodził się w *terra caliante,* i ziemia falowała niczym morze, a ciemności nocy rozwidniała krwawa, pulsująca łuna.

Srebrną nitką po stromym zboczu, tęczową wstążką wodospadów po urwiskach, wśród nagich głazów i po skąpym krzakiem tylko porosłej ziemi spływał strumień w dół. W cieniu piniowych świeczników, w kaskadach wesoło skacząc po kamiennych półkach i szemrząc w zawody z ptactwem zmieniał się z kolei w spieniony i rozhukany potok. I wpadał w gorące niziny, gdzie wiecznie wilgoci spragniona dżungla przyjmowała go otwartymi, zielonymi ramionami, niczym kochanka. Biegu jego nie ograniczała żadnym brzegiem, skałą na drodze sterczącą czy szczeliną górską bieg potoku mylącą. Wstrzymywała tylko jego gwałtowne i niepohamowane pieszczoty masą splątanych korzeni i zwalonych pni,

---

Rio des Mortès jest wstępem do książki przygotowywanej przez Al. Grobickiego (Red.).

gęsta siatka lian i liści, chcąc jak najdłużej kochanka miłować, wody jego pić.

Pozbawiony spadku i brzegów, powstrzymany w rozpędzie, od słońca odgrodzony dachem splątanych gałęzi — potok tracił werwę i energię, rozleniwiał się, wałkonił i brzydł. Z tęczą okraczonej, melodią rozszumiałej i srebrem rozpienionej wstążki zmieniał się w brunatną płachtę Rzeki. Gładka jak lustro jej sinozielona tafla zdawała się stać bez ruchu. Porastały ją łopuchy, szuwary i zielska rozmaite. Pod płytką taflą wody kryła bezdenne bagno mułu. Lepkimi, cuchnącymi językami rozlewisk sięgała w najczarniejsze ostępy. Leniwie, bez pośpiechu przedzierała się przez gąszcz, nieczuła już na piękno przeglądających się w niej orchidei, kłapiąc paszczami aligatorów, brzęcząc chmurami moskitów, wrzeszcząc głosami wyjców i ptactwa zamieszkującego zwisające nad nią i kąpiące się w niej drzewa. Z gwałtownego i namiętnego kochanka-potoku przekształcała się w ospałą żywicielkę dżungli i stworzeń od niepamiętnych czasów ją zamieszkujących.

Aż wreszcie dobiegała kresu wędrówki. Hołubiąca ją dżungla rozwierała ramiona, unosiła zieloną spódnicę i Rzeka niespodziewanie stawała w obliczu swojego przeznaczenia — Oceanu. I wpadała do niego, delikatnie falą głaskana lub brutalnie przypływem odpychana, rozgniewana i spieniona tym traktowaniem, gdy w porze deszczowej wodą nabrzmiała, spokojna i potulna gdy w mizerny strumyk suszą zamieniona. Ale zawsze, konsekwentnie wlewając swoje słodkie, zamulone wody do morskiego zbiornika.

...Dawno, bardzo dawno temu, za potokiem tym, zza gór, w tę dżunglę i nad tę Rzekę przywędrowali pierwsi ludzie. Śmieszne, dwunogie, bezwłose stworzenia, w kamienne toporki i dzidy miast w zęby i pazury uzbrojone. Parła ich naprzód ciekawość, koczownicza natura i wiecznie pusty brzuch. Dżungla nad Rzeką obfitowała w zwierzynę, w ryby, w owoce. Zakoczowali więc w niej, a później, gdy w ślad za nimi, dotarła cudowna sztuka uprawiania kukurydzy — osiedli. Nie musieli już myśleć tylko o zdobywaniu pożywienia. Ogniem wypalone i toporkami wykarczowane poletka zazłociły się życiodajnymi kiściami. Nie trzeba już było wędrować dalej, szukać dalej. Natomiast za tak cudownie wypełnione brzuchy trzeba było podziękować Bogom. Poczęły więc wyrastać ponad dżunglę piramidy, po których stopniach człowiek piął się ku Słońcu i na których szczycie składał mu ofiary błagalne lub dziękczynne. A wokół piramid człowiek budował pałace dla swoich kapłanów, z nieba i znaków boskich czytających kiedy rolnik ma siać a kiedy zbierać swoje plony. W dzikiej dżungli nad Rzeką rodziła się pierwsza cywilizacja.

Dżungla jednak, poszczerbiona toporkami, przewyższona piramidami, kawałkami wchłaniana przez obce sobie, ludzkie pazyty, nie poddawała się. Czaiła na skraju poletka, za rogiem pałacu, za bambusowym szałasem — czyhając na chwilę nieuwagi czy lenistwa ludzkiego — by natychmiast obejmować z powrotem w swoje zielone, wilgotne posiadanie zrabowany jej szmat czy piędź ziemi. Ta zażarta, nieustępliwa walka natury z cywilizacją trwała lat z górą tysiąc — tyle bowiem czasu potrzeba było by człowiek zrozumiał, że dżungli nie pokona. I tak jak niegdyś nagle do niej zza gór przywędrował tak nagle ją opuścił. Bez uprzedzenia, bez wypowiedzenia. Na pastwę żarłocznej natury pozostawił cały swój kulturalny i cywilizacyjny dorobek, piramidy, pałace, wspaniałe pomniki chwały i klęsk przeżywanych, i powędrował dalej, w inne kraje, nad inne Rzeki i morza.

Dżungla nad Rzeką opustoszała. Szybko dywanem swoim pokryła zadane jej rany i powróciła do pierwotnego stanu. Wilgotna, duszna, zielona i straszna. I chociaż nie wszyscy ludzie ją opuścili, chociaż garstka upartych, leniwych lub wypędzonych z gromady pozostała — rychło ich przydusiła, zielonym pułapem od Boga-Słońca odgrodziła i sprowadziła z powrotem na ścieżki prymitywu, na których już nie przeszkadzali jej jak nie przeszkadzały wyjce na drzewach czy aligatory w Rzece.

I zdawało się, że nic ani nikt nie zakłóci więcej spokoju dżungli, Triumfującej i Niepokonanej. I trwało tak lat znowu blisko tysiąc.

...Aż jednego dnia, u ujścia Rzeki, na złotej plaży odgradzającej granatowy Ocean od zielskiem porosłych lagun, moskitami rozbrzęczanych rozlewisk i ptactwem rozwrzeszczanej dżungli wylądowali *konkwistadorzy*. Brodaci, słońcem spaleni, bliznami pokryci i potem śmierdzący, opancerzeni zdobywcy, szukający nowych ziem do podboju, nowych ludów do wyzysku, złota, srebra i *chalchuites* — drogich kamieni.

El-Capitan, dowódca wyprawy, postawiwszy nogę na nieznanym lądzie, donośnym głosem wziął Rzekę i ziemie wokół niej położone w posiadanie swojej Królewskiej i Katolickiej Mości. Ascetyczny mnich zatknął w piasek czarny krucyfiks i odprawił przed nim pierwszą nad Rzeką Mszę Świętą. Na lizanej morskimi falami wydmie nowi przybysze wznieśli prymitywną *barbacana* a w jej obrębie drewniany *castillo,* mający być bazą wypadowa wypraw po łupy. Po czym wsiedli w łodzie i popłynęli w górę Rzeki — po złoto, z którego naszyjniki i kolczyki zrobione mieli Indianie schwytani na skraju dżungli. Rychło jednak powrócili... Usłużna Rzeka wyrzuciła ich sczerniałe i opuchłe trupy na plażę u stóp zatkniętego w niej krzyża. Załoga *castillo* w popłochu uciekła na statek i odpłynęła na Hispaniolę, gdzie w raporcie do

wice-króla Rzekę nazwali jak należy: *Rio des Mortes* — Rzeką Umarłych.

I taką już pozostała.

...Miasto, które się u jej ujścia rozsiadło, powstało w blisko sto lat później. Inne wyprawy zdobywcze, bardziej szczęśliwe czy przez lepszych kapitanów prowadzone, odkryły po tamtej stronie gór ziemie bogate we wszystko czego pożądała chciwa dusza *konkwistadora.* Początkowo jednak bogactwa te, by znaleźć się w skarbcu królewskim lub w okutej, rodzinnej skrzyni *hidalgo* odbywać musiały długą i niebezpieczną drogę dookoła gór, poprzez dżungle południa, zamieszkałe przez Indian posługujących się zatrutymi strzałami, lub przez naszpikowane wulkanami wyżyny północy, rządzone przez zachłannych Rycerzy Świętego Jakuba. Toteż blisko sto lat minęło nim kraj okoliczny lepiej poznano, dzikich Indian wymordowano lub nawrócono, żołnierzom i *campesino* utorowano drogą przez dżunglę. Stwierdzono wówczas, że transport łupów zza gór daleko szybciej i taniej — jeżeli nie bezpieczniej — można kierować ku morzu i czekającej na nim *armadzie,* właśnie przez *Rio des Mortes.*

Powstała wówczas pierwsza o Rzece piosenka: *Cata las aguas de Mortes, Do van a dar on la Mar...*

U ujścia Rzeki, na tejże samej piaszczystej wydmie, na której stał niegdyś drewniany *castillo,* wzniesiono murowaną już warownię, mającą strzec portu i skarbów doń Rzeką, na łodziach i tratwach spławianych i na *galeony* „Złotej Flotylli" ładowanych — przez grasującymi na morzu piratami. A wokół samego portu — zapewniającego dobrobyt, i wokół *castillo* — strzegącego mienia i życia, karczując po trochu dżunglę i zasypując omszałe rozlewiska, poczęli osiadać nowi ludzie:

M e t y s i — pomiot zetknięcia się dwóch cywilizacji, dwóch ras. Z gór i z dżungli przez Indian (swoich „po kądzieli") jako trefni przepędzeni, u boku *hidalgo* krewniaków „po mieczu" (twardych jak żelazo andaluskich pancerzy i dumnych jak *quetzal,* rajski ptak dżungli) szukając wzorów do naśladowania i miejsca do życia — w Mieście nad Rzeką wznosili drewniane lub bambusowe *rancha.* Pogardzani przez wszystkich ale potrzebni.

Emerytowani, bliznami pokryci i na wojnach czy wyprawach łupieskich wzbogaceni w o j a c y , dla których surowy klimat i surowe życie w zamorskiej Ojczyźnie były już nie do zniesienia, i którzy w otoczeniu swoich indiańskich *mujer,* czekoladowych z nimi dzieci i gromady sług w spokoju i dobrobycie zakończyć pragnęli burzliwe życie; oraz a g e n c i kupców i domów handlowych, którzy w Nowym Świecie widzieli podstawę swojego bytu, przyszłości i bogactwa — budowali murowane *haciendy* i *casy,* do złudzenia przypominające ich rodzinne do-

mostwa z herbami zdobnymi, okapami, niskimi a chłodnymi podcienami i *patiem* w środku.

U r z ę d n i c y i p r z e d s t a w i c i e l e Vice-króla, *rico hombres* z przyrodzenia, pełni pychy i dostojeństwa, stawiali pałace o wspaniałych portykach i wyszukanych rzeźbach. Planowali je sławni architekci na Śródziemnomorskich tradycjach wychowani a budowali indiańscy rzemieślnicy przechowujący we krwi tradycję budowniczych piramid Boga-Słońca. Do pałaców tych ich właściciele sprowadzali z dalekiej Ojczyzny dzieła sztuki oraz bladolice, jedwabiami i koronkami szeleszczące *donie* — żony i córki.

M n i s i — z żarliwym fanatyzmem, i pogardą życia niosący wiarę chrystusową wśród pogańskich Indian, oraz twardą ręką Świętej Inkwizycji utrzymujący Ją wśród bogactwem i walką o nie skorumpowanych poddanych Jego Katolickiej-Mości — własnymi rękoma wznosili wspaniałe Domy Boże, patronom zakonów lub prowincji poświęcone, oraz klasztory i szkoły przy nich, mające wychować przyszłe pokolenia krzewicieli Słowa, i *hospitalaria* mające ich zachować przy życiu.

I I n d i a n i e, uciekinierzy z dżungli, w której za jakieś przestępstwa wobec własnego plemienia czy własnych bogów śmierć ich czekała, lub z której wywiodła ich ciekawość poznania innego życia i innych ludzi; a później już nieco M u r z y n i — uciekinierzy spod okrutnego Kata-plantatora, też mieszkańcy dżungli tyle że innej, afrykańskiej, z której ich w kajdanach zakutych za Ocean wywieziono — lepili z błota lepianki, lub z trzciny i portowych odpadów stawiali szałasy.

Tak powstawały w Mieście *barrios* — dzielnice: *rico hombreo* i *mendigos,* bogaczy i nędzarzy, tych co mieli skrzynie pełne *pesos de oro* i tych co żebrali o kawałek *tortillas,* tych których herby rodowe zdobiły okapy i odrzwia *casas* i tych których jedynym herbem był inny kolor skóry. I powstawały składy portowe pełne towarów spływających Rzeką zza gór lub Oceanem z dalekiej Macierzy. I knajpy portowe obok nich pełne *marineros, soldatos* i *muchachas,* dziewczyn wyrzuconych lub wyświechtanych z innych, większych, starszych i bogatszych miast i portów.

...Niejednokrotnie zdawało się, że Miasto nad Rzeką przestanie istnieć. Napadali je i plądrowali piraci. Trawił ogień. Druzgotały tajfuny. Zalewały potężne fale wybuchami wulkanów w morzu zrodzone. Dziesiątkowały zarazy z dżungli czy z szerokiego świata zawleczone. Ale wobec tego, że Rzeka była jedyną drogą łączącą wnętrze kraju z jego oknem na świat — Oceanem, Miasto u jej ujścia położone skazane było na istnienie.

Rosło więc i bogaciło się. Tworzyło tygiel, w którym żyli obok siebie i krzyżowali się z sobą przedstawiciele wszystkich ras

świata. Indianie, Hiszpanie, Metysi, angielscy, francuscy i holenderscy piraci, afrykańscy Murzyni i amerykańscy już Mulaci, Żydzi, Portugalczycy, Chińczycy nawet i Arabowie, z odległych stron tutaj handlowymi wiatrami zagnani. Rodziło bohaterów i bandytów. Piękne córy bogatych kupców i powabne córy koryntu. Okrutnych dyktatorów, dzielnych wojaków i nędznych zdrajców.

Po kilkusetletnim panowaniu *konkwistadorów* i po krwawych walkach niepodległościowych zakończonych wypędzeniem okupantów z powrotem za morze — Miasto stało się głównym portem nowej Republiki. I z kolei, w ciągu co święto nieomal wybuchających rewolucji, było nawet kilkakrotnie stolicą kraju, gdy urzędował w nim prezydent przepędzony z właściwej stolicy za górami położonej, lub popasał udający się na jej zdobycie pretendent. Zaznała rządów międzynarodowych *filibustierów,* usiłujących w pojedynkę, wzorem *konkwistadorów* zdobywać kontynent, zaznało bombardowań flot „sprzymierzonych" z tym prezydentem czy tamtym pretendentem. Zdawało się więc, że nie mogło narzekać na nudy. A jednak, było miastem leniwym, jak Rzeka nad którą się rozkraczyło, sennym jak dżungla do której się plecami wypięło, i ociężałym jak powietrza, którym oddychało.

...Pierwszą Wojnę Światową Miasto przespało — natomiast Druga sen ten przerwała na kilka lat. Rzeka, w której dotychczas roiły się tylko aligatory, zaroiła się nagle stateczkami i barkami spławiającymi wydobywany w dżungli kauczuk, a w górach półszlachetne kamienia, i jedne i drugie niezbędne dla wojennego przemysłu Północnej Ameryki. Oczywiście zjawili się i sami Amerykanie a z nimi ich *jude-boxy, coca-cola,* guma do żucia i zielony dolar, który z miejsca Miastem zawładnął i zmusił go do szybszego życia i wydajniejszej pracy. Z dnia na dzień poczęły powstawać nowe fortuny lub odradzać się stare — a w ich cieniu rosła nadnędza, każdej fortuny druga strona medalu. Miasto ściągało kapitał i ściągało męty, z dżungli, zza gór, z innych miast i portów łatwym życiem i amerykańskim złotem zwabione. Przeżywało swoją *bonanze.*

Ale wojna rychło się skończyła. Odpłynęli Amerykanie, i odpłynęły z nimi dolary, co ładniejsze dziewczyny i co gorsze męty. Miasto i Rzeka otrząsnęły się ze zgiełku i parazytów (niczym niegdyś dżungla z pierwszych w niej ludzi) i pogrążyły z powrotem w niczym już niezamąconą, całodzienną *siestę.* Nad Rzeką wprawdzie w dalszym ciągu czuwał, przez *loco americanos* odnowiony *castillo,* armatkami wydobytymi przez nurków z dna morza (gdzie je piraci niegdyś zatopili) symbolicznie strzegąc portu, odgrodzonego od fal betonowym molem — również przez szalonych *americanos* wybudowanym. Ale sam port był znowu, jak dawniej, przystanią tylko dla niewielkiej floty rybackiej, odwie-

dzanym dosyć nawet regularnie przez „bananowe" statki amerykańskiej firmy owocowej i od czasu do czasu, w sezonie, przez luksusowe statki turystyczne. Z wojennych knajp portowych, rozkrzyczanych niegdyś *jude-boxami* i amerykańskimi „G-1" — nie pozostało śladu. Ostały się tylko marynarskie, a w nich tradycyjna *marimba* i *guitarra,* smrodliwa *aguardiente* i przemycana whiski, oraz czekoladowe, ani zgrabne ani ponętne miejscowe *muchachas.*

...Po wąskich uliczkach, przez budowniczych miasta niegdyś sznurem w szachownice wytyczanych, pozbawionych chodników i kocimi łebkami brukowanych, kłapią znowu, jak niegdyś, sennie i monotonnie, sandały *peonów* i kopytka osłów. Przez nieliczne, drewnianymi kratami zawarte okna widać mroczne wnętrza, o zadymionych, belkowanych pułapach i kamiennych posadzkach, staroświeckim sprzętem umeblowane. Tyle, że nie mieszka już w nich dumny *hidalgo* i jego niemniej dumna *donia* — ale tłusty *mestizo* i jego w kształty obfita *mujer.* Przez drewniane wrota, opatrzone w żelazne, misternie kute kołatki, zajrzeć można w *patia,* kąpiące się w słońcu, bzykające owadami i skrzeczące papugami, pełne kwiecia, z fontanną pośrodku wykładaną kolorowymi kafelkami i chłodnymi krużgankami dokoła, z małpką na łańcuszku i uroczą *senioritą* w hamaku, czytającą hiszpański romans i słuchającą radia ryczącego *cza-cza.* To dawne rezydencje *rico hombres,* gęstą masą słońcem spalonego kamienia otaczające główny plac miejski, *zocalo.* Na nim, z jednej strony wiekiem pochylona, trzęsieniami ziemi cudacznie skrzywiona i huraganami nadgryziona, samotną wieżą stercząca i 400 lat sobie licząca katedra. Z drugiej *palacio municipal,* z podcieniami wspartymi szeregiem bałyłkowatych kolumn, z kamiennymi lewkami i tablicami herbowymi u bramy, niegdyś siedziba przedstawiciela Vice-króla, a dzisiaj siedziba gubernatora portu, Miasta i Prowincji. Z trzeciej koszary *guardia nacional,* nowoczesne, betonowe monstrum, z wieżyczkami z których sterczą lufy karabinów maszynowych, ze strzelnicami miast okien, z wartą w stalowych hełmach, spadochroniarskich butach i z automatycznymi pistoletami pod pachą. Z czwartej wreszcie, pod arkadami, pseudo nowoczesna restauracja i kawiarnia, dla wygody turystów i miejscowej *inteligencia* pozostawiona, ze stolikami na chodniku, z drewnianymi straganami przekupniów przy jezdni, z żebrakami wyciągającymi dłonie i czyścicielami butów wyciągającymi szczotki i szmatki.

Pośrodku *zocalo,* otoczona starymi drzewami, sadzonymi jeszcze przez *konkwistadorów* gwoli ocienienia placu i oszczędzenia sobie kłopotu budowania szubienic — rotunda na orkiestrę, żelazna, potwornie wiktoriańska, a wokół niej kamienne ławki, na których wyryta data i nazwisko ofiarodawcy, miejscowego boga-

za szukającego poklasku tłumów. A naprzeciw katedry, św. ranciszkowi poświęconej, jako że braciszkowie Mniejsi własnoęcznie ją stawiali — pomnik Narodowego Bohatera, pierogiem pióropuszem powiewającego z rozbrykanego rumaka. Bohater en, na skraju Miasta, nad Rzeką, w bambusowym *rancho* urodzoy, przepędził z kraju Hiszpanów i równo sto lat temu został rzez oswobodzonych rodaków, na plaży, u stóp *castillo* rozstrzeany. Sprzeciwił się bowiem, by inny, współczesny mu i konkuencyjny bohater był prezydentem Republiki. *Sic gloria...* Z czaem, gdy ów prezydent okazał się tyranem, mordercą i złodziejem, sam z kolei (tyle, że nie na złocistej plaży lecz pod obdrapaym murkiem klasztoru) stanął przed plutonem egezekucyjnym odaków — poprzedniego Bohatera jego rodzinne Miasto i wdzięzna Republika wyniosły na piedestał.

Po ostatniej Wojnie Światowej i po ostatniej w Republice ewolucji Bohaterowi przed Kadedrą na mosiężnym rumaku zatygłemu przybył towarzysz. Na mniejszym nieco postumencie stawiony (mógł sobie na ten gest pozwolić w stosunku do dawo nieżyjącego Bohatera) i nie na koniu (bowiem nigdy na nim długo usiedzieć nie potrafił) i nie z metalu ulany, lecz w białym marmurze wykuty — Generał, również w Mieście, nad Rzeką urodzony (ale nie w indiańskim *racho* lecz w *haciendzie* ojca, poityką i rewolucją wzbogaconego) od dziesięciu już lat żelazną ęką Dyktatora rządzący Republiką. Pomnik jego był jeszcze świezy, przez mewy nie popstrzony i przez miejskich urwisów lub „wrogie elementy" nie zapaskudzony. Generał-Dyktator spoglądał z niego na swoje Miasto, baczny na wszystko, nawet na to czy w setną rocznicę śmierci ten drugi Bohater z konia nie zlezie, by jak wówczas, sto lat temu, protestować.

To kamienne, słońcem do białości wypalone serce Miasta otaczały z kolei domki średniej klasy urzędników i kupców — nowoczesne betonowe pudełka, gorące, ciasne i brzydkie — a one znowu otoczone były drewnianymi, farbą nietkniętymi, suszącą się na balkonach bielizną niczym flagami udekorowanymi, kapiącymi od brudu i śmierdzącymi nędzą budami murzyńskimi — a jeszcze dalej tonącymi w kurzu nie brukowanych już tam uliczek, bambusowymi *ranchami peonów* oraz lepiankami i szałasami Indian i wszelkiego rodzaju portowej biedoty i hołoty.

Miasto i port — w tropikalnym klimacie rozleniwione, solą morską i malarią przeżarte, *aguardriente* otumanione, między granat Oceanu i zieleń dżungli wciśnięte — śpiące.

...Z wnętrzem kraju Miasto łączyły tylko Rzeka i lotnisko.

Na Rzece kursowało nieregularnie kilka zardzewiałych, czarnym dymem z kominów buchających stateczków. Na lotnisku, na skraju dżungli wyrąbanym, raz na dzień (prócz niedzieli i *fiest*),

w samo skwarne południe, lądował samolot, lotem okrężnym łączący położoną za górami stolicę z wszystkimi ważniejszymi ośrodkami Republiki. Kilka dróg wybiegających z Miasta w dżunglę kończyło się rychło na plantacjach bananów. Przez Amerykanów w czasie wojny projektowana szosa, mająca poprzez dżunglę i góry połączyć Miasto ze stolicą, pozostała tylko w projekcie, który *gringosi,* wraz z przeznaczonymi na nią dolarami ze sobą do Stanów zabrali. Były jeszcze wąskie, *maczetą* wyrąbane i bosymi stopami wydeptane ścieżki wiodące w dżunglę, do zaszytych w niej *pueblo* indiańskich, do obozów dzikich *cziklosów* — zbieraczy kauczuku, lub gdzieś dalej jeszcze, w mało komu znane ostępy, do pogańskich uroczysk lub dżunglą obrosłych ruin. Ale mieszkańcy Miasta zrzadka w ścieżki te się zapuszczali. Bezpieczniej się czuli na swoich *avenidas* i *calleas,* brukowcem wykładanych i w równą szachownicę Miasto przerzynających.

...Taka oto była historia i takie było Miasto półkołem otaczające port u ujścia *Rio des Mortes* położony, do którego właśnie ze stolicy, na narodową *fiestę* urządzaną w stulecie śmierci Bohatera (tego na koniu) wybierał się Generał-Dyktator, i do którego, z sąsiedniej Republiki, ścieżką przez dżunglę znaną tylko przemytnikom i rewolucjonistom, zdążał *El-Libertador* ze swoimi partyzantami.

Aleksander GROBICKI

Powiedz im kim byłem

Oblani zimnym blaskiem dogasającego słońca, sunęli powoli i uroczyście; ciemno obleczone postacie w czarnych kapeluszach, które ponakładali po raz pierwszy w życiu, lub może po raz drugi albo trzeci i które nie zachowały śladów ich rąk i kształtów ich głów: i w płaszczach nieco rozpiętych, na których osiadały czerwone liście jesieni; w ostatnich poblaskach zimnego słońca; w zwarzone jesienne popołudnie; wpatrzeni w ziemię, w pościnane obcasy kroczących przodem, prowadzeni posępnym dudnieniem miedzianej trąby — kroczyli za trumną uroczyście i wolno, unosząc na swych twarzach wyraz fałszywej zadumy i fałszywego przygnębienia, chociaż byli naprawdę zadumani i naprawdę przygnębieni: nieco już zadyszani i zmęczeni tym zbyt wolnym marszem poprzez olbrzymi cmentarz, między tysiącem grobów tak samo wyglądających; poprzez alejki zatłoczone nagrobkami kochających mężów i najdroższych matek, i dzieciątek, które Bóg przedwcześnie powołał do siebie; i gdzieś tam właśnie, gdzie zaczynała się aleja zasłużonych — oni wszyscy, obsypani chłodnymi, sucho szeleszczącymi już liśćmi, zatracili wszelkie różnice między sobą; ciemno ubrani ludzie z twarzami na pół zmęczonymi, na wpół rozdrażnionymi kroczący w ogłuszającym dudnieniu miedzianej trąby; nie mogli, nie potrafili ukryć swego zmęczenia i rozdrażnienia, iż poświęcili tyle czasu rzeczy już nie istniejącej; i tylko ten jeden człowiek kroczący tuż za trumną: piękny, wysoki, stary człowiek z twarzą poznaczoną doznanymi zawodami i cierpieniami; on jeden nie poddał się nastrojowi zmęczenia i rezygnacji; trzymając ciemny kapelusz w opuszczonej ręce, niósł swoją wspaniałą, żywą twarz niby wyzwanie, zaprzeczenie, rzucone ich zmęczeniu i słabości ich uczuć; i jeden z ludzi kroczących w tyle spytał szeptem swego sąsiada:

— Pan go zna? — Kroczył chwilę w milczeniu wpatrzony w złoto czerwone liście które obsypały mu ramiona; nie strącił ich jednak; szedł sztywno z głową nieco przechyloną lecz nie w kierunku sąsiada, lecz ciągle nie zdecydowanie wpatrzony w złote plamy; potem spytał: — To on, prawda?

— Tak — odpowiedział zapytany — oczywiście. Trudno go nie poznać. Takie twarze musi się przecież pamiętać. — Spojrzał niechętnie na pytającego. — Oczywiście, że to on — powiedział.

— Tak, tak, — rzekł szybko pytający. — Ale pan rozumie; ja nie jestem stąd, rzadko tu bywam.

— Tego człowieka podziwiały trzy pokolenia — powiedział surowo sąsiad. — Trzy pokolenia, mój panie.

— A tamtego?

— Tamtego — powtórzył zapytany. Odwrócił się lekko ku sąsiadowi; dostrzegł również liście na jego ramieniu i wykonał ruch, jakby chciał je strącić lecz w ostatniej chwili powstrzymał się i ręka jego powoli opadła. Tym razem odparł prawie ze złością. — Tamtego dopiero. Takiego już nie będzie. Już nigdy nie będzie.

— Tak — powtórzył przybysz z prowincji. — Takiego już nigdy nie będzie. — Szedł przez chwilę zadumany, zasłuchany w dźwięk miedzianych trąb rozpływający się powoli w zimnym, czystym powietrzu jednego z pierwszych dni wczesnej jesieni; spoglądał po drzewach — już prawie bezlistnych lecz jeszcze nie czarnych, pełnych soków, gdzieniegdzie osnutych pajęczynami babiego lata którymi przepłynął już gorący wrzesień i pierwsze dni suchego października. — A teraz on będzie o nim mówił, prawda? — spytał sąsiada.

— Któż może o nim więcej powiedzieć — rzekł tamten. W dalszym ciągu nie odwracał głowy; szedł prosto, wpatrzony w czarny lakier karawanu zza którego lewej strony wyłaniał się ciężki, lśniący zad konia i łeb jego przystrojony czarnym pióropuszem. — Razem chodzili do szkoły dramatycznej — powiedział zbaczając nieco na lewo, aby nie stracić sprzed oczu czarnego pióropusza. — A potem razem założyli szkołę dramatyczną i uczyli innych. Przez wszystkie następne lata grali razem. I jak grali... O wielkich tylko wielcy powinni mówić. A któż może o nim lepiej powiedzieć jak on. Byli niby bracia. Już ich pierwszy występ...

Z tyłu ktoś powiedział zadyszanym basem:

— Uszanujcie panowie majestat śmierci. W obliczu Boga...

Obrócili się obaj nieznacznie, niby na komendę; za nimi kroczyło paru studentów szkoły dramatycznej — chude, skupione

warze, oczy wpatrujące się w nich z wyrzutem, cienkie szyje ciskane przez twarde kołnierzyki pocerowanych koszul; i wtedy baj uśmiechnęli się nieznacznie.

— Widzi pan — powiedział sąsiad przybyłego z prowincji. — To są właśnie jego uczniowie. To oni ich wychowywali. — Zaśmiał się cicho. — A poza tym oni mają po dwadzieścia lat. im się rzeczywiście wydaje, że stało się coś strasznego i ohydnego.

I znowu ten sam bas z tyłu upomniał ich; zamilkli więc baj; posuwali się naprzód wraz z tłumem ciemno ubranych postaci; wśród leniwie przesuwających się po obu stronach cmentarza ranitowych nagrobków; szeroko rozpościerających skrzydła aniołów o twarzach chórzystek operowych, żelaznych krzyży i grobów ołnierskich, na których spoczywały hełmy przeżarte rdzą i obmye z farby deszczami; doszli do otwartej mogiły i wtedy, kiedy już zterech ludzi uniosło trumnę, która przepłynęła na ich ramionach ponad głowami tłumu i spoczęła na świeżej, czerwieniącej ię w ostatnich promieniach słońca ziemi — stary, piękny człowiek wystąpił naprzód. Chwilę stał w milczeniu spoglądając przed iebie swymi ciemnymi, posępnymi oczyma; wiatr rozwiewał jego iwe, gęste włosy, lecz on nie wykonał najmniejszego ruchu, aby je poprawić; nieruchomy, zadumany stał przed nimi wszystkimi wsłuchując się jakby we własne wspomnienia, w coś co yje, boli i trwa jeszcze w poblasku chwały, nim skamienieje w egendę.

— Przyjaciele moi — powiedział. — Przyjaciele moi, powinienem modlić się do Boga, aby dał mi siłę, żebym mógł mówić o kimś takim jak on. Raz jeszcze odrobinę siły w moim starym życiu słabego człowieka, tak jak Samson modlił się aby móc zawalić mury i zginąć wraz z wrogami. Lecz skąd ja mam wziąć tyle siły, aby mówić o nim, który był mi bratem, i nauczycielem, i mistrzem... Umilkł nagle; widzieli, iż powstrzymuje płacz, więc oni także — ci wszyscy niezgrabni, ciemno ubrani ludzie, trochę już zniechęceni rytuałem powstrzymali swoje oddechy i stali bez ruchu wpatrzeni w niego, wyższego o głowę od nich wszystkich, olbrzymiego siwego starca z twarzą naznaczoną, zeszpeconą nieomal cierpieniem, miłością i doznanymi zawodami, stojącego nieruchomo na tle cmentarnej kaplicy majączącej w dali, w pustce alei rozświetlonej wątłym, jesiennym światłem: błękitnym, trochę nierealnym, niby przedwcześnie wyjęte przez zniecierpliwionego amatora zdjęcie z roztworu wywoływacza. — Tak — powiedział po chwili. — Być może, że najwspanialszy był w klasycznym repertuarze. W kostiumie, jako człowiek uzbrojony, jako człowiek walczący, który płacił śmiercią za zniewagę w świecie, którego już nie ma; który już nawet nie jest umownością

a tylko legendą szanowaną może dlatego, iż tak bardzo nie pasuje do tego świata, w którym króluje miernota i bezimienność, do tych milionów jednakowych domów o zimnych wnętrzach, tandetnych reprodukcjach i standartowych meblach, które nie przynoszą ulgi ciału ludzkiemu i nie zatrzymują jego ciepła i kształtu. On nie należał do tego świata; potrafił jednym gestem przywołać te wszystkie cienie chwały, bez których życie nie jest możliwe, nie jest konieczne i moralne; i bez wspomnienia których nawet śmierć nie jest tragiczna. W latach naszej młodości, której na szczęście przyjaciele moi pamiętać nie możecie, graliśmy kiedyś Cyda. Jeden wieczór on, jeden ja! tak u nas wtedy w teatrze było przyjęte. Pamiętam, miałem czarny kostium, zupełnie prosty, bez tych wszystkich mankietów i koronek, które musi nosić marny aktor — nic, tylko czarne ubranie, czarny kapelusz i szpada. Ach, jak wyglądałem wówczas. Przyjaciele moi. Nawet on powiedział do mnie: „Jesteś posągowej urody człowiekiem, Piotrze. Już tacy jak ty nie będą się rodzić. Należysz do rasy przemijającej, do zwierząt których nie ma, w których istnienie pokolenia będą grzecznie wątpić? Ach! — powiedział przytknąwszy nagle rękę do czoła. — Jak ja wtedy wyglądałem!... I pamiętam na przykład dziewczynę, która po drugim akcie przyniosła mi kwiaty do garderoby — była tak sprytna, że udało jej się zmylić bileterów i strażaków — i zobaczyłem ją nagle w lustrze: dziewczynę, dziecko prawie z bukietem kwiatów stojącą w drzwiach i wpatrzoną we mnie; widziałem zachwyt w jej oczach, powiedziałem coś do niej, przemówiłem, ale nie była w stanie mi odpowiedzieć, w tym momencie inspicjent wpadł do garderoby krzycząc: „Mistrzu, na scenę. Publiczność nie umie na pana czekać". Więc wyszedłem a kiedy wróciłem — nie było już jej; zostawiła kwiaty i odeszła, przyjaciele moi, jedna z tysięcy tych, które żyją z nami i kochają nas wiernie i prawdziwie przez całe życie nie umiejąc tego powiedzieć i wyrazić.

Umilkł; znów stał nieruchomy i posępny z wyrazem skupienia i zasłuchania, lecz jego wielkie, chmurne oczy nie były już puste jak przed chwilą, w której przemówił; wypełniało je teraz żywe światło wspomnień; przywołał je z krainy do której on tylko znał drogę, ów bród w niewiadomym miejscu czarnej rzeki brzegiem której szedł już od wielu lat, zasłuchany w jej martwą ciszę, zapatrzony w odbicie swojej twarzy, udręczonej i uroczystej, będącej zaprzeczeniem świata sztucznej radości i sztucznej *prosperity* i oszałamiających sukcesów, świecących fałszywym blaskiem w krótkich chwilach pomiędzy ciemnością a ciemnością; i nie widział nawet; nie mógł dostrzec tych kilku ciemno ubranych postaci, które schyliły się szybko nad grobem i odeszły rzuciwszy wstydliwym ruchem garść ziemi osuwającej się ciągle z łagodnym,

nieprzerwanym szmerem i którą szeroko rozkraczeni grabarze powstrzymywali łopatami. Było to zresztą tylko trzech czy czterech ludzi; podczas gdy inni stali wciąż z kapeluszami w sztywno opuszczonych rękach i patrzyli na niego, niby na groźnego i nieznanego Boga, który nie objawił jeszcze głosu swego.

— Przyjaciele moi — powiedział starzec. — Czy pamiętacie ową scenę w „Wojnie i Pokoju" kiedy umiera Andrzej książe Bołkoński i w chwilę potem Natasza pyta: I gdzie on teraz jest? Bo zawsze, przyjaciele moi, pierwszym wrażeniem towarzyszącym czyjejś śmierci jest zdumienie a dopiero potem rozpacz, i żal, i nienawiść do własnej niemocy. Ale on pozostał z nami, przyjaciele moi. Na każdej scenie, w ruchu każdego aktora, w każdym zachwycie on jest z nami i pozostanie z nami dopóki żyć będzie sztuka — jedyna rzecz, która daje człowiekowi radość i broni go przed przekleństwem samotności. Nie wolno wątpić w sztukę — powiedział uniósłszy dłoń uroczystym gestem — bo potem już nic nie zostaje, bo tylko sztuka jest jedynym ludzkim i czystym dźwiękiem w tym piekle hałasu i wściekłości... — Umilkł na chwilę. — Mój Boże — powiedział — nie mogę sobie przypomnieć w którym roku grałem „Żywego trupa". I gdzie to było? Wybaczcie pamięci starego człowieka... W tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym? Czy w trzydziestym? Kiedy jeszcze teatr był teatrem, chociaż tony celuloidu zaśmiecały już wszystkie miasta Europy. Pamiętam: grałem prawie bez charakteryzacji — zawsze byłem wrogiem przesadnej charakteryzacji, zawsze wolałem zawierzyć swojej twarzy. Zrobiłem sobie — byłem wtedy jeszcze czarny jak kruk — tylko jedno pasmo siwych włosów, takie kabotyńskie pasmo człowieka przedwcześnie zużytego, bezsilnego; tylko to pasmo i owa tandetna, przerażająca elegancja — to była cała moja charakteryzacja. I to właśnie stworzyło efekt. Żadnej szminki, żadnych głupich zmarszczek — nic, nic. Pamiętam, pojechaliśmy kiedyś na prowincję. Po spektaklu poszedłem trochę na spacer, spotkałem dziewczynę, parę wódek, poszliśmy do hotelu. Pyta mnie — ciekawska jak każda. — A co ty robisz? — A w teatrze jestem — mówię. — W teatrze — mówi ona. — A co robisz? — Gram. — Na czym grasz — pyta, taka ciekawa. — Na scenie, mówię, gąska, nie poznała mnie. — Aktorem jestem. — To znaczy — artysta? — A jakże — powiadam — artysta. — Nagle ona zrywa się z łóżka — a tu noc, wszyscy śpią ma się rozumieć, prowincja — podlatuje gołuśka do okna i wrzeszczy: „Ludzie, ludzie, artysta mnie ten, tego, hm... hm... Skandalu trochę było jak to zwykle na prowincji, ale zatuszowało się jakoś...

Umilkł znowu; zegar dalekiej kaplicy wybił piątą godzinę; studenci szkoły dramatycznej odwrócili się nagle; szybko prze-

szli koło grobu pochylając się kolejno i zgarniając ziemię garściami. Dwie kobiety odeszły szybko uczyniwszy znak krzyża i nie rzuciwszy nawet garści ziemi; zimno, nienawistnie popatrzyły na ogromnego człowieka stojącego samotnie z twarzą zwróconą ku zachodzącemu już słońcu — przeszły i zniknęły w opustoszałej nagle alei a ich delikatne, niebieskawe cienie szeleściły w powietrzu suchym, srebrnym i chłodnym wśród martwego szeptu spadających liści.

Przybysz z prowincji odwrócił nagle głowę; zobaczył inny karawan nadciągający z bocznej alejki: tłusto połyskująca sierść koni, farbowane pióra na czarnych pirogach, wdowę w welonie prowadzoną pod ręce przez dwóch mężczyzn o twarzach krwistych, wielkich, zdrowych; byli zbyt wysocy lecz najwidoczniej nie zdawali sobie z tego sprawy — kobieta między nimi stąpała na czubkach palców, z trudnością poddając się grzmiącemu rytmowi trąb które zagłuszyły na moment mówcę; czekał więc cierpliwie dopóki tamci nie przeszli; i dopóki nie przygasł dźwięk trąb i szelest liści rozniecony ich nogami.

— Wybaczcie mi — powiedział — że nie opowiedziałem wam o nim, tak, jak bym tego pragnął. Szedłem z nim przez czterdzieści lat jego cierniową drogą, którą przeszedł jak burza wychodząc z jedynej moralnej zasady, iż życie nie jest koniecznością, lecz jeśli już człowiek zdecydował się żyć, powinien żyć wspaniale. To tak, jak ktoś tam powiada u Balzaka: czy rzeczywiście człowiek który nie chce obrazić swojej godności i ugiąć się przed głupotą świata, musi iść przez życie jak burza, siejąc zło i rozdając ciosy na oślep? Nikt tak nie czuł Francuzów jak on: tej finezji, tej mądrości, dyskrecji; tej nienawiści do oczywistości, która jest zgubą każdego artysty... — Przerwał; po chwili powiedział: — Tak, niestety francuskiego nie opanował nigdy, ciężko mu szło z językami, nie łapał biedak, ciągle marzył o tym, żeby czytać Szekspira w oryginale... Mówił do mnie: Pojęcia nie masz jak ci zazdroszczę... Bo ja nie wiem: po trzech miesiącach mówię każdym językiem. Mam wrodzone zdolności... jakże to... mnemotechniczne, zdaje się. Jak Julian Sorel. Zawsze się sam sobie dziwiłem: raz, dwa i już mówię, niby papuga. Popatrzę się na coś i już pamiętam całe życie. Kiedyś, przed dwudziestu laty spotkałem jednego człowieka w Paryżu, przypadkowo, na ulicy upadła mu gazeta i schyliłem się mimowolnie; wymieniliśmy grzeczności i rozeszliśmy się. Po paru latach widzę go znowu, w Hamburgu: awanturował się z taksówkarzem: Niemiec nie znał ani w ząb francuskiego a ten znowu ani słowa po niemiecku. Podszedłem do niego i mówię: Proszę śmiało powiedzieć po francusku, przetłumaczę mu. Spojrzał na mnie nieomal z przerażeniem: Ależ Monsieur, my się nie znamy. Znamy się, powiadam, pan przecież

jest paryżaninem, pan czyta „Figaro" które ja również czytam. Potem poszliśmy na piwo i nie mógł uwierzyć, że widziałem go tylko raz w życiu, przez ułamek sekundy. Albo taki fakt: jeszcze jako uczeń szkoły średniej...

Tylko przybysz z prowincji stał jeszcze przed nim obracając w swoich pulchnych rękach czarny, nowy kapelusz, którego nie miał ani razu na sobie i który kupił specjalnie na tę okazję. Grabarze zsypywali już ziemię z wściekłym pośpiechem; więc przysunął się nieco bliżej, tuż koło grobu zatrzymując oddech i dziwiąc się własnej śmiałości, której nigdy w sobie nie podejrzewał i o którą nie podejrzewali go inni, i podał mu ramię, które tamten przyjął bez słowa, bez gestu niby rzecz przewidzianą już od początku na którą oczekiwał i która stała się we właściwym momencie: i teraz, kroczyli razem znów tą samą alejką strzeżoną przez anioły, którym skrzydła wyrastały raz wprost z obojczyków, raz z samego dołu tłustych pleców; raz grube i pełne brutalnej siły, raz strzeliste i gotyckie; i tylko twarze ich — słodkie, bolesne, zadumane były zawsze takie same, niby świadectwo jakiejś do obłędu pojętej solidarności panującej pomiędzy nieznanymi artystami, którzy wykuli je w kamieniu, a nieco dalej — w alejkach ubogich i nic nie znaczących — odlane były w gipsie, który z czasem ściemniał, poczerniał, a teraz w ostatniej godzinie zachodzącego słońca rumienił się fałszywie pod plamami z deszczu i kurzu; i człowiek z prowincji włożył nagle kapelusz jakby doszedłszy do wniosku, iż samotny spacer bocznymi alejkami nie obowiązuje już do niczego. Zapytał cicho:

— Więc pan go naprawdę znał?

— Czy ja go znałem? — powtórzył starzec. Spojrzał na niego ze zdumieniem. — O słodki Jezu: pan mnie pyta czy ja go znałem? Powinien się pan raczej zapytać: czy jest ktoś na świecie, kto znał go tak dobrze jak pan a wtedy odpowiedział bym panu: nie.

— Ooch — rzekł człowiek z prowincji i ręką niezdecydowanie sięgnął do kapelusza. — Proszę wybaczyć, pan mnie na pewno zrozumie... — I szepnął wstydliwie: — Ja nie jestem stąd.

Starzec uwolnił nagle rękę.

— No, więc — powiedział. — Oto czym jest pamięć ludzka: niby szklany dzwon, w który można tylko raz uderzyć i który rozlatuje się na kawałki. To przecież on powiedział do mnie, tylko do mnie, kiedy było już wiadomo, że umiera i kiedy on także już o tym wiedział; rzekł do mnie: Powiedz im, kim byłem, bo tylko ty jeden wiesz to naprawdę... I kiedy mówiłem im o nim, nie mieli nawet cierpliwości wysłuchać do końca. Bo dla nich on już nie istnieje. Jutro będzie wspomnieniem a pojutrze

legendą pełną fałszu i głupoty. A przecież nikt go nie znał, tak jak ja. Umilkł, a po chwili powtórzył:

— Nikt go tak nie znał, jak ja.

Chwilę szli w milczeniu, w zimnej ciszy pełnej szelestu; człowiek z prowincji postępował za nim pół kroku, potem krok, a potem stanął i znów z kapeluszem w ręku patrzył za nim jak odchodzi — olbrzymi, zmęczony, stary, aby spędzić ostatnie lata swojego życia w rozpaczy, samotności i tęsknocie, dopóki cień jego, obok cienia tamtego, nie spocznie na gwiazdach.

Marek HŁASKO

Pejzaż ze wschodem słońca i obiektami ze stali

Czołgi stały za nami, o jakie kilkadziesiąt kroków, jak małe pagórki. Od nich nadchodziło dwu czołgistów oficerów. Jeden to był kapitan o chudej twarzy urzędnika czy kancelisty, a drugi to był gruby i przysadzisty porucznik o grubych rysach. Ten porucznik był zdenerwowany, specjalnym rodzajem zdenerwowania tęgich ludzi. Patrzył tylko ciągle w oczy kapitanowi i przytakiwał mu. Aż mnie uderzyła ta służalczość, ciągle to, ,,tak jest Panie Kapitanie'', ,,rozkaz Panie Kapitanie'', ,,tędy Panie Kapitanie'', aż dziwnie — tu wojna jak cholera, a ten basuje temu swojemu kapitanowi. Ale może to go trzyma, ten stosunek z innego życia i pewnie to pomaga tamtemu także, że tu wojna a stara sztampa tak zachowana jak na placu ćwiczeń.

Obaj mieli na sobie czołgowe kombinezony, grubego porucznika robiło to jeszcze bardziej nabitym, szelki od oporządzenia mieli poprzekręcane i niezgrabnie dyndały się im olstry rewolwerów, mimo że mieli je specjalnym gurtem przypasane do uda prawej nogi i zuchowato, po kowbojsku wyglądały z nich kolby Webleyów i tulejki z zapasowymi nabojami naszyte na tych olstrach.

Na przedpolu było śmiertelnie pusto i cicho. Dlatego już dawno przestaliśmy kulić się za wrzosem i poruszaliśmy się swobodnie, jak na własnym podwórzu. Czołgi co prawda stały na płaskim, pochyłym przeciwstoku i nie było ich widać stamtąd.

Z bliska czołg jest wielki jak cholera i jasno, zielonooliwkowy, tylko rury wydechowe ma zasmolone, czerwone, rdzawe, milczące. Dla cywilnego umysłu wyobrażenie o nim jest przesadne i wyolbrzymione, znakomity przykład psychologicznej szarży, ale nie tak jest z tymi co mają w nich siedzieć. Nasłuchałem się dosyć opowiadań i miałem sporą ilość relacji od fachowców, relacji koń-

czących się zawsze defetystycznym akcentem. Bo proszę, zawsze jest tu coś źle z nimi. Pamiętam jeszcze Vickersy w Polsce, jak je sobie krytykowano, słusznie i niesłusznie. Że pancerz. No pewnie, jak ma się siedzieć za tym pancerzem i własna wyobraźnia każe widzieć ryje przeciwpancernych dział wijące się za pokrętłem celowniczego i potem blask i przeraźliwy płomień wystrzału i goni czerwony, smugowy pocisk i rykoszetuje w poszukiwaniu pancerza i kiedy, pomimo że ma się w głowie formuły o chromoniklowych stalach pancernych, stalach twardych, vidjach, kiedy pomyśleć o balistycznych, fantastycznych szybkościach początkowych tysiąca metrów na sekundę, to co? Co się dzieje? Opowiadali mi czołgiści z marsem na czole, nie bojąc się śmieszności, że pocisk taki wyprawia dziwne brewerie. O tym, że nie wywierca, ale wybija korki w ciężkim pancerzu. O tym, jak pod uderzeniem wnętrze wieży pryska w ostre, nieprzewidziane fragmenty, jak instalacja elektryczna rwie się w nieoczekiwane krótkie spięcia, jak rzyga pod wysokim ciśnieniem i pali się oliwa z pomp obracających wieże, kiedy siedzi się w magicznym kręgu magazynu pocisków pięknie i pedantycznie powtykanych w ich tuleje wokół wieży. Zdradzają zastraszające i defetystyczne sekrety wad Shermana, jak to niewybalansowany i wysoki na pochyłości przewraca się od odrzutu własnego działa i nakrywa załogę stalowym, palącym się sarkofagiem. Kiedy od podmuchu pękających obok pocisków artyleryjskich sprężyny otwartych klap nie wytrzymują i zatrzaskują się miażdżąc ręce i głowy wychylonych z nich ludzi. Ale pancerz był najważniejszy i zaważał na samopoczuciu. Liczyli cale, dwa cale, trzy cale, trzy i pół cala w czole, a z tyłu prawie nic i tak dalej i tak dalej. Tak, ci z czołgów to mieli wcale poważne miny jeżeli przychodzi do tego że trzeba wpakować się we wieżę i jechać na wskazany kierunek.

Czołgi stały cicho, tylko wydobywało się z nich granie i wycie twornic aparatów radiowych. Była godzina H do strojenia. Słychać było monotonny głos radioty, jak powtarzał:

— Magda Jeden — mówi Magda Dwa — słyszę was — siła pięć — Magda Jeden do Magda Dwa — słucham...

A potem dziwna sensacja, bo słyszę nagle taki głos jaki już słyszałem. Głos strzelca z przestrzelonym krzyżem na noszach przed ambulansem — było to — Aaaaa... Aaaaa... Takie Aaaaa, jakie było refrenem do piosenki do usypiania dzieci: Aaaaa, były sobie kotki dwa... Taki sam głos agonii i bólu, aż mnie wzdrygnęło.

A tu było to nic innego, tylko radiota rzęził to swoje Aaaaa do mikrofonu, ażeby samemu się sprawdzić i patrzył drapieżnym okiem jak mu wychyla się strzałka amperomierza. A niech go szlag trafi!

Ale jest spokojnie i najniespodziewaniej inaczej aniżeli ktokolwiek by się spodziewał. Jest wczesny świt. Przed nami jest dosyć faliście, a za nami łagodnie spada w dół i otwiera się w blasku rosnącego dnia daleki, daleki krajobraz. Jest chłodno, trochę bardziej niż rzeźwo, i jest to trochę dokuczliwe. Może dokucza ta niezwyczajna pora, kiedy to właściwie wszystko jeszcze śpi, oddycha snem porannym. A tu jestem już od czterech nocnych godzin na nogach, w ustach mam gorycz i niesmak od wielu wypalonych na czczo papierosów, jest mi nieprzyjemnie od tego że jestem od dwu dni niemyty i mam dwudniowy zarost. Myślę że gdybym był ogolony i czysty to wszystko wydałoby mi się o wiele normalniejsze i prostsze, nawet potrafiłbym myśleć inaczej.

Posłali mnie tutaj jako łącznikowego artylerii i tam w Brygadzie wyglądało na to że wszystko będzie tylko od tej artylerii zależeć a tutaj jakoś nikt na to nie zwraca uwagi. Owszem przyjęli mnie ze śladem zainteresowania i pewnie dobrze im to zrobiło że mają zapewnioną artylerię, ale co by to ona mogła dla nich zrobić to nie bardzo pamiętają z kursów dowódców, na których im coś kiedyś wykładali. Są drobiazgowo zajęci tym ich swoim, z jakimś rodzajem, powiedziałbym małostkowości trzymają się tego swego oślego i upartego szymla, którego, ze złością myślę, sam nie rozumiem. Gonią tymi szymlami, już ja to znam i wiem jakie to łatwe i bezmyślne. Ale czy to ja sam nie łapię się swoich szymlów czy nie łapałem się tyle razy?

Jest taka pora rano, to trwa niedługo, ile? dziesięć, dwadzieścia minut, kiedy kończy się noc, a dzień jeszcze się nie zaczął i wszystko jest niezdecydowane i płynne. Jakieś tam dzieją się w górze tragiczne załamania pryzmatyczne światła, bo rozszczepia się ono na tak zdecydowane kolory że dławi w gardle. Słońca nie widać, gdzieś tam już powinno być, ale w tym miejscu walają się chmury, kryją je złowrogą frendzlą i pożyczają z tamtego zbiornika najbardziej indygowe i fioletowe, ażeby nadać sobie ponurej ważności. Ale zaraz wyżej szarpią się w kłaki i między nimi jest różowo, ale to tak różowo że do niczego to porównać, potem znów kłaki chmur i jest szafran i jak pozłótka na choince. A potem znów kongregacja chmur, obrzeżone perłowo i perłowo i potem błękit nieba i to już ponad głowami, a dalej chmury już białe, a za nimi, ku przeciwnej stronie nieba seledyn i w nim bledziuchny płatek ubywającego księżyca. Wydaje się że z tego nieba można doczekać się wszystkiego, że zawiać może palącym wiatrem, albo że sypnie zeń śnieżną zawieją, albo że zakręci się to wszystko w apokaliptyczną trąbę powietrzną albo rozjaśni majowym deszczem. A jaki koniec tego wszystkiego? Chmury bo chmury, zostają, rozwłóczą się, światło słoneczne zaczyna spoza nich

przesiąkać białe i apatyczne, co tu mówić, cholera, jest dalej zimno, nieprzyjaźnie i obco i niedomowo i chciałoby się być daleko od tego i nie mieć z tym nic wspólnego i nie ma na to rady.

A na dole, co się działo na dole? Wszystko jest widoczniejsze, ale i tak samo jak było poprzednio, leciutka mgiełka od strony nieprzyjaciela, wrzosy i żółta trawa i woda w lejach i opuszczone miejsce i dalej nic, chyba tych kilka figur ludzkich co się tu i ówdzie kręcą. Żyć się od tego wszystkiego nie chce.

Jest odprawa dowódców czołgów. Kompania to dziewiętnaście czołgów, cztery plutony po cztery czołgi, czołg dowódcy, zastępcy dowódcy i jeden zapasowy, więc razem dziewiętnaście. Dowódcy czołgów wydrapują się ze swych kopuł, kopuł obwieszonych torbami i dobytkiem na zewnątrz pancerza. Jeden jest wysoki i ma na sobie wyblakły kombinezon mechanika, ubiór kiedyś brązowy a teraz jasnordzawy. Inny mały, ma wyświecony od smarów beret z pogiętą blaszaną gwiazdką podporucznika i jest nieogolony, jak my wszyscy. Ludzie ci mają w sobie coś prostackiego, uczniowskiego. Stoją małym półksiężycem wokoło dowódcy. Dalej czołgi drzemiące w srebrnym świetle dnia. Sterczą tylko ich anteny jak bicze, na wieżach, tym odróżnia się je od niemieckich w sylwetce, bo tamte mają je na kadłubach.

Dowódca kompanii jest dziwnym połączeniem nieporadności i miękkości, gubią mu się mapy z wielkiego mapnika, pokrytego celofanem. Na tym celofanie ma zarysowane jakieś kreski, strzałki i notatki dermatograficznym, kolorowym ołówkiem.

Widzę niewyspane twarze dowódców czołgów. Na twarzy najbliższego najwyraźniejsza troska nie o natarcie ale o to czy mu radiota zgrał się na sieci. Ciągle patrzy w tamtą stronę, a potem nie wytrzymuje i idzie tam z porucznikiem z plutonu łączności. Ten porucznik cały ten świt wisiał na wieżach czołgów z głową w środku i z wiszącymi na zewnątrz nogami i coś majstrował tam i martwił się o te swoje elementy i sieć. Kapitan spojrzał za dezerterami znużonym wzrokiem, ale nic nie powiedział, słychać było tylko ciągle to jego zastępcy: „Tak jest Panie Kapitanie, rrrozkaz Panie Kapitanie!

Kapitan pokazał coś na celofanie, bąknął coś co brzmiało jak: „Jesteśmy, o tu, nasza podstawa natarcia", potem złamał mu się dermatograficzny ołówek, rozglądnął się bezradnie ktoś pomacał się po kieszeni kombinezonu czy nie ma noża, nie miał. I wszystko się rozprzęgło. Potem zobaczył mnie i przyjaźnie kiwnął mi głową i zaraz zatroszczył się, a co ze mną? No to pan pojedzie z Magdą Pięć, nie wiedziałem tylko który to jest Magda Pięć. A tymczasem kapitan gdzieś się zagubił, patrzę, a jest już na szczycie wzniesienia, błyszczy mu się celofan w ręku i jest tam ten jego zastępca, który ciągle przystaje ażeby stuknąć obcasami, a potem

kulejącym krokiem dogania kapitana. Puszczam się za nimi w pogoń, a mój kapral Smolikowski za mną z wielkim trójnogiem lornety nożycowej i innymi aparatami i moim mapnikiem.

Mijamy schowaną pod kępą wrzosów czatę dragonów, lśni od rosy Brengun, obładowani są brezentowymi ładownicami z zapasowymi magazynami do Brena i trzech śpi, skulonych jak dzieci, jeden tylko leży i patrzy przez lornetkę w stronę nieprzyjaciela i tak to go absorbuje, że nie zwraca na nas najmniejszej uwagi.

Przed czatą dragonów jest już tylko *NoMansLand,* jak się to mówiło za tamtej wojny.

Jest bardzo ciężko drałować przez te wrzosy, kruszy się z nich jakieś świństwo i trzeba przymykać oczy żeby się do nich ten pył dokuczliwy nie dostał. Na dobitek ten zasapany Smolikowski za mną z tą całą lornetą. Pytam go niepotrzebnie:

— Ile Smolikowski ma lat?

Okazuje się że jest moim rówieśnikiem.

— To co Smolikowski się tak zasapał? I ciągle zostaje z tyłu.

— A, bo Pan Porucznik to nie był w łagrze — on do mnie z tym chłopskim, przemądrzałym, zawsze tłumaczącym argumentem.

Mówię mu:

— A niech Smolikowski zostanie tam z tymi dragonami...

To został.

Zygmunt HAUPT

Ach co to za głos

Ach co to za głos, wrzawa zła
Co tam w dolinie mieni się, mieni?
Tylko żołnierze, miła ma,
Żołnierze w czerwieni.
Ach co to za blask odbija się znów
Poprzez odległość, jak w lustrze, w lustrze?
To tylko słońce w metalu luf
Lśni jak na mustrze.
Ach czegóż chcą z tym mnóstwem broni
Czyje w ten ranek ich wiodą ślady, ślady?
Pewnie ćwiczenia, miła ma
A może zwiady.
Ach czemuż drogę rzucają i tu
Zdążają coraz prędzej, prędzej?
To nowy rozkaz, miła ma
Podnieś się z kolan, zmężniej.
Ach może któryś z nich jest ranny
Czyż nie wstrzymują koni, koni?
Miła, minęli lekarza dom
W ciągłej pogoni.
Ach pewnie księdza widzieć chcą,
Czyż nie, czyż nie skręcają gdzie plebania?
Nie miła, wciąż dalej prą
Bez zatrzymania.
Ach może ich ciągnie dom sąsiada,
Który był zawsze szpiegiem, szpiegiem?
Miła, minęli go, i biada!
Idą biegiem.
Ach dokąd idziesz? Zostań tu

Czyś przysięgami zwodził, zwodził?
Nie, przyrzekałem kochać cię,
Lecz muszę uchodzić.
Ach łamią zamek, rąbią drzwi
W bramę kolbami walą, walą
Słychać ich butów ciężki krok
A oczy ich się palą.

W. H. AUDEN

łum. Zygmunt HAUPT

Po ziemi naszej

1.

Kiedy przechodziłem miastem ludnym
(jak mówi Walt Whitman w przekładzie Konrada Toma),
kiedy przechodziłem miastem ludnym,
na przykład koło portu San Francisco, licząc mewy,
myślałem że jest między mężczyznami, dziećmi i kobietami
coś, ani szczęście ni nieszczęście.

2.

W południe białe rumowiska cmentarzy na górach:
miasto z olśniewających cementów
zlepione śliną błonkoskrzydłych owadów
wiruje na przemiany z niebem w ślimacznicy dróg.

3.

Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat
wziąłbym chomika albo jeża albo kreta,
posadziłbym go na fotelu wieczorem w teatrze
i przytykając ucho do mokrego pyszczka
słuchałbym co mówi o świetle reflektorów,
o dźwiękach muzyki i ruchach baletu.

4.

Przebijałem pułap dźwięku?
A potem obłoki z katedrami,
ielenie ekstatyczne za kutym żelazem bram
cisza, zastanawiające, inna niż ta jaką znałem.
estem tutaj gdzie piąstka starej kobiety owinięta różańcem,
tukanie kija na dallach między jabłkowitym cieniem.
Wstyd czy nie wstyd
e tak mi się dopełniło.

5.

Budząc się przed świtem widziałem szare jezioro
jak co dzień dwóch z wędkami w motorówce która pyka powoli.
Następnie obudziło mnie świecące w oczy słońce
parte na przełęczy po stronie Nevady.
Między chwilą i chwilą wiele przeżyłem we śnie,
ak wyraźnie, że czułem zanikanie czasu
eżeli to co dawne ciągle jest, nie było.
mam nadzieję, że to będzie jakoś policzone:
al i wielkie pragnienie żeby raz wyrazić
edno życie na inną, nie na własną, chwałę.
ekki wiatr marszczył potem mieniące się wody.
apominałem. Błyszczał śnieg na górach.

.

słowo z ciemności wyjawione było gruszka.
rążyłem dokoła niego podskakując to próbując skrzydełek.
le kiedy już-już piłem z niego słodycz oddalało się.
ięc ja do cukrówki — wtedy kąt ogrodu,
uszczona biała farba drewnianych okienic,
rzak dereniu i szelest przeminionych ludzi.
ięc ja do cukkrówki — wtedy kąt ogrodu,
tym, nie innym, płotem, ruczaj, okolica.
ięc ja do ulęgałki, do bery i do bergamoty.
a nic. Między mną i gruszką ekwipaże, kraje.
tak już będę żyć, zaczarowany.

7.

Dziewczyny niosąc wysoko podbródki wracają z kortu.
Pył wodny tęczuje nad skłonami trawników.
Drozd krótkim kroczkiem podbiega i nieruchomieje.
Jarzą się w świetle pnie eukaliptusów.
Dęby doskonalą cień majowych liści.
Tylko to. Tylko to godne jest opiewania: dzień.

Ale pod nim koziołkują moce elementarne
i diabły wykpiwające naiwnych co wierzą w ich istnienie
przerzucają się zwałami krwawego mięsa,
gwiżdżą pieśni o materii bez początku ni celu
i o chwili naszej agonii
kiedy podstępem cwanej miłości własnej
wyda się wszystko co kochaliśmy.

8.

A jeżeli Pascal nie został zbawiony
i te wąskie ręce w które włożono krzyżyk
to on, cały, jak nieżywa jaskółka
w pyle, pod brzękiem jadowitobłękitnych much?

A jeżeli oni wszyscy, klękający ze złożonymi dłońmi,
miliony ich, miliardy ich, tam kończyli się gdzie ich złudzenie?

Nie zgodzę się nigdy. Ja dam im koronę.
Umysł ludzki jest wspaniały, usta potężne
i wezwanie tak wielkie, że musi otworzyć się Raj.

9.

Są tak wytrwali, że daj im parę kamieni
i korzonki jadalne a zbudują świat.

10.

Nad jego grobem Mozarta zagrali
Bo nic nie mieli co by ich dzieliło
Od żółtej gliny, chmur, nadgniłych dalii
A pod za dużym niebem za cicho im było.

I jak na podwieczorku u princessy
Kiedy stalaktyt wosku takty mierzy
I skwierczy knot a wyfraczone plecy
Błyszczą rzędami złotawych kołnierzy

Brzmiał Mozart, z pudru peruk odwinięty,
I babim latem unosił się długo,
Niknąc nad głową, w tej pustce którędy
Szedł odrzutowiec z cienką białą smugą.

Tymczasem on, nikomu nie współczesny,
Czarny jak liszka pod zimową korą,
Pracował już, wzywając rdzy i pleśni
Żeby zniknąć, nim wieńce wyblakłe zabiorą.

11.

Paulina, jej stancja za czeladną, z jednym oknem na sad
gdzie najlepsze papierówki zbieram koło chlewu
wyciskając dużym palcem nogi ciepłą maź gnojowiska,
z drugim oknem na studnię (lubię zapuszczać wiadro
i płoszyć mieszkające tam zielone żaby).
Paulina, geranium, chłód ubitej ziemi,
sztywne łóżko z trzema poduszkami,
żelazny krucyfiks i obrazy świętych
ozdobione trójpalmą i różą.
Paulina umarła dawno ale jest.
I jestem czemuś przekonany że nie tylko w mojej świadomości.
Nad jej surową twarzą litewskiej chłopki
furczy wrzeciono kolibrów i płaskie zdeptane stopy
spryskuje woda szafirowa w której delfiny
zginając karki
pląsają.

12.

Gdziekolwiek jesteś, owijają ciebie kolory nieba,
tak jak tutaj, przenikliwe oranże i fiolety,
zapach roztartego w palcach liścia tobie towarzyszy
nawet we śnie, ptaki są nazwane
językiem tego miejsca: towhee przyszła do kuchni,
posyp chleba na trawniku, przyleciały juncos.

Gdziekolwiek jesteś, dotykasz kory drzew
próbując jej chropowatości innej a domowej.
Wdzięczny za wschody i zachody słońca
gdziekolwiek jesteś, nie zdołasz być obcy.

Czy był obcy ojciec Junipero, kiedy na grzbiecie muła
przywędrował tutaj dążąc przez pustynie południa?
Znalazł czerwonoskórych braci. Rozum ich i pamięć
były przyćmione. Bardzo długo szli
od Eufratu, Pamiru i wyżyn Kataju,
powoli, ile zdoła każde pokolenie
ścigające swój cel: dobre łowiska.
I tam gdzie potem w zimne płytkie morze
ląd się pogrążył, żyli tysiąclecia,
aż zapomnieli prawie wszystko o rajskim ogrodzie
a nie nauczyli się rachuby czasu.
Ojciec Junipero, urodzony nad Morzem Śródziemnym,
przyniósł im wieść o pierwszych rodzicach,
o znakach, obietnicy i oczekiwaniu.
Mówił im, wygnańcom, że tam, w ojczyźnie,
wina została zmyta, jak zmywa się pył
z czoła ich, polanego wodą.
Było to jak rzecz o której dawno słyszeli.
Ale, biedni, utracili dar uwagi
i kaznodzieja musiał zawieszać na szyi pieczony udziec jelenia
żeby znęcić ich łakome oczy.
Wtedy jednak mlaskali, tak głośno że mówić nie mógł.

Niemniej to oni za mnie wzięli we władanie
skały na których tylko nieme smoki
wygrzewały się od początku, wypełzając z morza.
Uszyli płaszcz z piór dzięcioła, kolibra i tanagra
a ręka brunatna odrzucając jego połę wskazywała: to.
I kraj był odtąd zdobyty: widziany.

13.

Wąsy króliczków i szyje puchate
żółto-czarnych kaczuszek, ogień płynny
lisa w zieleni, wzruszają tak samo
pana i niewolnika. A także zaczęte
muzyki w cieniu drzew. Bębenek, flet,
albo harmonia albo z gramofonu
głosami dżinnów bekający jazz.

Leci w chmurę huśtawka i patrzącym z dołu
oddech zapiera ciemność pod spódnicą.
Któż nie marzył o zamkach markiza de Sade?
Kiedy a a a zaciera się ręce
i do roboty: rozdzierać ostrogą
panienki do wyścigu ustawione w rzędzie
czy gołym zakonnicom w siatkowych pończochach
kazać smagać się batem gryząc prześcieradło.

14.

Cabeza, jeżeli ktoś wszystko wiedział o cywilizacji, to ty.
Buchalterze z Kastylii, na co ci to przyszło
żeby tam zawędrować, gdzie żadne pojęcie,
żadna cyfra, żadna kreska pióra maczanego w inkauście,
tylko łódź na piaski rzucona przybojem,
czołganie się nago pod okiem nieruchomych Indian,
i nagle ich płacz w pustce nieba i morza,
lament: że nieszczęśliwi są nawet bogowie.
Przez siedem lat byłeś przepowiedzianym bogiem,
brodaty, białoskóry, bity jeżeli nie udał się cud.
Siedem lat marszu od Zatoki Meksykańskiej do Kalifornii,
hu-hu-hu plemion, cierń gorący kontynentu.
Ale potem? Kim jestem, koronki mankietów
nie moje, stół z lwami nie mój, wachlarz dony Klary,
jej atłasowy trzewiczek spod sukni — no nie.
Na czworaki! Na czworaki!
Farbą wojenną pomalować uda.
Ziemię lizać. Wha wha, hu hu.

Czesław MIŁOSZ

1961, Kalifornia

Koniec wieku liberalizmu

I

Prasa zachodnia — a w szczególności prasa emigracyjna lubuje się w wyliczaniu niedoborów i braków po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Ale czy wysokość stopy życiowej można przyjąć za wykładnik potęgi? Historia poucza nas, że syte i wysoko cywilizowane narody bywały często słabe i nieodporne.

Z chwilą gdy Chiny kosztem ofiar i wyrzeczeń zdolne będą przystąpić do produkcji broni atomowych na większą skalę, staną się potęgą światową mimo, że co dziesiąty Chińczyk będzie nadal głodował.

Można by zauważyć, że Chinom bardziej potrzebny jest ryż niż bronie atomowe. Mimo swej pozornej naiwności to jest problem, który jest źródłem wielu zasadniczych nieporozumień.

Zachód zbroi się w celu obrony. Czy blok wschodni zbroi się dla napaści? Twierdzenie, że Zachód zbroi się dla defensywy a Sowiety dla ofensywy jest militarystycznym uproszczeniem.

Sowiety wierzą w polityczną dialektykę siły. Co to znaczy? Oznacza to, że przywódcy sowieccy wierzą, iż siła militarna jest równoznaczna z potęgą polityczną. W państwie totalnym siła jest materialną dźwignią w machinie politycznej. Moskwa uważa, że każde przesunięcie na jej korzyść w równowadze sił winno znaleźć swój wyraz w analogicznym przesunięciu w równowadze politycznej.

,,Mamy statki kosmiczne jakich nie posiada Ameryka — mamy nową ulepszoną serię międzykontynentalnych pocisków balistycznych — jesteśmy zdolni do produkowania bomb nuklearnych o sile 100 milionów ton trotylu — jest więc oczywiste, że kwestia Berlina musi być rozwiązana po naszej myśli. Gdyby miało być inaczej to nasze wysiłki i pieniądze byłyby wyrzucone w błoto''.

Przywódcy sowieccy nie tylko myślą w powyższy sposób, ale są przekonani że ich partnerzy w grze, tzn. Amerykanie, myślą identycznie. Atutom musi towarzyszyć wygrana — inaczej atut nie byłby atutem. Każdorazowa przewaga w wyścigu zbrojeniowym musi odrzucić polityczną dywidendę. Prawo do tej dywidendy przywódcom sowieckim wydaje się czymś równie logicznym i oczywistym jak tabliczka mnożenia.

Bez względu na subtelności doktrynalne, komuniści sowieccy w polityce zagranicznej są realistami i pragmatykami. Rozbudowują nie dobrobyt, ale potencjały siły. Wierzą bowiem, że niczego tak szybko i równie pewnie nie można przetłumaczyć na sukces polityczny jak siłę. Przez pokój rozumieją pokojowy ,,dyskont'' rosnącego potencjału przemysłowo-militarnego na sukcesy polityczne.

Drugim elementem potęgi — poza bazą przemysłowo-militarną — jest system, warunkujący postawę większości społeczeństwa. Nie chodzi o indoktrynację ideologiczną. Przekonani komuniści stanowią w Związku Sowieckim istotną, ale liczebnie znikomą mniejszość. Przez uwarunkowanie w tym wypadku należy rozumieć rzecz znacznie mniej skomplikowaną a niepomiernie ważniejszą. Nie chodzi o to by 80% społeczeństwa podpisywało się pod wszystkimi dogmatami marksizmu-leninizmu — chodzi natomiast o to, by w razie wybuchu wojny 80% społeczeństwa wierzyło niezachwianie, że Amerykanie są agresorami. Nie chodzi o przekonanie większości, że państwo ,,zanika'' — jak głosił Engels — chodzi natomiast, o to, by większość społeczeństwa uważała system kapitalistyczny za synonim zła i zaborczości.

Jeżeli przez ,,zimną wojnę'' rozumieć ścieranie się dwóch ideologii, których symbolami są Moskwa i Waszyngton, to wypada stwierdzić, że jest to przedsięwzięcie jałowe. Zarówno Amerykanie jak i obywatele sowieccy są tak uwarunkowani, że zmiana ich postaw nie jest rzeczą możliwą. Amerykanie nigdy nie nawrócą Sowietów na kapitalizm i odwrotnie — Sowiety nigdy nie nawrócą Amerykanów na komunizm. I dlatego losy tej ideologicznej batalii rozegrają się poza ramami bloków wschodniego i zachodniego.

II

Na Zachodzie wielu wybitnych intelektualistów głosi ,,politykę pokojową''. C. Wright Mills w swojej książce pt. ,,The Causes of World War Three'' — występuje z tezą, że wrogiem nie są Rosjanie tylko rycerze ,,zimnej wojny'' po obu stronach żelaznej kurtyny. Świat, według Millsa, mogą uratować intelektualiści odmawiając współpracy na rzecz wojny, propagując rozbrojenie i absolutną konieczność zachowania pokoju. Termin ,,intelektualista'' Mills pojmuje bardzo szeroko — tak, że w omówieniu polskim należy zastąpić go terminem ,,inteligent''.

Żaden z naszych Czytelników nie posądzi ani „Kultury" ani niżej podpisanego o sympatię czy tęsknoty wojenne. Podobnie jak przytłaczająca większość Polaków w kraju — tak i my jesteśmy przekonanymi przeciwnikami wojny i to w każdym wydaniu, czy to konwencjonalnej czy nuklearnej.

Niemniej należy spokojnie stwierdzić, że pokój podobnie jak wojna nie jest celem tylko środkiem do celu. Ani propaganda wojenna, ani propaganda pokojowa nie może zamaskować brak określonego celu i programu. Innymi słowy pokój — choć jest problemem zasadniczej i kardynalnej wagi — nie zastąpi polityki.

Intelektualiści pokroju Millsa przypominają człowieka, który głosi, że jedynym celem życia jest nie umrzeć. Zachować się przy życiu i zdrowiu przez rozsądny okres czasu jest rzeczą kapitalnego znaczenia — ale sensu życia ta „filozofia" nie zastąpi.

Zahipnotyzowani widmem katastrofy atomowej — intelektualiści przestają myśleć racjonalnie. (W moim przekonaniu intelektualista nie może być winnym większej zbrodni). Przyjmując apokalipsę atomową za zło ostateczne wielu intelektualistów całe zagadnienie sprowadza do sloganu: *better red than dead* — (lepiej być czerwonym niż martwym).

Na fałszywie postawione pytania otrzymuje się zawsze fałszywe odpowiedzi. W oparciu o kwestię: czy większość ludzi na Zachodzie woli być *red* czy *dead* — można by sugerować odpowiedź, że większość mieszkańców Zachodu to potencjalni „czerwoni". Wiadomo, że tak nie jest. Prawdą natomiast jest, że przytłaczająca większość nie chce być ani *red* ani *dead*. Racjonalna polityka musi brać pod uwagę zarówno, że nie chcemy być radioaktywnymi trupami jak i to, że nie chcemy być „czerwoni" (jeżeli przez ów kolor rozumieć komunizm w wydaniu sowieckim).

Rycerzy „zimnej wojny", których piętnuje Mills — jak i intelektualnych rycerzy „pokoju dla pokoju" — charakteryzuje kompletny brak wizji i programu.

„Niezłomni" rycerze wojny wyobrażają sobie, że konflikt zbrojny rozwiązałby wszystkie zagadnienia. Wystarczy zmieść z powierzchni ziemi znienawidzone Sowiety, by zawitał wiek złoty i tzw. dawne dobre czasy.

Rycerze „pokoju dla pokoju" wierzą niemniej naiwnie, że wystarczy się rozbroić — choćby jednostronnie — by zagwarantować pokój, a tym samym zlikwidować konflikt, który rozdziera świat. Niestety jednak ani zbrojenia ani rozbrojenie nie są i nie mogą być namiastką polityki.

W polityce i w dziennikarstwie aktualność liczy się więcej niż waga danego problemu. Niezmienna aktualność konfliktu Wschód-Zachód i groźba wojny atomowej przysłaniają nam zagadnienia, które nie znikłyby, choćbyśmy jutro Związek Sowiecki zrównali z ziemią. Istnieje jeszcze inny geopolityczny konflikt, który Sir Oliver Franks, były ambasador brytyjski w Waszyngtonie, nazwał konfliktem pomiędzy Północą a Po-

łudniem. Jest to klasyczny konflikt pomiędzy bogactwem a nędzą, konflikt pomiędzy uprzywilejowanymi przez przyrodę mieszkańcami umiarkowanego pasa północnego, a mieszkańcami sub-tropików i tropików. Istotę tego konfliktu można ująć w sposób niezmiernie prosty. Amerykanie stanowią mniej niż 6% ludności naszego globu — konsumują jednak niemal połowę jego produkcji. I następujący komentarz: totalna suma pomocy amerykańskiej udzielanej krajom zagranicznym wynosi w stosunku rocznym mniej niż 1% GNP (*Gross National Product*).

Powyższe dane są przepisane żywcem z prasy amerykańskiej. Amerykanie są w pełni świadomi tego konfliktu.

Mills i na ten problem ma odpowiedź. Uczony socjolog uważa, że tak jak Anglicy musieli się pozbyć swego kolonialnego imperium — tak Amerykanie będą musieli się pozbyć swego finansowego imperium.

Osobiście przypuszczam, że tak jak w Anglii czy we Francji — na drodze reform społecznych wyrównano w pewnej mierze dysproporcję w stopie życiowej klas społecznych — tak w przyszłości nastąpi analogiczna „socjalizacja" w ramach globu. Z całą pewnością nie będzie rzeczą możliwą w następnych dekadach utrzymanie obecnych fantastycznych wprost dysproporcji w stopie życiowej narodów. Przeciętny dochód roczny amerykańskiej przekracza 5000 dolarów. W krajach Ameryki łacińskiej analogiczna cyfra spada już poniżej 500 dolarów. A gdzie są Indie, Chiny, ludy Afryki?

System kapitalistyczny w swoim własnym interesie będzie musiał znaleźć odpowiedź na te zagadnienia. Jeżeli było możliwe znaleźć odpowiedź na te problemy w skali gospodarki państwowej (*Welfare State*) — niewątpliwie możliwe są również rozwiązania międzypaństwowe i międzynarodowe.

Pracownicy kołchozów stanowią niemal połowę ludności Związku Sowieckiego. W nowym programie KPZS czytamy, że zapomogi chorobowe i zapomogi w razie czasowej niezdolności do pracy oraz pensje starcze będą w przyszłości obowiązywały również w stosunku do pracowników kołchozów. Kiedy to nastąpi — nie wiadomo. Faktem jest natomiast, że do jej pory połowa pracującej ludności Związku Sowieckiego nie korzysta ani z płatnych urlopów ani z zasiłków chorobowych. W kapitalistycznej Anglii robotnicy rolni, na równi z robotnikami przemysłowymi, korzystają z wszystkich dobrodziejstw *welfare state* z płatnymi urlopami włącznie.

Jednym z przejawów dogmatyzmu przywódców komunistycznych jest fakt, (na co zwrócił uwagę nawet Isaac Deutscher) że programowo nie dostrzegają „rewolucji kapitalistycznej" w krajach Zachodu.

Kapitalizm amerykański będzie musiał również szukać rewolucyjnych rozwiązań. Ale co innego są radykalne nawet przemiany, a co innego jest likwidacja „finansowego imperium". Co innego jest negocjować kontrolowany wzajemny układ ograniczający zbrojenia — a co innego jest rozbrajać się jednostronnie.

Co innego jest pokój kompromisowy, a co innego jest pokój na warunkach sowieckich. Pokój sowiecki góruje nad pokojem kompromisowym tylko w jednym punkcie. Byłby daleko szybciej do osiągnięcia.

Ukazują się niepokojące książki. Amerykański profesor D.F. Fleming na tysiącu stronach (,,The Cold War and its Origins'') — udowadnia, że ,,zimna wojna'' jest w całości naszym, zachodnim dziełem. Po zakończeniu wojny Sowiety pragnęły zachować i utrzymać jak najprzyjaźniejsze stosunki z mocarstwami Zachodu ale... zabrakło Roosevelta. Gdyby Roosevelt żył nie byłoby ,,zimnej wojny''. Niestety po jego śmierci nie było nikogo, kto mógłby pośredniczyć pomiędzy Churchillem a Stalinem. I tak oto Churchill i Truman wypowiedzieli ,,zimną wojnę'', za której wybuch Rosja nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

Tu, w Anglii, bardzo wybitni uczeni pochwalili książkę D.F. Fleminga, m.in. prof. Brogan. Nie brakło również krytyków, którzy ,,The Origins of The Second World War'' prof. A.J.P. Taylora nazwali arcydziełem (*masterpiece*). O tym zdumiewającym ,,arcydziele'' informowałem w notatce pt. ,,O wychowywaniu krokodyli'', ,,Kultura'' Nr 6/164.

Powyższe książki można by zdefiniować określeniem Millsa: *rationality without reason* (racjonalizm bez rozumu). Ale czy racjonalizm samego Millsa jest rozumny?

Książka Millsa jest poniekąd apelem skierowanym pod adresem intelektualistów, którzy, gdyby zaczęli myśleć i działać politycznie, mogliby nie tylko uratować pokój, ale spowodować zasadnicze przemiany społeczne w Stanach Zjednoczonych. Dziś istnieje rozwód pomiędzy intelektem a władzą i uczeni stanowią część składową wielkiej amerykańskiej maszyny zbrojeniowej. Mills w wywiadzie udzielonym warszawskiej ,,Polityce'' z 5 sierpnia br. oświadczył, że jest socjalistą i chciałby doczekać się socjalistycznej Ameryki.

Jak dotąd wszystko jest w porządku. Nierozumność racjonalizmu Millsa zaczyna się od jego ataków na liberalizm. Uczony amerykański nie rozumie roli jaką odegrał liberalizm w dziejach inteligencji europejskiej.

Rewolucja październikowa była dziełem inteligencji rosyjskiej. Dziełem i nagrobkiem. Jeżeli przez inteligenta rozumieć krytyka, opozycjonistę i promotora przemian — to należy zgodzić się z E. Kamenką (,,Marxism and the Soviet Intelligentsia'') że dziś w Rosji inteligencji dawnego typu nie ma.

Totalne państwo potrzebuje inżynierów, lekarzy, wychowawców, specjalistów — ale nie toleruje krytyków. Niekonformistyczna, niezależna postawa jest identyfikowana z a-społecznym i anty-państwowym nastawieniem. Socjalizm bez wolności można zbudować tylko za ceną wytępienia liberalizmu i liberalnie myślącej inteligencji.

Wychowana w antyliberalizmie współczesna inteligencja sowiecka buduje ,,sputniki'', ale nie zbudowała ani jednej ,,od-

wilży''. Sowieckie ,,Wostoki'' krążą wokół ziemi, ale jak Rosja długa i szeroka od 1918 r. nie ukazał się tam ani jeden numer pisma, które można by przyrównać do ,,Po Prostu''. Obalenie ,,kultu jednostki'' i skromna ,,odwilż'', którą zapoczątkował 20 Zjazd KPZS były dziełem partii, a nie inteligencji.

Liberalizm jest atakowany zarówno przez dogmatyczną lewicę jak i przez dogmatyczną prawicę. Front antyliberalny łączy reakcjonistów z komunistami — ,,niezłomnych'' antykomunistów z moskiewskimi stalinistami. Antyliberałami są zwolennicy autorytetów, rządów elitarnych, ,,skupiania się wokół wodza'', ,,zwierania szeregów'', przeciwnicy ,,dogadywania się'' z kimkolwiek na jakikolwiek temat, ci, którzy nienawidzą krytyki i drżą przed niezależną myślą.

Gdy Mills mówi: ,,utraciłem złudzenia co do liberalizmu jako filozofii politycznej i socjologicznej'' — trzeba pamiętać, że mówi to amerykański intelektualista, a nie europejski inteligent.

Liberalizm na Zachodzie przysłania często nie tylko brak wiary, ale i brak przekonań. Bywa filozofią tych, którzy w ogóle nie mają żadnej filozofii. Liberalizmem określa się indyferentyzm religijny, ideologiczny i polityczny. Liberalizm utożsamia się z relatywizmem. Ponieważ liberałowie często sami są bezideowi głoszą: ,,koniec wieku ideologii''. Konformizmem liberałów jest nie-konformizm, ideologią — bezideowość, jedynym dogmatem a-dogmatyczność.

Rejestr grzechów liberałów autentycznych i pozornych można by mnożyć w nieskończoność. A jednak bez liberalizmu nie ma i nigdy nie będzie inteligencji. Bez liberalizmu można produkować kadry robotów, technokratów, specjalistów, wykwalifikowane masy termitów — ale nie inteligencję. Bez liberalizmu nie ma kultury humanistycznej. Humanizm może być tylko liberalny — nie było i nie ma innego humanizmu. ,,Humanizm socjalistyczny'' jest takim samym terminem partyjnego żargonu jak ,,demokracja ludowa'' i tyle samo ma wspólnego z humanizmem co ustrój komunistyczny z demokracją.

Nie można wiązać swoich nadziei z intelektualistami i inteligencją i równocześnie odżegnywać się od liberalizmu. W żadnym z państw bloku wschodniego nie mogłaby się ukazać książka opisująca mechanizm władzy rządzącej elity. Taką książkę odsłaniającą kulisy władzy w Ameryce mógł napisać Mills tylko na liberalnym Zachodzie. Gdyby nie istniała liberalna prasa brytyjska, marksista Isaac Deutscher nie miałby możliwości drukowania swoich artykułów. Ani moskiewska ,,Prawda'' ani warszawska ,,Trybuna Ludu'' nie zamieściłyby artykułów, które Deutscher ogłasza na łamach angielskiego ,,The Observer''. Tacy panowie jeżeli walczą z liberalizmem podcinają gałęź, na której wiszą. Bo ani dla Millsów ani dla Deutscherów nie byłoby miejsca w ustroju socjalistycznym wyzutym z wolności i liberalizmu.

III

Intelektualiści na Zachodzie nie wypracowali ani żadnego programu zmierzającego do rozładowania konfliktu ani nawet nie naszkicowali wizji dnia jutrzejszego.

Nie jest żadnym programem czy polityką jednostronne rozbrojenie czy jednostronna likwidacja ,,zimnej wojny''.

Jeżeli do wojny nie dojdzie (co z każdym dniem staje się mniej prawdopodobne) wówczas w moim przekonaniu nie będzie zwycięstwa. W płaszczyznie pokojowej polityki nie wybieramy pomiędzy zwycięstwem a kapitulacją tylko wybieramy pomiędzy rozwiązaniem kompromisowym a kapitulacją.

Rosja mogłaby się wiele nauczyć od Ameryki i odwrotnie Ameryka od Rosji. Ale jest utopizmem wyczekiwać, tak jak Mills, socjalistycznych Stanów Zjednoczonych.

Polem bitwy i kuźnią przemian będą kraje neutralne oraz młode państwa, które osiągnęły niepodległość.

Gdyby Polska. Węgry i Czechosłowacja uzyskały w przyszłości status neutralny mogłyby odegrać historyczną rolę *melting pot* ideologii. Te kraje stanowią również jedyny w świecie rezerwat warstwy określanej mianem inteligencji.

Gdyby Polacy, Czesi i Węgrzy mieli po temu możliwość — wypracowaliby z czasem kompromisowy model ustrojowy, który nie byłby ani komunizmem ani kapitalizmem i górowałby tak nad pierwszym jak i nad drugim.

Europa Zachodnia nie spełni roli *melting pot* ideologicznych systemów ponieważ nie jest neutralna i dysponuje wprawdzie wielkim, ale jednostronnym doświadczeniem historycznym. Przejawem jednostronności jest owa *rationality without reason,* od której i Mills nie jest wolny. Manifestacją jednostronności jest tendencja szukania jednostronnych rozwiązań i rozpaczliwa jałowość intelektualna. Zachodnie jednostronne doświadczenie wystarcza do przeprowadzenia krytyki zachodniego systemu — często świetnej i wnikliwej — ale nie wystarcza do wypracowania perspektywicznego poglądu obejmującego Zachód i Wschód. I w tym sensie Waszyngton i Londyn są prowincją w porównaniu z Warszawą, Pragą i Budapesztem.

Losy kapitalizmu i komunizmu nie rozstrzygną się w Sowietach i w Ameryce ale poza obrębem wojujących bloków. Tylko fanatykom po obu stronach barykady sytuacja wydaje się biało-czarna. Z perspektywy państw neutralnych obraz świata kształtuje się nieco odmiennie. Państwa i narody, które wkraczają obecnie na scenę międzynarodową dalekie są od biało-czarnego plebiscytu. Gotowe są natomiast wziąć to co najlepsze z obu systemów.

Każdy Amerykanin czy to będzie wielki businessman czy mały urzędnik na poczcie — jest przeciwnikiem imperializmu, kolonializmu i krzywdy społecznej. Ale ten sam klasyczny Ame-

rykanin odnosi się z największą nieufnością do reformy rolnej, do nacjonalizacji przemysłu, do upaństwowienia służb społecznych.

Amerykańscy turyści we Francji nie zdają sobie sprawy, że w tym kraju niemal cała gospodarka jest znacjonalizowana: koleje, kopalnie, gaz, elektryczność, nafta, (w większości), największa fabryka samochodów (Renault), pięć największych banków kredytowych, instytucje ubezpieczeniowe (w większości), energia atomowa, największe linie lotnicze i okrętowe, poczta, tytoń i... opera.

Ale jeżeli któreś z państw amerykańskich wkracza na drogę planowania i nacjonalizacji przemysłów natychmiast pada słowo ,,komunizm''.

Rewolucja amerykańska nie może być ortodoksją, jak ortodoksją o odmiennym znaku jest komunizm. Rewolucja amerykańska musi być antytezą ortodoksji. Innymi słowy postawa i polityka Ameryki musi być prawdziwie liberalna,bo tylko liberalna polityka amerykańska zdoła umożliwić państwom neutralnym i państwom ,,na dorobku'' czerpanie z doświadczeń obu systemów bez politycznego wiązania się z jednym z bloków wojujących mocarstw.

W lipcu bieżącego roku prez. Nasser podpisał serię dekretów, które przemieniły ,,Zjednoczoną Republikę Arabską'' w państwo ,,arabskiego socjalizmu''. Obostrzono reformę rolną z 1952 r. redukując maksymalną własność prywatną z 200 do 100 feddanów (feddan nieco więcej niż akr). Ustanowiono nowy podatek dochodowy, który przy dochodzie Ł.E. 10.000 wynosi 90%. Rady dyrektorów kompanii i przedsiębiorstw nie mogą liczyć więcej niż 7 osób, w tym dwóch przedstawicieli robotników. Produkcja, transport, handel zagraniczny, aparat finansowy, a nawet częściowo system dystrybucji wewnętrznej poddano kontroli państwa.

Zarówno prez. Nasser jak i jego współpracownicy podkreślili z naciskiem, że socjalizm arabski nie ma nic wspólnego ani z komunizmem ani z marksizmem. Niewątpliwie jednak ,,nasseryzm'' nie ma również niż wspólnego z systemem amerykańskim. Jeżeli reformy podjęte w Egipcie okażą się sukcesem — mogą znaleźć naśladowców na kontynencie afrykańskim.

Leży w interesie kapitalistycznej Ameryki, która przewodzi wolnemu światu (nie w całości kapitalistycznemu), by każda forma socjalizmu, która nie jest komunizmem — miała zapewniony sukces. Nic nie kryje w sobie większej groźby dla komunizmu jak sukcesy nie-komunistycznego socjalizmu. Bo komunizm pobić można *de facto* tylko na tym polu.

W krajach, w których dochód narodowy wynosi Ł. 20 na głowę mieszkańca (jak w Egipcie) może istnieć albo ustrój feudalny albo państwowy socjalizm. Kapitalizm oznaczałby uzależnienie gospodarcze i polityczne od obcego kapitału. U podłoża tendencji socjalistycznych na Kubie, w Gujanie, w Egipcie i w

innych krajach ,,na dorobku'' leży nacjonalistyczna idea uniezależnienia się od wielkich mocarstw.

Jeżeli pod wpływem zaostrzającego się konfliktu antyliberalizm weźmie górę, w świecie Zachodu ścierać się zaczną skrajne poglądy. Jedni głosić będą ,,twardą politykę'' wietrząc zarazę komunistyczną w każdym odstępstwie od ortodoksji. Drudzy domagać się będą jednostronnego rozbrojenia i pokoju za każdą cenę. Antyliberalna polityka amerykańska w wielu wypadkach uniemożliwiłaby łączenie neutralizmu z socjalizmem, co w rezultacie pchnęłoby liczne państwa neutralne w objęcia Sowietów.

Koniec wieku liberalizmu przyniósłby triumf ortodoksji, ale na pewno nie białej tylko komunistycznej.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Konferencja w Belgradzie

Po raz pierwszy w historii Jugosławii Belgrad gościł w swych murach na początku września br. przedstawicieli 24 państw. Ani dawna Serbia, ani monarchistyczna Jugosławia sprzed drugiej wojny światowej nie znały takiego zjazdu zagranicznych polityków. W przedwojennym Belgradzie odbywały się co najwyżej konferencje Bałkańskiej Ententy. Marszałkowi Tito udało się w pierwszych latach powojennych urządzić kilka konferencji bilateralnych z rozmaitymi przywódcami krajów satelickich, co nie znalazło zbyt wielkiego rozgłosu ani za granicą, ani też wewnątrz kraju. Najświetniejszą imprezą owych czasów był chyba Zjazd Słowiański krótko po drugiej wojnie światowej, a więc w czasie, kiedy Moskwa forsowała ideę solidarności słowiańskiej. Kiedy jednak Jugosławia wyskoczyła z systemu sowieckiego, koncepcja słowiańska musiała upaść i wkrótce rzeczywiście upadła. Rosja Sowiecka, zarówno stalinowska jak i chruszczowowska, czyniła wszystko i czyni wciąż jeszcze, aby Jugosławię odizolować od aktywnej polityki międzynarodowej. Rosjanie najchętniej widzieliby heretyków jugosłowiańskich, zamkniętych na małym podwórku bałkańskim bez jakichkolwiek kontaktów i bez szerszego oddechu na świat. Konferencja państw neutralistycznych, która miała miejsce w czasie od 1 do 6 września w Belgradzie, unicestwiła zamysły sowieckie. Jest to bodajże najważniejszy element w ocenie konferencji belgradzkiej. Oto kraj komunistyczny, który za śmiałość w obronie swoich interesów narodowych oraz samodzielnych eksperymentów w ideologii i praktyce socjalizmu wyklęty i napiętnowany przez władców moskiewskich, nie tylko, że się nie dał powalić, ale wstąpił na drogę odważnych planów w polityce zagranicznej. Sam fakt, że Jugo-

sławii udało się znaleźć wspólny język z wieloma państwami arabskimi, afrykańskimi i azjatyckimi, jest w gruncie rzeczy drugą klęską Stalina i Chruszczowa, nie mówiąc już o dogmatykach chińskich i albańskich Komuniści rosyjscy są bezwzględnie, i niezależnie od oficjalnych oświadczeń, wściekli na komunistów jugosłowiańskich, ponieważ ci ostatni po pomyślnych eksperymentach wewnętrzno-politycznych i gospodarczych pokazują narodom i państwom satelickim, że można utrzymać ustrój socjalistyczny nie należąc do błoku moskiewskiego i prowadząc politykę neutralistyczną. Z tego punktu widzenia konferencję belgradzką należy ocenić jak najpozytywniej. Inaczej jednak wygląda bilans, jeśli chodzi o sprawy aktualnej polityki światowej.

Większość uczestników przyjechała do Belgradu, aby przedstawić swoje partykularne lub narodowo-egoistyczne interesy. A więc Soekarno względem Holenderskiej Gwinei (Zachodni Irian), Nasser odnośnie Izraela, Arcybiskup Makarios w sensie idei zjednoczenia Cypru z Grecją, Algierczycy celem uznania ich rządu powstańczego i uznania pretensji do całego terytorium algierskiego, Nkrumah dla forsowania ruchu panafrykańskiego pod egidą Ghany, Dorticos z Kuby dla oskarżenia Ameryki o przygotowanie nowej agresji. Jedynie grupa azjatycka, a więc Nehru, Bun U z Burmy, Sihanouk z Kambodży i pani Bandaraneike z Ceylonu odnieśli się do idei konferencji neutralistów w sposób bardziej uniwersalny i skłonni byli obradować nad kluczowymi zagadnieniami polityki światowej, a więc nad sprawą Berlina i Niemiec, rozbrojenia i utworzenie stref zdemilitaryzowanych. Znalazło to najdobitniejszy wyraz w przemówieniu premiera Nehru, który dominował nad konferencją. Dawno nie widziałem i nie słyszałem równie przejmującego apelu do sumienia i rozumu ludzkości. Blady, maksymalnie skoncentrowany Nehru, improwizując swoją mowę, zwracał uwagę zebranym na hierarchię potrzeb i celów konferencji, przemawiał do rozsądku politycznego, że w obliczu groźby trzeciej wojny światowej skargi na kolonializm stały się sprawą drugorzędną. Efekt tego przemówienia wśród korespondentów był ogromny — wśród delegatów, z wyjątkiem wspomnianej grupy azjatyckiej — żaden. Przeciwnie, większość polityków obradujących w Skupszczynie, była zdania, że Nehru psuje im sprawę, że spycha narody na zupełnie niedopuszczalne pozycje, że szkodzi interesom narodów antykolonialnych.

Już w kilku godzin po mowie Nehru było wiadomo, że konferencja dostała w łeb, że nie wykona misji, która stanęła przed nią na skutek wypadków w Berlinie i wobec zerwania przez Moskwę moratorium w sprawie doświadczeń z bronią nuklearną.

Politycy krajów niezaangażowanych przypadkowo otrzymali szansę odegrania historycznej roli w konflikcie światowym. Niestety, szansę tę zmarnowali, prawie, że zupełnie. Okazało się, że ogromna większość królów, prezydentów, szeików i premierów z państw ,,pozablokowych", albo jak to nazywają Jugosłowianie po serbsku ,,wanbłokowskich" nie dorosła do odgrywania równorzędnej roli czynnika trzeciej siły w koncercie czy dysonansie polityki międzynarodowej. Przyczyn takiego stanu jest bardzo dużo. Oto najważniejsze: zbyt krótki okres czasu, dzielący tych ludzi od chwili otrzymania niepodległości; kulturalne, techniczne i cywilizacyjne zacofanie, połączone z dużą odległością geograficzną od najważniejszych ognisk konfliktów międzynarodowych; resentymenty w stosunku do Zachodu, pozo-

stałe w spuściźnie systemu kolonialnego; wspomniane już na wstępie interesy regionalne i partykularne, a wreszcie oportunizm, wypływający z zależności ekonomicznej i finansowej od obydwu skłóconych bloków — od Zachodu i Wschodu — względnie tendencja do wygrywania konfliktu między wielkimi mocarstwami celem ssania dwóch krów — komunistycznej i kapitalistycznej.

W normalnych warunkach, tzn. gdyby klimat w polityce światowej był taki, jak to było w czasie ostatnich przygotowań do konferencji, które się odbywały wiosną 1961 roku w Kairo, przebieg narad w Belgradzie minąłby gładko. Wydaje mi się jednak, że dobrze się stało, iż konferencja stanęła wobec trudnych i skomplikowanych zagadnień polityki międzynarodowej. W ten sposób obserwatorzy zebrania belgradzkiego otrzymali z pierwszej ręki bardzo pouczającą lekcję poglądową o tym, czym jest i czym nie jest (choć teoretycznie mógłby być) tzw. trzeci obóz układu sił politycznych w naszym świecie i czasie. Nauka wyniesiona z Belgradu zmusza do rozstania się z wieloma iluzjami, które wypływały bądź z pobożnych życzeń, bądź z niedostatecznego poinformowania. Inna rzecz, że świat zachodni — chodzi tu głównie o Stany Zjednoczone — nie wykorzystał należycie szansy, którą mu nastręczyła konferencja belgradzka. W Waszyngtonie z góry postanowiono, zająć w stosunku do neutralistów również neutralistyczną pozycję, co w zestawieniu z olbrzymią ofensywą sowiecką w Berlinie i wobec eksperymentów z bronią nuklearną nie było mądrym pomysłem. W rezultacie neutraliści, zebrani w niedalekiej od satelitów Związku Sowieckiego Jugosławii, znaleźli się pod działaniem nacisku sowieckiego. Niektórzy z polityków zgromadzonych w Belgradzie byli oszołomieni wymową nowych faktów w polityce sowieckiej, ale Zachód nie dał im żadnej alternatywy. Pasywność okazała się i tym razem nieużyteczna.

Bohdan OSADCZUK

Wybory niemieckie

Dzień 17 września 1961 wejdzie do historii Niemiec powojennych jako słup graniczny, w rozwoju politycznym Niemieckiej Republiki Federalnej. Niezależnie od tego czy ,,żelaznemu kanclerzowi'', Konradowi Adenauerowi, uda się jeszcze na jakiś czas sklecić nowy rząd pod swoim berłem — adenauerowska epoka w życiu politycznym Niemiec Zachodnich należy do przeszłości. A chociaż uwagi te pisane są w kilka godzin po opublikowaniu prowizorycznych jeszcze wyników głosowania — nie można się powstrzymać od ustalenia pewnych punktów, które charakteryzują nową sytuację.

Zasadnicze znaczenie posiada utrata przez Chrześcijańską Demokrację absolutnej większości w przyszłym Bundestagu. Tę absolutną większość

partia kanclerza Adenauera uzyskała w przedostatnich wyborach z roku 1957. CDU (*Christlich-Demokratische Union*) zachowała dalej najsilniejszą pozycję i w nowym parlamencie, ale fakt, że zmuszona będzie pójść na układ koalicyjny z partią liberałów FDP (*Freie Demokratische Partei*) — która zajmuje wprawdzie dopiero trzecie miejsce w hierarchii frakcji nowego parlamentu w Bonn, ale w porównaniu z klęską odniesioną w roku 1957 uzyskała zupełnie zaskakujący sukces — ma bardzo doniosłe znaczenie. Niemieccy socjaliści zdobyli pokaźną liczbę nowych mandatów, w wielu wypadkach nawet w tradycyjnych okręgach partii Adenauera, ale nie zdołali doprowadzić do zmiany warty. Teoretycznie SPD będąc w posiadaniu 190-ciu mandatów mogłaby, w połączeniu z również opozycyjną dotychczas partią liberałów, która zdobyła 66 miejsc w parlamencie, zmajoryzować partię Adenauera, która ma w nowym Bundestagu 241 posłów, ale przewodniczący partii FDP, Mende, zobowiązał się wobec wyborców, że nie pójdzie na żaden kompromis koalicyjny z socjalistami. Nie należy więc przypuszczać, że mógłby obecnie, po wyborach, złamać przyrzeczenie. Mieszczaństwo oraz część intelektualistów, którzy głosowali na partię liberalną potraktowaliby koalicję FDP z SPD jako zdradę ich gospodarczych bądź politycznych interesów.

Socjaliści znajdują się w przykrej sytuacji. Nie ulega wątpliwości, że chcieliby wejść do rządu i wpływać aktywnie na losy demokracji niemieckiej, zwłaszcza jeśli idzie o Berlin i politykę zagraniczną. Również w sprawach wewnętrznych, szczególnie w polityce socjalnej, partia socjaldemokratyczna miałaby wiele do powiedzenia, bo chociaż Niemcy Zachodnie wciąż jeszcze przeżywają niebywałą koniunkturę ,,cudu gospodarczego'' — za fasadą Mercedesów, *coctail-parties*, grubych kont bankowych, lodówek, telewizorów i polowań w Afryce istnieje dużo ciemnych plam. Socjaliści zaproponowali już utworzenie wielkiej koalicji, ogarniającej wszystkie trzy frakcje parlamentarne. Ale większość kierownictwa CDU (choć są tam poważne wyjątki jak np. dotychczasowy prezydent parlamentu ewangelik Gerstenmeier) — pozostająca nadal pod wszechpotężnym wpływem Adenauera, odrzuciła już nazajutrz po wyborach ofertę socjalistów.

Poważnie można liczyć tylko na koalicję CDU-FDP. Ale sęk w tym, że Mende, w imieniu partii liberalnej, odgrodził się w akcji przedwyborczej nie tylko od koalicji z socjalistami, ale i od wstąpienia do gabinetu pod kierownictwem Adenauera. Wówczas oświadczenie to wyglądało na niepoważny chwyt wyborczy, dziś natomiast, powtórzone przez przywódcę liberałów natychmiast po ogłoszeniu wyników głosowania, nabrało ważkiego ciężaru politycznego i jest najdotkliwszym ciosem, jaki kiedykolwiek ugodził ,,żelaznego kanclerza''. Deklaracja Mendego ma zresztą dość skomplikowaną genezę i powstała na tle nie tylko zasadniczych zastrzeżeń co do kursu Adenauera w polityce zagranicznej, ale jest też wynikiem — może nawet w pierwszym rzędzie — smutnych doświadczeń, niektórych liberałów niemieckich z czasów wspólnej koalicji z CDU pod egidą kanclerza w okresie dwóch kadencji Bundestagu, począwszy od 1949 roku. Jest więc w tym akcie duża doza zemsty politycznej za lekceważenie i poniżanie dawnego partnera.

Tak jak sprawy obecnie wyglądają, CDU będzie musiała poświęcić Adenauera, który wcale nie chciał i nawet po wyborach nie myśli z własnej woli pójść na emeryturę. Wprawdzie istnieje możliwość utworzenia rządu

mniejszości parlamentarnej, ale znając Adenauera należy przyjąć z całą niemal pewnością, że na taki ryzykowny krok uzależnienia działalności gabinetu od decyzji opozycyjnej większości w Bundestagu na pewno nie pójdzie. Zatem pozostaje jedyne logiczne wyjście — gabinet bez Adenauera, prawdopodobnie pod przewodnictwem Erharda, dotychczasowego wicekanclerza i prekursora polityki wszystkich rządów bońskich od 1949 roku.

Kurs polityki nowego gabinetu będzie więc kursem wypośrodkowanym pomiędzy linią chrześcijańskich-demokratów i liberałów. Przed kilkoma laty można było obserwować bardzo poważne rozbieżności pomiędzy poglądami CDU i FDP, zwłaszcza w podstawowych zagadnieniach polityki zagranicznej. Partia liberałów w ciągu długiego czasu występowała z rozmaitymi projektami demilitaryzacji całych Niemiec, aby w ten sposób dojść do zjednoczenia podzielonego kraju. Ostatnio, a zwłaszcza pod wpływem wypadków berlińskich, podobne sugestie znikły bez śladu, ale kto wie czy w związku z fiaskiem widoków na zjednoczenie Niemiec według recepty Adenauera i w obliczu trudności, przed którymi niebawem stanie Republika Federalna na gruncie polityki międzynarodowej — liberałowie nie wyjdą z jakimiś nowymi propozycjami. W każdym razie wiadomo, że byli oni do niedawna zwolennikami nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską i Czechosłowacją.

Tak jak się obecnie układają sprawy polityki niemieckiej nie jest rzeczą prawdopodobną, aby problem normalizacji stosunków dyplomatycznych z Warszawą znalazł w najbliższym czasie zwolenników w nowym parlamencie czy rządzie NRF. Natomiast inaczej wygląda sprawa uznania granicy na Odrze i Nysie. Świadomość, że jest to zagadnienie jak najbardziej aktualne i że w toku pertraktacji o takie czy inne rozwiązanie kryzysu berlińskiego mocarstwa zachodnie przedłożą podobną ofertę Związkowi Sowieckiemu, we wszystkich poważnych kołach politycznych w Bonn wzrasta z tygodnia na tydzień, ba ostatnio z dnia na dzień. Dla nowego rządu zachodnio-niemieckiego sytuacja jest o tyle wygodniejsza, że partia przesiedleńców BHE, która przed wyborami poszła na fuzję z prawicową partią *Deutsche Partei* poniosła druzgocącą klęskę. Świadczy to o daleko posuniętej integracji przesiedleńców. Rewizjonistyczne antypolskie i antyczeskie hasła ziomkostw z dawnych terenów wschodnich straciły wszelką atrakcyjność. Normalne życie odniosło walne zwycięstwo nad mrzonkami odwetu i powrotu na Wschód. Jest to niezwykle doniosłe wydarzenie, które wbiło chyba ostatni gwóźdź do trumny rewizjonistycznych roszczeń niemieckich po drugiej wojnie światowej. Fakt ten rozwiązuje w dużym stopniu ręce przyszłego gabinetu w Bonn jeśli idzie o uznanie granicy na Odrze i Nysie.

Pozytywnym zjawiskiem wyborów z dnia 17 września jest również zupełna klęska superszowinistycznej i skrajnie prawicowej Niemieckiej Partii Rzeszy (*Deutsche Reichspartei*) oraz kryptokomunistycznej Niemieckiej Unii Pokoju (*Deutsche Friedensunion*), która mimo wielkiego odwrotu socjaldemokratów od dogmatycznych i, jak się zdawało, wciąż jeszcze żywych w pewnych środowiskach robotniczych pojęć marksistowskich, nie zdobyła nawet dwu procent głosów.

BEO

Kronika angielska

„JESLI ZAWTRA WOJNA..."

Amerykańscy turyści zawiedli w tym roku w Anglii. Podobnie jest na kontynencie. Ludzie boją się wojny.

Co powinien zrobić Chruszczow jeżeli pragnie uniknąć wojennego konfliktu?

Jeżeli Chruszczow pragnie uniknąć wojny powinien przestudiować dokładnie sprawę powstania węgierskiego. Wiadomo, że początkowo Sowiety zamierzały wycofać się z Węgier. Chruszczow oświadczył wówczas w mało znanym przemówieniu, wygłoszonym w jednej z pogranicznych miejscowości, że wielki niepokój towarzyszył decyzji podjęcia interwencji. Niemal do ostatniej chwili opinie w tej sprawie w Moskwie były podzielone.

Anglia i Francja zajęte były aferą sueską i nie wchodziły w grę. Chruszczow zawierzył opinii swoich dyplomatów i swojego wywiadu, że Ameryka się nie ruszy. Fakty w całości potwierdziły słuszność tych przewidywań.

Zgadzam się z opinią Sidney Hook'a, że Sowiety nie zdecydowałyby się na zbrojną interwencję na Węgrzech, gdyby były pewne czynnej reakcji ze strony Stanów Zjednoczonych. Ta reakcja nie musiała przybrać formy wojny atomowej. Moskwa musiała natomiast mieć pewność, że na interwencję na Węgrzech Ameryka czynnie zareaguje. Ta reakcja w dalszych konsekwencjach mogłaby oczywiście prowadzić do zerwania stosunków dyplomatycznych, światowego kryzysu, a nawet wojny.

Polityka jest umiejętnością empiryczną. Dla aktualnego w danym momencie problemu szukamy zawsze analogii w przeszłości. Innymi słowy na starych błędach uczymy się robić nowe błędy. Albowiem w gruncie rzeczy nie ma analogicznych sytuacji. Każda sytuacja jest zawsze *nową* sytuacją.

Druga wojna światowa wybuchła dlatego, że Hitler w swojej kalkulacji oparł się na analogii pomiędzy sytuacją monachijską, a kryzysem niemiecko-polskim. W istocie jednak analogia była pozorna a różnice rzeczywiste.

Niebezpieczeństwo wojny w kryzysie berlińskim polega na możliwości wadliwego odczytania pozornych analogii.

Jakie są analogie?

Z wszystkich znaków na ziemi i na niebie można wnioskować, że Anglicy nie są entuzjastami wojny o Berlin. Francuzi nie mają wprawdzie Suezu, ale mają Algierię i kryzys w Bizercie. I wreszcie analogia zasadnicza. Jeżeli nie było warto ryzykować wojny dla Budapesztu — czy warto ryzykować kataklizm atomowy dla Berlina? Sugestywnie nasuwa się wniosek, że ci którzy nie zaryzykowali wojny dla Budapesztu na pewno nie zaryzykują jej dla Berlina.

A jednak sytuacja jest nowa i bez precedensu. Jeżeli Chruszczow w swych kalkulacjach oprze się na analogiach budapeszteńskich może sprowokować wojnę, której boi się i nie chce. Premier sowiecki powinien przestudiować historię węgierską, ale w tym celu by się przekonać, że obecna sytuacja jest zupełnie inna.

Gdyby z dala od granicy Federalnej Republiki, powiedzmy w Dreznie — wybuchły poważne rozruchy — w mojej opinii Zachód by nie drgnął. Uznano by to za wewnętrzną sprawę bloku wschodniego i pozwolono by czołgom sowieckim zgnieść powstanie na wzór budapeszteński. W tym wypadku częściowa analogia z Budapesztem znalazłaby pełne zastosowanie.

Natomiast gdyby Sowiety podjęły próbę odcięcia Berlina od Zachodu siłą — Amerykanie odpowiedzieliby siłą. Odpowiedzieliby siłą nie dlatego, że złożyli wieczyste śluby bronienia wolności 2 milionów zachodnich Berlińczyków — lecz dlatego, że społeczeństwo amerykańskie nie przełknęłoby już tak wielkiego upokorzenia. Skapitulowanie przed siłą, oddanie Berlina bez wystrzału w sposób kompromitujący i tchórzliwy — byłoby dziś nie do przyjęcia dla opinii amerykańskiej.

Wojna to nie tylko gabinety, dyplomaci i ministrowie. Wojna — to przede wszystkim ludzie — zwyczajni ludzie. Londyńczycy, którzy witali Chamberlaina gdy wymachiwał papierkiem podpisanym przez Hitlera, byli to ci sami londyńczycy, którzy z zaciśniętymi zębami w najczarniejszej godzinie Anglii słuchali słów Churchilla: „będziemy walczyli na plażach. będziemy walczyli na ulicach naszych miast, będziemy bronili każdego domu".

Amerykanie, którzy przełknęli Budapeszt, to są ci sami Amerykanie, którzy dziś nie przełknęliby Berlina. Moment psychologiczny powoduje, że Historia nigdy się nie powtarza i dlatego każda sytuacja jest nową sytuacją.

Amerykanie są ci sami, ale ich reakcja psychiczna jest różna. Właśnie dlatego, że musieli przełknąć Budapeszt — i od owego czasu całą serię porażek i upokorzeń — dziś zbrojna interwencja sowiecka w kryzysie berlińskim spowodowałaby zbrojną kontrinterwencję ze strony amerykańskiej.

Analizując stopień prawdopodobieństwa wojny — najłatwiej jest popełnić błąd w ocenie momentu psychologicznego. A od tego momentu zależy odpowiedź na kardynalne pytanie czy ci sami ludzie w pozornie analogicznej sytuacji zaczną wymachiwać monachijskim parasolem czy odbezpieczonym karabinem.

Moment psychologiczny wpływa również na stopień reakcji. Zrzucenie bomby atomowej na Hiroszimę było możliwe tylko w ówczesnym klimacie psychicznym — po latach klęsk, walk i nienawiści, która wyraziła się w żądaniu bezwarunkowej kapitulacji. Gdyby Japończycy nie zgodzili się na bezwarunkową kapitulację — a uczynili to obawiając się o życie cesarza — Amerykanie nie zawahaliby się rzucić bomby atomowej i na Tokio.

Osobiście jestem pewien, że gdyby w najbliższym okresie doszło do wojny — to z chwilą gdyby stało się oczywiste, że nie można liczyć na zlokalizowanie konfliktu — Amerykanie użyliby broni atomowej nawet gdyby to mieli uczynić pierwsi. Amerykanie nie rozpoczną wojny. Ale jeżeli Rosjanie rozpoczną konflikt zbrojny, który Waszyngton uzna na otwarcie wojny światowej Nr 3 — wówczas Pentagon uderzy wszystkimi rozporządzalnymi środkami nie pytając się o radę żadnego z aliantów.

Amerykanie górują nad Rosją lotnictwem strategicznym. Lotnictwo strategiczne bez bomb nuklearnych — to jak kolumna czołgów bez benzyny.

Armia amerykańska „odatomizowana" vis-à-vis sowieckiego „wału mięsa" nie jest potęgą. Ta sama armia amerykańska zatomizowana stanowi najstraszliwsze narzędzie niszczycielskie jakie stworzono na tym globie.

Sowiety nie powinny liczyć na „konwencjonalizm strategiczny" ze strony Amerykanów. Stany Zjednoczone mogą wygrać wojnę tylko przewagą swojej technologii, a nie siłami „konwencjonalnymi". Na ten temat nie należy mieć żadnych złudzeń.

Wszyscy publicyści na Zachodzie występują w charakterze doradców prez. Kennedy'ego. W niniejszej notatce postanowiłem wyłamać się z tego konformistycznego szablonu i wystąpić jako tajny radca prem. Chruszczowa. Co należałoby mu doradzić?

Oto moje propozycje. Ponieważ Anglia i Francja — w przeciwieństwie do Ameryki — są w gruncie rzeczy za podziałem Niemiec — należy cierpliwie wyjaśniać mocarstwom NATO, że mur Ulbrichta jest nieodzownym warunkiem istnienia dwóch państw niemieckich. Ani Anglia ani Francja nie życzą sobie zjednoczonych Niemiec, które dominowałyby gospodarczo w ramach „wspólnego rynku". Podział Niemiec utrzymać można jedynie siłą — i z tego punktu widzenia nie ma sprzeczności pomiędzy murem Ulbrichta, a interesami brytyjskimi czy francuskimi.

Należy porzucić koncepcję przekształcenia Berlina w „wolne miasto". Gdańsk był również „wolnym miastem" i 90% ludzi na Zachodzie w sprzeczności z historycznymi faktami — wierzy święcie, że Gdańsk zdetonował drugą wojnę światową. Amerykanie nie mogliby zgodzić się na radykalną zmianę statusu Berlina bez utraty twarzy. Koncesje w tej sprawie okrzyczano by na Zachodzie za kapitulację. Cóż więc należy robić? Mówiąc językiem marksistowskim należy antagonistycznym sprzecznościom problemu niemieckiego umożliwić pełną grę.

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Sowiety podpisują traktat pokojowy z NRD, w którym nie ma słówka o „wolnym mieście" Berlinie. Przeciwnie traktat potwierdza legalny status mocarstw okupacyjnych w zachodnim Berlinie. Wschodni Berlin zostaje wcielony do NRD i wyodrębniony jako oddzielne miasto pod nazwą „Berlin-Stolica".

Jak wiadomo cały transport na autostradach i w korytarzach lotniczych znajduje się pod kontrolą sowiecką. Po podpisaniu traktatu pokojowego — stopniowo, dyskretnie, bez pośpiechu na punktach kontrolnych oficerów sowieckich zastępuje się oficerami wschodnio-niemieckimi. Jeżeli oficerowie wschodnio-niemieccy w swojej nowej roli wykażą dostateczną ilość taktu i zrozumienia — nikt nie będzie zgłaszał protestu. W prasie zachodniej ukażą się artykuły i oświadczenia wyjaśniające i przekonywujące, że korzystanie z usług oficerów wschodnio-niemieckich nie jest równoznaczne z uznaniem rządu NRD ani *de facto* ani *de jure*.

Po paru miesiącach świat przyzwyczaiłby się do nowej sytuacji. W „Prawdzie" powinien ukazać się artykuł stwierdzający, że z punktu widzenia polityki sowieckiej sprawa Berlina i Niemiec została pokojowo i pomyślnie załatwiona. I na tym koniec. Chruszczow winien wydać polecenie by na temat Berlina zapanowało w prasie sowieckiej grobowe milczenie.

Po paru tygodniach Berlin przestałby być *news*. Prasa światowa skupiłaby swą uwagę na innych zagadnieniach. W Waszyngtonie, w Londynie i w Paryżu nie byłoby poczucia sukcesu — ale pocieszano by się myślą,

że Zachód nie skapitulował. A w Berlinie i w Niemczech zachodnich rozpocząłby się okres wielkiej frustracji. Do Berlina zachodniego przestaliby przyjeżdżać wice-prezydenci Stanów Zjednoczonych i inni dygnitarze — wycofano by stopniowo oddziały wojskowe ściągnięte w okresie kryzysu — tłum fotoreporterów i dziennikarzy spakowałby manatki i wrócił na Zachód. Przedstawienie byłoby skończone. Zostałaby tylko scena i aktorzy odcięci od publiczności.

W Berlinie wczesną jesienią bieżącego roku panował nastrój podobny do tego, jaki kiedyś przeżywała Warszawa. Barykady, czołgi, żołnierze w bojowym rynsztunku i zapewnienia płynące z całego świata: *trzymajcie się — nie zapomnimy o was!"*.

Ludzie żyjący w obliczu wroga, na przedpolu, które każdej godziny może zamienić się w pole bitwy — w napięciu nerwów oczekują dramatycznych wydarzeń i decyzji. Jeżeli nic się nie stanie — jeżeli nie będzie ani wojny, ani zwycięstwa, ani pokoju, tylko nadal kolczasty drut na murze Ulbrichta jako symbol nierozwiązalnej ,,kwestii niemieckiej" — fala depresji i rozczarowania ogarnie Berlin i Niemcy zachodnie.

30 sierpnia bieżącego roku ambasador NRF w Waszyngtonie wręczył prez. Kennedy odręczny list kancl. Adenauera. W piśmie tym dr Adenauer domagał się energicznej polityki mocarstw zachodnich w sprawie Berlina ostrzegając, że w przeciwnym wypadku zwycięży w NRF neutralizm. Kanclerz przestrzegał nie tylko przed wzrostem nastrojów neutralistycznych, lecz również przed krytyką kwestionującą udział Niemiec w NATO.

Do analogicznych wniosków doszliśmy niepomiernie wcześniej niż kancl. Adenauer czego dowodem są artykuły w ,,Kulturze". Ale nie wahaliśmy się również nad tym nieszczęsnym ,,i" postawić kropki.

Wskazywaliśmy na podwójną sprzeczność leżącą u podstaw ,,kwestii niemieckiej".

Rząd w Bonn głosi politykę zjednoczenia i uważa, że reprezentuje cały naród niemiecki. Sprzymierzeńcy Niemiec natomiast w swoich postulatach ograniczają się do zachodniego Berlina i statusu prawnego trzech mocarstw w zachodnich sektorze miasta.

Prez. Kennedy — według doniesień prasy amerykańskiej — byłby gotów złożyć uroczystą deklarację, że armia niemiecka nie zostanie nigdy wyposażona w bronie atomowe. Dr Adenauer natomiast, w przemówieniu wygłoszonym w Ulm w dniu 26 sierpnia br., oświadczył dosłownie: ,,Jako kanclerz nigdy nie wysłałbym żołnierzy niemieckich bez broni nuklearnych przeciwko nieprzyjacielowi uzbrojonemu w bronie nuklearne".

Osobiście nie dziwię się Adenauerowi. Według planów NATO armia zachodnio-niemiecka ma bronić centralnego odcinka frontu europejskiego. Oczywiście bez broni nuklearnych Niemcy nie będą mogli stawić czoła przeciwnikowi dysponującemu broniami atomowymi.

W zgiełku przemówień, not, konferencji prasowych, w hałasie propagandy radia i telewizji — trudno jest odnaleźć owego przesłowiowego *skeleton in the cupboard* polityki niemieckiej.

Owym ,,trupem w szafie" nie są oczywiste sprzeczności pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą — lecz maskowane choć niemniej zasadnicze sprzeczności pomiędzy aspiracjami Bonn a polityką mocarstw sojuszu atlantyckiego.

W moim przekonaniu te ostatnie sprzeczności mogą kiedyś zdetonować trzecią wojnę światową.

Są dwie logiczne alternatywy. Albo trzeba uzbroić Niemcy w bronie atomowe i poprzeć ich program wschodnio-europejski — albo trzeba Niemcy zdemilitaryzować i zneutralizować.

Ale akceptować podział Niemiec, skłaniać się do uznania granicy na Odrze i Nysie, odmawiać Bundeswehrze broni nuklearnych i równocześnie ufać, że Niemcy pozostaną entuzjastami NATO jest po prostu nonsensem.

Politycy w Bonn nie tracą nadziei, że zaostrzający się konflikt zmusi Amerykanów do zaakceptowania w całości linii polityki niemieckiej.

Gdybym był tajnym radcą prem. Chruszczowa starałbym mu się wytłumaczyć, że piętrzenie gróźb ze strony Związku Sowieckiego gra bezpośrednio w ręce maksymalistów zachodnio-niemieckich. Jeżeli Amerykanie dojdą do wniosku, że wojna jest nieuchronna, obiecają Niemcom wszystko i uzbroją ich po zęby z broniami atomowymi włącznie.

Choć istnieją znaczne różnice w poglądzie na Niemcy pomiędzy Londynem i Paryżem z jednej strony, a Waszyngtonem z drugiej strony, Amerykanie w tej chwili nie mają zamiaru firmować maksymalistycznych postulatów niemieckich. Ale prem. Chruszczow może ich do tego w końcu nakłonić. W tej sprawie zadecyduje również moment psychologiczny. Innymi słowy jeżeli prem. Chruszczow zdoła przekonać Waszyngton, że konflikt zbrojny jest tylko kwestią czasu — Niemcy dostaną wszystko czego zażądają.

Politycy sowieccy stanowią dziwną i nieobliczalną mieszaninę pragmatyzmu z dogmatyzmem. Nie widzą sprzeczności pomiędzy politycznym maksymalizmem niemieckim, a celami NATO ponieważ Chruszczow i jego doradcy uważają, że NATO jest koalicją kapitalistów pod komendą superkapitalistów amerykańskich, którzy zawsze poprą kapitalistów zachodnio-niemieckich.

Wojna może wybuchnąć tylko z tej przyczyny, by stało się zadość literze dogmatu.

Obie strony zaoszczędziłyby sobie (i nam) wojny z przypadku, z nieporozumienia i z wadliwych interpretacji dogmatów ideologicznych — gdyby prem. Chruszczow zaangażował w charakterze stałego doradcy wybitnego polityka amerykańskiego, a prez. Kennedy dołączył do grona swych ekspertów wybitnego polityka sowieckiego. Miarą absurdalności obecnej sytuacji jest fakt, że tak oczywiście rozsądny pomysł wydać się musi nonsensowną mrzonką.

DLA KOGO WYNALEZIONO KOMUNIZM?

W serii „Penguin Special" ukazała się książka prof. historii na „Southern Illinois University" — Dr Ping-Chia-Kuo pt. „China — New Age and New Outlook".

Dr Kuo należy do emigrantów średniego pokolenia. Urodził się w Chinach i w Chinach ukończył szkołę średnią. Natomiast stopień doktora zdobył w Harvard.

W czym różnią się poglądy emigranta dra Kuo w stosunku do komunistycznych Chin w porównaniu z poglądami emigranta Dr Y.Z. z Londynu w stosunku do komunistycznej Polski?

Różnią się totalnie i zasadniczo we wszystkim. Pedantyczny indeks rzeczowy w omawianej książce obejmuje około 600 haseł. Lecz wśród tych 600 haseł nie ma słowa: religia. W książce, która omawia losy 700 milionów ludzi, nie padło słowo „religia". Nie ma również wzmianki o katolicyzmie czy protestantyzmie. Dla Chińczyków to nie jest problem.

Więc może wolność? Na ten temat dr Kuo stwierdza, że reglamentacja nie spotyka się z oporem ludności. Ograniczenia indywidualnej wolności są wyrównane bezpośrednimi i użytecznymi usługami oferowanymi przez państwo. To oznacza, że usługi oferowane przez państwo znacznie lepiej zaspakają potrzeby ludności niż mógłby to sprawić mało zrozumiały ideał wolności indyduałnej (str. 190).

Jeśli nie wolność indywidualna — to może opinia publiczna? Ale dr Kuo i w tej dziedzinie szybko uspakaja swego czytelnika. W Chinach nigdy nie było opinii publicznej w europejskim czy w amerykańskim znaczeniu tego słowa. Dopiero komuniści podjęli pracę nad stworzeniem chińskiej opinii publicznej. Ich cel jest podwójny: wyrwać masy z psychicznego bezwładu i nakłonić je do zaakceptowania linii partii.

Z zachodniego punktu widzenia tego rodzaju „odgórne" dyrygowanie opinią publiczną jest czymś odpychającym — przyznaje ze spokojem dr Kuo. Ale dokładnie analogicznymi metodami „odgórnej" perswazji i kontroli myśli osiągano spokój i szczęśliwą stabilizację społeczną w dawnych Chinach dominowanych przez filozofię Konfucjusza.

Czytając uczone studium dr. Kuo dochodzi się do oczywistego wniosku, że komunizm został stworzony dla Chińczyków. Gdyby Marks zmarł w niemowlęctwie na dyfteryt — marksizm (z pewnym opóźnieniem) zostałby wynaleziony w Chinach.

Dziś stare klasyczne teksty wydaje się z marksistowskim komentarzem — tak, że komunizm chiński jawi się przed milionami Chińczyków jako naturalny dalszy ciąg cywilizacji. Ponieważ Chiny to nie jest ani kraj, ani naród — tylko cywilizacja. Kto miał nieszczęście urodzić się poza ramami tej cywilizacji jest barbarzyńcą.

No, a cóż z Formozą? — zapyta Czytelnik. Czang-Kai-Szek jest metodystą, ale większość jego doradców to nie są chrześcijanie. Lecz to nie jest istotne. Istotny jest czas. Czang-Kai Szek i góra rządząca, związana z Amerykanami, to są wszystko starsi panowie. Masy na wyspie są zdrowe — to znaczy chińskie. Z chwilą gdy wymrą „niezłomni" finansowani przez Amerykanów — naturalny patriotyzm mas chińskich na Formozie utoruje drogę do wieczystej unii z macierzą.

Dr Kuo nie przewiduje otwartego konfliktu pomiędzy Sowietami a Chinami. W jego opinii komuniści w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich reżymów chińskich — mają realne możliwości zapewnienia Chinom statusu wielkomocarstwowego równego statusowi Związku Sowieckiego.

Książkę amerykańskiego profesora dr. Kuo powinni przeczytać wszyscy znakomici i mniej znakomici sowietolodzy, którzy marzą o zlikwidowaniu zarazy komunistycznej. Jeżeli ocena dr. Kuo jest słuszna, komunizm w Chinach przetrwa i pozostanie na wieki. I nie poprzez chrześcijaństwo, lecz

poprzez marksizm Chińczycy zaadoptują w końcu technologiczną cywilizację Zachodu.

Pasywne religijne filozofie azjatyckiego Wschodu w zetknięciu z komunizmem nie wytwarzają przepaści poglądowej, która oddziela marksizm od chrześcijaństwa.

,,Wojna Opiumowa", koncesje, napisy w rodzaju: ,,psom i Chińczykom wstęp wzbroniony". Głosiliśmy równocześnie dwie ewangelie. W słowach ewangelię chrześcijańską — w praktyce ewangelię zysku i wyzysku. Nie-święty sojusz chrześcijaństwa z kolonializmem i kapitalizmem zadecydował o losach chrześcijaństwa nie tylko w Chinach, w Azji, ale i w Afryce.

KOMPLEMENT

Dr Hansjakob Stehle, korespondent warszawski ,,Frankfurter Allgemeine Zeitung" omawiając w dłuższym artykule datowanym z Warszawy kryzys berliński w polskiej perspektywie, poświęcił sporo miejsca mojej niemieckiej książce wydanej przez ,,Colloquium Verlag" w Berlinie.

Dr Stehle podkreśla — nie bez pewnego zdziwienia — że tezy książki pokrywają się z opinią większości nie-komunistycznych Polaków w kraju. Jeżeli chodzi o granice na Odrze i Nysie nie byłoby w tym nic dziwnego. Ale warszawskiego korespondenta wielkiego niemieckiego pisma uderzył fakt, że nawet te moje poglądy, które różnią się od poglądów antykomunistów zachodnich — harmonizują w pełni z przekonaniami większości społeczeństwa w Polsce. Sądzę, że publicyście, przebywającemu od 22 lat poza krajem, nie można zrobić większego komplementu.

Dr Stehle pisze: *In einem wesentlichen Punkt aber trifft sich Mieroszewski besonders mit der Mehrheit seiner Landsleute und unterscheidet sich von der Westen vorherrschenden Meinung.*

O jaki punkt chodzi w tym wypadku? Dr Stehle pisze, że gdyby istniał wybór między wolnością a pokojem — Mieroszewski uważa, podobnie jak większość jego rodaków w Polsce, że należałoby opowiedzieć się, za pokojem. Dlaczego? Ponieważ tak dla emigranta Mieroszewskiego jak i dla Polaków w kraju wojna światowa oznacza zawsze wojnę z Niemcami. Rządów komunistów — z których nikt nie jest zadowolony — nie porównuje się z wolnością i demokracją, lecz z minioną niemiecką okupacją.

Dr Stehle, który zna doskonale Polskę i Polaków — powinien zdawać sobie sprawę z faktu, że niestety nie wybieramy pomiędzy pokojem a wolnością. To dzięki stanowisku Niemiec, Polacy widzą ewentualną trzecią wojnę światową w perspektywie wojny polsko-niemieckiej i tylko polityka niemiecka mogłaby wpłynąć na zmianę tej perspektywy.

GŁOS ROZSĄDKU

W ,,New York Times" ukazał się list wielkiego przyjaciela Polaków i ,,Kultury", Charles Merrill'a, rektora Commonwealth School w Bostonie, Mass. W cytowanym liście p. Merrill pisze między innymi:

„Stojąc twardo w sprawie Berlina winniśmy równocześnie wyjaśnić bez niedomówień, że nie udzielamy poparcia „in blanco" niemiecko-zachodniej polityce zagranicznej. Dla nas Adenauer jest przywódcą „defensywnym" (*defensive leader*) jednym z niewielu naszych sprzymierzeńców, który posiada siłę i determinację. Lecz dla Polaków i Rosjan — nawet dla tych, którzy nie popierają Chruszczowa — Adenauer wydaje się „agresywnym" przywódcą (*offensive leader*) zdecydowanym odbudować niemieckie władanie nad wschodnią Europą".

W dalszej części swojego listu p. Merrill przypomina wystąpienie kacl. Adenauera w płaszczu „zakonu krzyżackiego" w lipcu 1960 r. Dr Adenauer powiedział wówczas, że sprzymierzeńcy NRF muszą zrozumieć, że Niemcy nie spoczną dopóki nie odzyskają swych utraconych prowincji — Pomorza, Prus i Śląska. Jak słusznie zauważa autor listu, nie można dopuścić do przedstawiania Stanów Zjednoczonych jako cynicznego sojusznika kapitalistycznych i zaborczych Niemiec.

P. Merrill domaga się, by Ameryka, Anglia i Francja we wspólnej deklaracji uznały granicę na Odrze i Nysie jako ostateczną granicę przyszłego zjednoczonego państwa niemieckiego. W tej samej deklaracji trzy mocarstwa winny złożyć zapewnienie, że armia zachodnio-niemiecka nie zostanie wyposażona w bronie nuklearne.

„Żaden Polak czy Rosjanin, choćby najbardziej nastrojony antykomunistycznie" — pisze p. Merrill — „nie zaryzykuje aktywnego oporu, jeżeli rezultatem miałaby być amerykańsko-niemiecka interwencja. Interwencja politycznie kierowana przez Amerykanów, lecz w praktyce w odnośnych krajach realizowana przez administrację i armię niemiecką".

Jeżeli kryzys berliński nie zakończy się ani katastrofą ani kapitulacją, a natomiast przyczyni się do powszechnego uświadomienia w Ameryce poglądów wyrażonych w liście p. Merrill'a w „N.Y. Times" — bilans berliński w ostatecznym rozrachunku może się zamknąć saldem dodatnim.

LONDYŃCZYK

Niebezpieczny eksperyment

SĄDY ROBOTNICZE

Począwszy od końca ubiegłego roku próbuje się wprowadzać w zakładach pracy w Polsce sądy robotnicze, sądy, które mają wychowywać załogi przedsiębiorstw w duchu zasad ,,moralności socjalistycznej''.

Nie jest to jednak eksperyment nowy; sądy takie, zwane wówczas sądami koleżeńskimi, próbowano już raz organizować w tzw. okresie ,,minionym'', opierając je, tak jak i wiele innych instytucji, na wzorach sowieckich. Bardzo charakterystyczny był przy tym sposób ich wprowadzenia. Mimo, że wkraczały one w dziedzinę podstawowych praw obywatelskich w zakresie wymiaru sprawiedliwości, sądy koleżeńskie zostały powołane nie na mocy ustawy sejmowej, ale na podstawie uchwały Centralnej Rady Związków Zawodowych, która miała być obowiązującym przepisem prawnym. Uchwała ta, podjęta w październiku 1955 r. na VI Plenum Centralnej Rady Związków Zawodowych, ustaliła, że począwszy od 1 stycznia 1956 r. sądy koleżeńskie będą organizowane we wszystkich zakładach pracy, instytucjach państwowych i urzędach, zatrudniających 100 i więcej pracowników.

Przeprowadzenie tej uchwały było również charakterystyczne dla ówczesnych stosunków. Na Plenum CRZZ, zwołanym dla rozpatrywania działalności kulturalno-oświatowej w ruchu związkowym, wniosek o sądach koleżeńskich zgłoszono pod koniec obrad, tak że ich uczestnicy nie mieli możności dokładnego zapoznania się z projektem o tak zasadniczym znaczeniu, nie mówiąc już o poprzednim przedyskutowaniu go wewnątrz poszczególnych związków.

A chociaż w czasie obrad wysuwano różne wątpliwości i zastrzeżenia, nie miały one żadnego wpływu na uchwalenie wniosku, którego losy były z góry przesądzone — była to bowiem

faktycznie decyzja partii, a nie związków zawodowych, choć formalnie przez nie podjęta.

Ponieważ sądy tego typu zaczynają znów działać w Polsce warto zapoznać się z ich poprzednią organizacją. Zgodnie z ogłoszoną w ,,Biuletynie CRZZ'' uchwałą, sądy koleżeńskie miały wkraczać głęboko zarówno w stosunki wewnątrz zakładów pracy, jak i w prywatne życie robotników. Głównym ich jednak celem było umacnianie dyscypliny pracy; chociaż bowiem obowiązywała od 1950 r. niezmiernie surowa ustawa o ,,socjalistycznej dyscyplinie pracy'', postanowiono w tej drodze stworzyć dodatkowy bicz na robotników. Uchwała wylicza w tej dziedzinie nie tylko takie przewinienia, jak nieusprawiedliwione opuszczanie i spóźnianie się do pracy i pijaństwo, ale i marnotrawstwo, brakoróbstwo, niestaranne obchodzenie się z narzędziami i urządzeniami zakładu, wyrządzanie szkody jego mieniu — co wszystko można było bardzo dowolnie ustalać — jak również nieprzestrzeganie regulaminów pracy, instrukcji służbowych itp. Słowem lista wykroczeń przeciw dyscyplinie pracy, za które można było karać robotników, była bardzo obszerna.

Druga kategoria spraw odnosiła się do naruszania ,,zasad współżycia społecznego'' i ,,koleżeńskiej współpracy'', tj. tzw. kumoterstwa, nadużywania stanowiska służbowego, wykorzystywania pracy współtowarzyszy itp. I wreszcie dziedzina trzecia wkraczała w życie prywatne i rodzinne robotników; uchwała wyliczała tu niezaspakajanie potrzeb rodziny, brak troski o dzieci, gorszące zachowanie się w domu na skutek pijaństwa, oraz wybryki chuligańskie, dokonane zarówno na terenie zakładu pracy, jak i poza nim.

Uchwała przewidywała ponadto możność pociągania robotnika do odpowiedzialności za drobną kradzież, ale tylko w takim wypadku, gdy za to samo wykroczenie stawał on już przedtym w sądzie powiatowym, który sprawę umorzył, ze względu na jej małe znaczenie. W ten sposób więc za to samo drobne przestępstwo robotnik mógł być sądzony dwukrotnie, a chociaż sąd koleżeński stosował w pierwszym rzędzie środki wychowawcze: publiczne upomnienie, publiczną naganę — bez lub z ostrzeżeniem, to jednak mógł on również wystąpić do kierownika zakładu z wnioskiem o zwolnienie robotnika z pracy.

Zarówno uchwała jak i artykuły w prasie podkreślały, że sądy koleżeńskie miały być wyrazem ,,pogłębienia procesu demokratyzacji państwa ludowego przez zapewnienie pracownikom coraz większego wpływu na kształtowanie się stosunków w zakładzie pracy'' oraz być wyrazem ,,rozszerzenia samorządu robotniczego''. Mimo to jednak obejmowały one wyłącznie pracowników, nie podlegał im nikt z personelu nadzoru nawet na najniższym szczeblu.

Członkowie sądów koleżeńskich mieli być wybierani na zebraniach załogi w jawnym głosowaniu, posiedzenia sądów miały być jawne, mogła brać w nich udział cała załoga i każdy zabierać głos. Postępowanie sądowe miało być wolne od wszelkiego

formalizmu, sądy te miały działać nie na podstawie przepisów prawa, ale ,,w oparciu o świadomość moralno-polityczną'', o pojęcie ,,socjalistycznego stosunku do pracy i mienia społecznego'' oraz ,,niepisanych reguł porządku, dyscypliny, obowiązujących w zakładach pracy i poza nimi''. Słowem miały sądzić na podstawie kryteriów zupełnie dowolnych. Sądy koleżeńskie, zwane też ,,sądami opinii publicznej'' miały ,,umacniać elementy nowej socjalistycznej moralności przez zwalczanie starego zła'' i stąd wywodziło się ich prawo do ,,wtrącania się'' nawet do prywatnego i rodzinnego życia robotników.

Ale załogi robotnicze zdawały sobie dobrze sprawę, co się pod tymi pięknymi hasłami ukrywa. Próba partii narzucenia im sądów koleżeńskich, podjęta w końcu 1955 r. nie dała się zrealizować, przyszła bowiem za późno. Rok 1956 był już okresem narastania prądów rewolucyjnych w środowisku robotniczym, prądów, które występowały nie tylko przeciw głodowym zarobkom (wypadki poznańskie), ale i przeciw najrozmaitszym formom nadmiernego nacisku na robotników w zakładach pracy. Pod wpływem tych nastrojów rząd uchylił we wrześniu tego roku znienawidzoną ustawę o socjalistycznej dyscyplinie pracy, nie do pomyślenia więc było w takiej atmosferze organizowanie sądów nad robotnikami. Załogi nie podjęły inicjatywy partii i po prostu nie powołały sądów koleżeńskich.

W tych natomiast nielicznych wypadkach, w których sądy takie zdołano narzucić drobnym zakładom pracy w kilku małych miejscowościach, dały one przekonywujący dowód, do jakich wypaczeń może doprowadzić ta forma wymiaru sprawiedliwości: sędziowie byli w nich wyznaczani, a nie wybierani przez załogi, rozprawy były tajne — choć jawność ich była przewidziana w uchwale jako jeden z atutów wychowawczych, potrafiły też one stać się terenem ,,niewybrednych szykan'' oskarżonych. (,,Głos Pracy'' z 30.VII.56, F. Leończuk: Przerwijmy milczenie).

A kiedy przyszedł październik i zmiany rewolucyjne przeniknęły i do zbiurokratyzowanych organizacji związkowych — dały one niedwuznaczny wyraz opinii załóg w stosunku do sądów koleżeńskich. W listopadzie 1956 r. zebrało się IX Plenum Centralnej Rady Związków Zawodowych, które, w ramach nowego programu, dążącego do usamodzielnienia ruchu związkowego, podjęło krótką, ale kategorycznie brzmiącą uchwałę:

,,Plenum postanawia uchylić uchwałę CRZZ o powołaniu i działaniu sądów koleżeńskich''.

Rzecz charakterystyczna, że uznano za zbędną wszelką motywację wniosku, tak był on dla wszystkich wówczas oczywisty. W ten sposób zakończył się pierwszy krótkotrwały okres organizowania sądów w zakładach pracy.

Po czterech latach przerwy, w końcu 1960 r. rozpoczął się okres drugi. Tym razem nie został on poprzedzony żadnym aktem prawnym, ani nawet ogólną uchwałą. Pierwsze społeczne sądy, zwane dziś sądami robotniczymi, powstały z inicjatywy lokalnej na Dolnym Śląsku, gdzie począwszy od października

r.ub. zorganizowano je w 19 zakładach pracy na terenie Wrocławia i województwa wrocławskiego (między innymi w takich wielkich zakładach, jak Pafawag i Celwiskoza). W lutym 1961 r. eksperyment ten został przeniesiony do Warszawy, gdzie sądy powstały w 5 zakładach pracy, w tym w FSO na Żeraniu, w Zakładach im. Świerczewskiego, im. 22 Lipca (b. Wedel).

We Wrocławiu wniosek w sprawie powołania sądów robotniczych został formalnie podjęty przez Społeczny Komitet do Walki z Nadużyciami, nie ulega jednak wątpliwości, że i tym razem była to inicjatywa partii, która, nauczona poprzednim doświadczeniem, działa teraz znacznie ostrożniej.

Przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej we Wrocławiu omówił w wywiadzie prasowym („Sztandar Młodych'' z 20.X.60.) rodzaj spraw, jakie mają być rozpatrywane przez nowe sąddy robotnicze — nie różnią się one w zasadzie od tych, jakie miały obowiązywać w dawnych sądach koleżeńskich. Będą to sprawy drobnych kradzieży w zakładach pracy, wykroczenia przeciw regulaminowi fabrycznemu, a więc przeciw dyscyplinie pracy, drobne wyczyny chuligańskie i — jak podkreśla wywiad — „są jednak i inne ważniejsze zadania dla Sądów Robotniczych. Będą one zajmować się sprawami, które wkraczają w dziedzinę moralności. Nawet posuną się do wkraczania na teren prywatnego pożycia małżeńskiego''.

Tak jak i miało być według dawnych zasad, w nowych sądach sędziowie wybierani są spośród załogi w jawnym głosowaniu, posiedzenia sądu są jawne, może brać w nich udział cała załoga i każdy zabierać głos. Sądy robotnicze powoływane są przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych na wniosek samorządów robotniczych poszczególnych zakładów pracy, uzyskawszy uprzednio zgodę wojewódzkiego prokuratora i prezesa sądu wojewódzkiego. Działają one na podstawie własnych regulaminów, które przewidują, że do sądów mogą wpływać sprawy, skierowane przez dyrekcję zakładu pracy, przekazane przez prokuratora i sądy powiatowe z ich inicjatywy lub na wniosek sądu robotniczego, ewentualnie sprawy, umorzone w sądzie powiatowym, oraz skargi i zażalenia na pracownika danego zakładu, skierowane przez każdego obywatela.

Dotychczasowe regulaminy przewidują, że sądy robotnicze orzekają o ukaraniu dyscyplinarnym pracownika na podstawie obowiązującego w zakładzie regulaminu pracy i układu zbiorowego i — co trzeba podkreślić — od orzeczenia takiego oskarżony nie ma prawa odwołania. Mogą one też występować z wnioskami do prokuratora lub sądu powiatowego o rozpatrzenie sprawy, względnie o jej umorzenie.

Tyle mówią regulaminy istniejących już w zakładach pracy sądów. Ponieważ jednak nie została dotychczas wydana ustawa, która byłaby podstawą ich działalności, zasady ich organizacji nie są jeszcze przesądzone, a wokół zagadnień tych rozwija się w kraju dyskusja.

Nie jest więc zdecydowana sprawa stosunku sądów tych do aparatu wymiaru sprawiedliwości: kto ma decydować o kierowaniu spraw do rozpatrzenia przez sąd robotniczy, czy prokuratura i sądy powiatowe, kierownictwo zakładu pracy, czy też załogi, przytym w dyskusjach mocno lansuje się opinię, że to właśnie załogi, a nie prokurator, sąd czy milicja powinny decydować, które spośród przestępstw robotników skierować na wokandę sądu społecznego; wysuwa się bowiem argument, że nie chodzi tu o sądzenie każdego nadużycia, ale o dobór takich spraw, w których wyraźnie mógłby się zarysować problem „nowych zasad moralności i etyki socjalistycznej". Nie jest też ustalona procedura sądowa nawet w tak istotnym punkcie, jak czy oskarżyciel i obrońca mają być wyznaczani z góry, czy też oskarżać i bronić podsądnego może każdy z obecnych na sali. Wielkie wątpliwości wzbudza zarówno zakres spraw, jakie mają podlegać sądom robotniczym jak i kogo mają one obejmować: czy tylko robotników czy też częściowo i personel nadzoru. Najżywszą jednak dyskusję wywołuje sprawa kar: czy sądy robotnicze mają same orzekać o karach, czy też tylko występować z wnioskami o ukaranie i czy mają to być tylko kary moralne, czy też i pieniężne lub przeniesienie do gorszej pracy i jakie kary mają być stosowane za jakie przewinienia. Jak podaje prasa, w przygotowywanym przez związki zawodowe projekcie ustawy przewiduje się i kary pieniężne.

Przyjrzyjmy się jednak dotychczasowej działalności nielicznych powołanych już sądów robotniczych. Nie ulega wątpliwości, że o ile dawniej w sądach koleżeńskich główny nacisk miał być położony na umacnianie dyscypliny pracy, o tyle obecnie — przynajmniej narazie — podkreśla się konieczność podjęcia tą drogą walki z plagą drobnych kradzieży w zakładach pracy, tak bardzo rozpowszechnioną dziś w Polsce. To było, jakoby, motywem inicjatywy powołania sądów robotniczych na Dolnym Śląsku, gdzie statystyka sądowa wykazała, że w ciągu 1960 r. popełniono 9.000 tego rodzaju wykroczeń.

Dla ilustracji wagi problemu kradzieży warto tu przypomnieć, że kiedy Główny Urząd Statystyczny rozpoczął w 1957 r. po raz pierwszy po wojnie badania budżetów rodzinnych pracowników i ogłosił początkowe ich wyniki, wśród różnorodnych krytycznych ocen, wysunięto również i zarzut, że w rubryce przychodów pracowników nie zostały uwzględnione wpływy „z działalności przestępczej, pospolitych kradzieży surowców, półfabrykatów i wyrobów", ponieważ kradzieże te „są dziś zjawiskiem niestety bardzo rozpowszechnionym... i fakt ich istnienia nie może być negowany" („Przegląd Zagadnień Socjalnych", nr 12.57, St. Akoliński: Uwagi o badaniach budżetów rodzinnych). Ten paradoksalnie brzmiący w uszach statystyka zachodnio-europejskiego zarzut dowodzi niezbicie, że zjawisko różnego rodzaju kradzieży w zakładach pracy stało się w obecnych warunkach w Polsce niezbędnym elementem uzupełniania zarobków pracowników.

W walce z klęską kradzieży z pierwszych 32 rozpraw, przeprowadzonych w sądach robotniczych w województwie wrocławskim, 28 poświęconych było tym przestępstwom. Już kilka tego typu spraw, omówionych w prasie krajowej, rzuca światło na podłoże tych wykroczeń. Sądzono np. robotnika, który po 14 latach uczciwej pracy dopuścił się po raz pierwszy kradzieży: ukradł proszek do prania. Z tłumaczenia jego wynika, że takiego proszku nie można nigdzie kupić (proszek jest importowany). a bielizna po jego użyciu jest ,,śnieżno-biała'', taka ,,łakoma rzecz'', więc nie oparł się pokusie i zabrał proszek, żeby zrobić przyjemność żonie. Z dalszych wyjaśnień świadków na rozprawie wynikło ponadto, że zaważył tu nie tylko brak towaru na rynku, ale i brak dozoru ze strony kierownictwa zakładu pracy: duże ilości tego proszku przechowywane były w szafie kierownika, do której dostęp był łatwy, a kartoteki materiałowe prowadzone były niedbale. Wyrok sądu wziął też pod uwagę, że gdyby nie było dostępu do proszku, nie byłoby kradzieży.

Sprawa inna: w Bielawskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego przed sądem społecznym stanął robotnik, oskarżony o kradzież materiału. Zeznania licznych świadków naświetliły warunki, w jakich kradzież ta się odbyła. Stwierdzali oni, że ,,w zakładzie istnieje zastraszające marnotrawstwo materiałów. Dobre tkaniny nieraz wywozi się wraz ze śmieciami'' i wiele kobiet szyje sobie suknie z materiałów, wyrzuconych na śmieci. (,,Głos Pracy'' z 18.XI.60, S. Goldman: Proszę sądu robotniczego). Trudno istotnie spodziewać się, że w takiej atmosferze utrwali się wśród robotników poczucie poszanowania własności państwowej — traktuje się ją jako własność niczyją.

I jeszcze inny motyw kradzieży, podkreślony — delikatnie — w sprawozdaniach prasowych. ,,W toku sądzenia niektórych przewinień wychodzi na jaw, że wprawdzie oskarżony dopuścił się wykroczenia, ale na czynie tym poważnie zaciążyły np. wyjątkowo trudne warunki domowe'' (,,Trybuna Ludu'' z 31.1.61, K. Grosicka: Temida w górniczym stroju).

Już więc z tych pierwszych doświadczeń sądowych można wyciągnąć bezsporne wnioski o istotnych przyczynach tak licznych drobnych kradzieży w zakładach pracy w Polsce. Działa tu bieda — zarobki znacznej liczby robotników nie wystarczają na utrzymanie rodziny. Dalej brak towarów na rynku, bo choć sytuacja na tym odcinku poprawia się ostatnio, daleko jest jeszcze jednak do pełnego i równomiernego zaopatrywania sklepów. I wreszcie brak nadzoru, oraz dające zły przykład rażące marnotrawstwo mienia fabrycznego ze strony kierownictwa przedsiębiorstw.

Przyczyny kradzieży w zakładach pracy analizuje też organ partii ,,Polityka'', który w artykule pod wiele mówiącym tytułem ,,Dlaczego można kraść'' (nr 3/61) próbuje udowodnić celowość wprowadzenia sądów robotniczych w walce z drobną przestępczością. Artykuł ten jest skrótem stenogramu rozmowy,

przeprowadzonej w redakcji z przedstawicielami organizacji partyjnych i samorządu robotniczego trzech bardzo różnych co do wielkości i rodzaju produkcji przedsiębiorstw, dobranych celowo w ten sposób, by łatwiej było na tej podstawie wyciągnąć ogólne wnioski dla przemysłu. Reprezentowana była w rozmowie Stocznia Gdańska, zatrudniająca 12.000 pracowników, Fabryka Motocykli w Warszawie — 3.000 pracowników i mała cynkownia warszawska o 200 zatrudnionych.

W rozmowie podnoszono takie przyczyny kradzieży, jak brak na rynku towaru, który jest akurat komuś potrzebny, głównie jednak podkreślano stwarzanie pokusy do kradzieży z powodu niedostatecznego nadzoru i braku zabezpieczenia towarów w zakładach pracy. Mówiono więc o fatalnym stanie magazynów, niedostatecznych pomieszczeniach, co powoduje, że wiele towarów leży po prostu na otwartym polu i magazynier nie ma nad nimi żadnej kontroli. Poruszano sprawę niedostatecznej kontroli ze strony straży przemysłowej, która jest źle płatna, co nie tylko wpływa ujemnie na jej pracę, ale i powoduje niedostateczny i nieodpowiedni dopływ kandydatów do tej służby. Na dozorców i portierów przyjmuje się ludzi, którzy nie nadają się już do niczego, nie umieją nawet przeczytać przepustki materiałowej, co uniemożliwia dobrą kontrolę.

W trakcie rozmowy tej wysunęła się jednak i inna sprawa — kradzieży, dokonywanych nie przez robotników, ale przez dyrekcję. Przedstawiciel małej cynkowni w Warszawie stwierdził, że wypadki kradzieży wśród robotników spotyka się u nich rzadko: ,,Ktoś kiedyś śrubkę wziął, lecz go złapano''. Natomiast nadużycia kierownictwa łącznie z dyrektorem sięgały 1-1, 2 miliona złotych i trwały przez kilka lat. A kiedy pojawiali się w zakładzie kontrolerzy ze zjednoczenia przemysłowego czy ministerstwa, ,,dyrektor był tak mocny, że potrafił ich po prostu wyrzucić za bramę''. Zakład ten zajmował we współzawodnictwie drugie i trzecie miejsce, na dyrektora i jego ludzi sypały się pochwały i odznaczenia. A choć i organizacja partyjna i samorząd robotniczy wiedziały co się dzieje, nikt nie śmiał się odezwać, bo ,,dyrektor był u nas faktycznie sekretarzem organizacji partyjnej, przewodniczącym samorządu i wszystkim. Klika buszowała i nie było na nią siły''.

Z dalszej rozmowy wynikło, że kontrola społeczna, kontrola samorządu robotniczego, do której prasa w kraju ciągle ostatnio nawołuje, nie jest skuteczna: brak jest ludzi, którzy znają się na tak trudnych sprawach, a ci, co potrafili by przeprowadzić kontrolę, są tak zajęci pracą na swoich stanowiskach służbowych, że nie mają na to czasu. A zresztą, jak podniósł jeden z rozmówców — ,,Co przeszkadza? Te łańcuszki znajomości, nieszczęsne kliki... Tu znajomy w zjednoczeniu, tam kumpel, tam koleżanka i już jest stanowisko i to dobrze płatne — na kierownika zaraz taki awansuje, umie czy nie umie''. Nadużycia wykrywa się więc dopiero wtedy, gdy spólnicy się pokłócą.

Z tej niezmiernie charakterystycznej rozmowy wynikają dwa wnioski: że w zakładach pracy stwarza się warunki sprzyjające powstawaniu drobnych kradzieży, i że problemem istotnym są nie te małe wykroczenia, lecz wielkie nadużycia kierownictwa. Jakaż jest więc rada na zwalczanie tych przestępstw? Dla redakcji ,,Polityki'' zdumiewająco prosta: społeczne sądy robotnicze. Artykuł kończy się nieoczekiwanym wnioskiem: ,,te sądy są potrzebne, trzeba je wprowadzać...''.

Inicjatorzy przekazywania spraw drobnych kradzieży sądom robotniczym na Dolnym Śląsku twierdzili, że będą one dużo skuteczniejsze w walce z tymi przestępstwami, niż sądy powiatowe, ponieważ te ostatnie nieraz z uwagi na brak cech przestępstwa lub nieznaczną szkodliwość społeczną tych drobnych przekroczeń — albo sprawy takie umarzają, albo też nakładają niewielkie i niedotkliwe dla sprawców kary, przeważnie z zawieszeniem. Zresztą o sprawach w sądach powiatowych mało kto się dowiaduje, nie szkodzą więc one opinii skazanych. Natomiast rozprawa w sądzie robotniczym, w obecności załogi, piętnując publicznie winowajcę, może mieć duże moralne znaczenie, powstrzymujące szerzenie się tych przestępstw. Teoretycznie słuszne stanowisko. Jakiż jednak mogą wywierać moralny wpływ na załogi sądy, które będą pociągać do odpowiedzialność robotników za ukradzenie śrubki czy proszku do prania w tych zakładach pracy, w których kierownictwo dopuszcza się nadużyć na wielką skalę i latami nic sobie nie robi ani z kontroli państwowej ani społecznej.

W dyskusji nad celowością oddawania spraw drobnych kradzieży sądom robotniczych wysuwa się też i inny jeszcze argument: rozprawy w tych sądach są bardzo potrzebne, bo ,,najczęściej przy tej okazji wychodzą na jaw zaniedbania dyrekcji z czego wynika konieczność usprawnienia różnych stron działalności przedsiębiorstw''. (Głos Pracy'' z 3.II.61. Z obrad Komitetu Ekonomicznego CRZZ). Bardzo to naiwne wnioski i smutnie świadczą o organizacji produkcji, że to właśnie sądy robotnicze mają być drogą do usprawniania działalności przedsiębiorstw i że trzeba nakładać kary na robotników, aby wykazać kierownictwu niedbalstwo i marnotrawstwo, za które zresztą sąd ten ani nie będzie dyrektora karał, ani występował z wnioskiem o jego ukaranie.

Dotychczasowa działalność sądów robotniczych traktowana jest jako próba, która ułatwić ma ustalenie zasad, jakie wprowadzić ma w przyszłości ustawa. Centralna Rada Związków Zawodowych zajęła stanowisko, że z wydaniem ustawy nie należy się śpieszyć i zbierać na razie doświadczenia. Pewnie że lepiej jest zrobić taką próbę, niż narzucać załogom robotniczym sądy, tak jak to miało miejsce w poprzednim okresie. Ale jak pogodzić z praworządnością, nawet w ujęciu ,,socjalistycznym'', fakt, że można sądzić obywateli bez ustawowego uprawnienia, że można orzekać kary na podstawie regulaminów, ustalonych

przez ludzi, których żaden akt prawny do tego nie upoważnił. Trzeba też podkreślić, że — jak się stwierdza w kraju — niektóre postawienia tych regulaminów „są sprzeczne z obowiązującymi ustawami z zakresu prawa karnego, procedury karnej, prawa pracy i prawa administracyjnego''. („Przegląd Związkowy'', nr 2/61, dr K. Kąkol: Robotnicze sądy).

Ale i ustawa nie rozwiąże szeregu zasadniczych momentów, które przemawiają przeciw wprowadzaniu sądów robotniczych. Trudno jest bowiem pogodzić ich działalność z konstytucyjną gwarancją praw obywatelskich, równością wszystkich wobec prawa, jednej sprawiedliwości dla wszystkich, która przestaje istnieć z chwilą kiedy poszczególni obywatele będą za te same czyny sądzeni w różnym trybie: jedni przez sądy powiatowe, inni przez sądy robotnicze, które zresztą nie będą wprowadzone we wszystkich zakładach pracy. Również sprzeczny z zapewnieniem praw obywatelskich jest brak możności odwołania się oskarżonego od orzeczenia sądu robotniczego, tak jak to ustaliły ich tymczasowe regulaminy. Tylko że rozwiązanie tej sprawy jest niezmiernie trudne; instancją odwoławczą nie powinny być związki zawodowe, jak się już o tym mówi, tylko sądy powiatowe — ale wówczas musiały by one rozpatrywać i sprawy, które już uprzednio — jako pierwsza instancja — umorzyły.

Trzeba liczyć się też z faktem, że orzeczenia w sądach robotniczych wydawane będą bez udziału prawników i że wskutek tego mogą one różnić się bardzo od wyroków sądów zwykłych w analogicznych sprawach, co nie jest pożądane z punktu widzenia oddziaływania sądownictwa na świadomość prawną społeczeństwa. Również niekorzystne mogą być skutki niejednolitego orzecznictwa sądów robotniczych: niejednakowe kary nakładane przez poszczególne sądy za te same przewinienia nie będą uwarunkowane różnicą okoliczności sprawy, ale wynikać będą ze składu sądu, z atmosfery w danym zakładzie pracy a nawet z nastrojów w dniu rozprawy sądowej.

Poza jednak tymi argumentami o charakterze prawniczym, przeciw wprowadzeniu sądów robotniczych przemawiają i względy czysto życiowe. W tej chwili działa w Polsce dwadzieścia kilka takich sądów, które są nie tylko pod szczególną opieką władz zwierzchnich (każdy sąd ma też stałego opiekuna i fachowego doradcę w osobie prokuratora powiatowego), ale i pod obstrzałem opinii publicznej — na nielicznych dotychczas rozprawach zjawiają się prawie z reguły reporterzy prasowi. Sytuacja zmieni się jednak zasadniczo, gdy sądy te, na podstawie ustawy, będą wprowadzone w ogromnej ilości zakładów pracy. Jakże łatwo wówczas będzie o zupełne wypaczenie ich działalności, szczególnie w mniejszych zakładach pracy, zdala od wielkich centrów przemysłowych, czego przykłady były widoczne nawet w tak bardzo nielicznych sądach w 1956 r. Z formy bezstronnych sądów mogą one też przeradzać się stopniowo w narzędzie nacisku na robotników ze strony dyrekcji, czy komórek partyj-

nych i związkowych w zakładach pracy i skierować całą swą działalność na wzmacnianie dyscypliny pracy. Mogą też łatwo stać się terenem porachunków osobistych, a to ostatnie niebezpieczeństwo będzie tym większe, jeśli sądy te — co się przewiduje — będą wkraczać w dziedzinę życia prywatnego i rodzinnego robotników. Trudno też sobie wyobrazić, że wybory na sędziów będą wszędzie przeprowadzane prawidłowo, że znajdzie się dostateczna liczba odpowiednich kandydatów na tak ogromną liczbę sędziów i że to właśnie ci najlepsi będą zawsze mogli być, w swobodnym głosowaniu, wybrani.

I jeszcze jeden moment. Niepokojąca jest podatność sądów robotniczych na oddziaływanie z zewnątrz — ostrzeżenie takie zostało nawet wysunięte w kraju (Dr K. Kąkol: Sądy robotnicze j.w.) w oparciu o doświadczenia w innych krajach „socjalistycznych". (Sądy takie istnieją nie tylko w Sowietach, ale i w Czechosłowacji i na Węgrzech). Wprawdzie w prasie krajowej nie podaje się przykładów tych ujemnych wpływów, ale będą to z pewnością i naciski polityczne. Jak wynika z pism sowieckich: „Trud" i „Ekonomist" władze bezpieczeństwa i milicja kierują do sądów koleżeńskich np. oskarżenia o kontakty z cudzoziemcami. („Dziennik Polski" z 22.X.60, St. Łochtin: Cudzoziemcy są znów trędowaci).

Wszystko więc przemawia za tym, że próba wprowadzenia ponownie sądów do zakładów pracy jest bardzo niebezpieczna. Jeżeli nawet mogą one w poszczególnych wypadkach być skutecznym narzędziem w walce z drobnymi kradzieżami — czego dowody przytacza się z działalności niektórych sądów na Dolnym Śląsku — to korzyści te są niewspółmierne z wszystkimi ich zasadniczymi ujemnymi stronami. Zresztą walka z plagą drobnych kradzieży byłaby dużo bardziej skuteczna nie przez wątpliwe wychowawcze oddziaływanie sądów, ale przez usuwanie przyczyn tych wykroczeń: niedostatecznych zarobków, braku towarów na rynku, braku nadzoru oraz niedbalstwa i marnotrawstwa, wykazywanego przez kierownictwa przedsiębiorstw.

W regulaminach sądów robotniczych wysuwa się dziś, tak jak i przed pięciu laty piękne hasła. Mówi się, że „działalność społecznych sądów robotniczych zmierza do praworządności ludowej i jest wyrazem twórczej roli mas ludowych w procesie umacniania państwa socjalistycznego". Bardzo to jednak jednostronna praworządność, w myśl której — trzeba to jeszcze raz podkreślić — sądzi się robotników za drobne kradzieże w zakładach, w których dyrekcja dopuszcza się wielkich nadużyć, lub też karze się robotnika za przekroczenie regulaminu pracy tam, gdzie kierownictwo stale i jawnie i bez żadnych ujemnych dla siebie skutków łamie podstawowe przepisy ustaw o ochronie pracy, co jest dziś na porządku dziennym w większości przedsiębiorstw w Polsce.

W krótkim okresie czasu po październiku, kiedy załogi robotnicze i związki zawodowe mogły wypowiadać się swobodniej,

odrzuciły one bezapelacyjnie próbę wprowadzenia sądów robotniczych. Dziś, choć pozornie jest to inicjatywa oddolna, stosunek załóg robotniczych do tego ,,socjalistycznego'' systemu wymiaru sprawiedliwości, pozostał z pewnością bez zmiany. Tylko że nie będzie on mógł wyrazić się w takim, jak wówczas, proteście.

Janina MIEDZIŃSKA

Bezdomna lewica

Dość często spotykam się z prozaikiem średniego pokolenia, Hansem Wernerem Richterem, który żywo interesuje się Polską (odwiedził ją dwa razy po wojnie) i jej kulturą. Richter należy do pisarzy przedkładających *vita activa* nad *vita contemplativa*. To niespokojny duch. Nie ogranicza się do uprawiania literatury zaangażowanej (powieści: ,,Pokonani'' — nagroda im. Fontany, ,,Padli z bożej łaski'' — nagroda im. René Schickele, ,,Ślady na piasku'', ,,Nie zabijaj'', ,,Linius Fleck'' — polski przekład Jacka Frühlinga). Próbuje również organizować intelektualistów tzw. ,,bezdomnej lewicy'' (,,Grünwalder Kreis'', ,,Gruppe 47''), zwłaszcza tych, których łączy wspólny niepokój o losy demokracji w Niemczech powojennych. Nawet najbardziej uprzedzony badacz współczesnej kultury niemieckiej przyznać musi, że odważna, postępowa, na wskroś europejska z ducha ,,Grupa 47'', to jedna z nielicznych oaz na pustyni życia literackiego w dzisiejszym ,,Mercedes-Land'zie''. Richterowi udało się skupić najzdolniejszych pisarzy średniego i młodszego pokolenia. (Prozaicy: Heinrich Böll, Günter Grass, Siegfried Lenz, Alfred Andersch, Heinz v. Cramer, Wolfdietrich Schnurre, Uwe Johnson, Martin Walser. Poeci: Ingeborg Bachmann, Günther Eich, Walter Höller, Peter Rühmkorpf, H.M. Enzensberger. Krytycy: Hans Meyer, Walter Jens, Marcel Ranicki, Joachim Kaiser, Fritz Raddatz. Filozof Gerhard Szczesny. Publicysta Erich Kuby. I wielu innych).

Nakładem Rowohlta w Hamburgu ukazała się książka-manifest, zbiorowa wypowiedź pisarzy bezpośrednio lub częściowo związanych z ,,Grupą 47'', na tematy społeczne, polityczne i kulturalne. Tytuł tej publikacji: ,,Alternatywa''. Wtajemniczeni utrzymują, że powstała ona w wyniku spotkania Brandta z pisarzami. Spotkanie miało przebieg niespokojny, dla Brandta i

innych działaczy SPD niezbyt przyjemny. Wypomniano im m.in. przerost taktyki, niedowład ideologiczny, przesadną układność w walce opozycyjnej z rządem, chorobę *compromisitis* itp. Ale koniec końców — o czym z resztą świadczy zawartość ,,Alternatywy'' — ,,bezdomni lewicowcy'' doszli z ciężkim sercem do wniosku, że w obecnej sytuacji politycznej (*Strauss ante portas!*) trzeba wybierać ,,zło mniejsze'' czyli socjaldemokrację w dalekim od doskonałości wydaniu SPD.

Zastanowiło mnie, że niemal ze wszystkich wypowiedzi bije brak głębszej wiary w trwałość Niemieckiej Republiki Federalnej i pesymistyczna ocena perspektyw rozwoju wewnętrznopolitycznego. Kassandryczny i katastroficzny ton w jaki uderzają literaci w kraju produkującym dwa i pół miliona samochodów rocznie, mającym do zaofiarowania 500.000 wolnych miejsc pracy i chlubiącym się posiadaniem dziesięciu tysięcy milionerów (,,kapitalizm ludowy''?), to chyba coś więcej niż modny obecnie wśród pięknoduchów *Kultur-pessimismus*.

Spostrzegam, nie po raz pierwszy, że o zagrożeniu z zewnątrz, chociaż nie jest ono bynajmniej wymysłem propagandzistów, ale namacalnie sprawdzalną rzeczywistością, ,,bezdomna lewica'' mówi raczej niechętnie. Główne niebezpieczeństwo upatruje w stopniowym zmniejszaniu się swobód wewnątrz nowego państwa, w naporze remilitaryzacji, klerykalizmu, kapitanatu ciężkiego przemysłu. Chwilami odnosi się wrażenie, że ten czy ów zachodnio niemiecki bezprizorny lewicowiec, podobnie jak jego bliźniacy w Londynie czy w Paryżu, bardziej się gryzie atomowymi zbrojeniami na Zachodzie niż na Wschodzie. Schizofrenia polityczna? Czy oportunizm, utajona tęsknota wielu antykonformistów? Takim to szlachetnym chłopysiom Koestler stale tłumaczy, że Moskwa nie leży na lewicy, tylko w ZSSR. Gdy w r. 1925 stracono Sacco i Vanzetti'ego, tysiące lewicowców w Europie chciały pójść na barykady, i słusznie. Ale gdy w r. 1939/40 Stalin wywoził setki tysięcy ludzi na poniewierkę, nikt nie kiwnął palcem w bucie. A oni ci na to, że Jaspers, Orwell, Koestler czy Silone ,,niepotrzebnie oddali się na usługi zimnej wojny''. (Porywczy w myśleniu liryk H.M. Enzensberger w poemacie ,,Piana'', stanowiącym rodzaj poetyckiego rejestru karnego naszej epoki, do jednego worka Judaszów wrzuca Oświęcim, Hiroszimę i... Nato!). Można i tak. Niewielu ludzi tak się lękam jak szlachetnych idealistów, którzy pod wpływem swoistego astygmatyzmu rozumu i serca, przepojeni najszczerszą troską o człowieka i jego szczęście na ziemi, nawet nie spostrzegają kiedy stają się uczniami inkwizytorów. Któż z nas nie zna tych uskrzydlonych dziubasków z paryskiej kafejki, którym już dziś, jeszcze przed wyrośnięciem szponów, magia oderwanych pojęć i szantaż terminologii przysłaniają najprostszą *humanitas!* Jeśli im się zwierzysz, żeś w tajnej policji niecnym kułakom wyrywał paznokcie, w pełnym wyrozumienia milczeniu pokiwają czupryną lub co najwyżej z lekka zmarszczą lewą

brew. Jeśli się jednak dowiedzą, że jesteś współpracownikiem emigracyjnego czasopisma, zadygoczą z oburzenia. Niedowidzą na jedno oko? Niedosłyszą na jedno ucho? Żałośni potomkowie Polifema!

Ale wysłuchajmy argumentów, typowych dla większości autorów omawianej przez nas ,,Alternatywy''. Jeden z nich, gdy go zapytywałem dlaczego partykularz niemiecki zajmuje go więcej niż główny konflikt naszego czasu, tak mi odpowiedział:

— Dopóki u nas, we własnym domu, nie zaprowadzimy autentycznej wolności i demokracji, nie mamy moralnego prawa ani mandatu do występowania przeciwko komunistycznemu totalizmowi. Właśnie po to, by móc się z czystym sumieniem domagać swobód dla NRD czy Węgier, trzeba zacząć od siebie, od wyczyszczenia własnej stajni Augiasza. Trzeba wziąć się za rodzimych potencjalnych dzierżymordów, potrząsaczy głowicami atomowymi, odwetowców i innych eichmannidasów. Trzeba również mówić pełnym głosem, chociaż to niezbyt u nas popularne, o Hiszpanii, Algierii czy Angoli. Aż nadto często wołają nam przez żywopłot: ,,Kto to mówi? *Medice cura te ipsum!''.* Nie, nie jesteśmy Cyklopami w polityce. Przeciwnie: wierzymy w niepodzielność obrony człowieka przed niewolą i wyzyskiem. Faszyzacja NRF leży w interesie Moskwy i ulbrichtowców. Walcząc o demokrację na własnych śmieciach, tym samym staczamy potyczkę z ościenną ideologią.

Podobnej odpowiedzi na łamach monachijskiej ,,Die Kultur'' udzielił H.W. Richter noweliście serbskiemu, Milo Dorowi, gdy uchodźca z Jugosławii wyraził wątpliwość, czy w tym samym czasie gdy wschodnio-niemieccy ,,rewizjoniści'' z Harichem na czele odsiadują kary ciężkiego więzienia, a pisarze węgierscy tęsknią do amnestii, wypada aby członkowie ,,Grupy 47'' składali podpisy pod protest w sprawie francuskich kolegów, dyskryminowanych przez rząd de Gaulle'a? ,,Zachód może toczyć walkę ideologiczną ze Wschodem tylko z pozycji bezkompromisowego przestrzegania zasad, które sam głosi''. (Przypominają się słowa hinduskiej posłanki Sushili Nayar: ,,Nie jestem komunistką. Przeciwnie: bronię demokracji i wolności człowieka. Ale mam oczy szeroko otwarte i znam okrutną prawdę: śmiertelnym grzechem Zachodu jest jego bezdenne zakłamanie. Co innego głosi w niedzielę, a co innego robi w dzień powszedni'').

Wróćmy do ,,Alternatywy''. Cóż się tedy najbardziej ,,psuje w państwie duńskim'' między Łabą a Renem?

— *Herrentum* jest jak ospa — mówi mi młody poeta — naród może się wylizać z tej choroby, ale zeszpecenie nie znika. Nieprzyjaciel stoi na prawicy. Prawica, wczorajsza metresa Hitlera, rada by nas zepchnąć w przepaść faszyzmu...

Richter zaś tak pisze:

„Konflikt z komunizmem znowu zamierza się u nas wygrać w drodze przejścia daleko na prawo i zajęcia stanowisk zawoalowanej dyktatury". Wystarczy odbyć podróż po naszym kraju, aby dostrzec ku czemu idziemy. Wystarczy uważnie przeczytać mowy naszych demokratycznych polityków, wygłoszone od r. 1950 do dnia dzisiejszego, aby domyśleć się co nas czeka (...) Ramię o którym u nas mówiono, że 'prędzej uschnie niż chwyci za karabin', znowu nabrzmiewa rubasznym bicepsem. Słowo 'lewica' znowu brzmi jak epitet, a prawica, chociaż skompromitowała się siuchtami z Hitlerem, znowu jest *hoffähig*. Kto do tego doprowadził?"...

Nie czas tu i miejsce na ocenę tych wypowiedzi. Ograniczmy się do ich przytoczenia. (Nasuwa się jednak wątpliwość, czy pojęcia takie jak „prawica" lub „lewica" w dzisiejszym, dość skomplikowanym układzie stosunków społeczno-gospodarczych, nie pobrzmiewają już pewnym anachronizmem?).

W tejże „Alternatywie" utalentowany nowelista Siegfried Lenz wyznaje, że gdy wojna dobiegała końca, był pacholęciem. Pierwszą gazetę bez kłamstwa przeczytał dopiero w obozie jenieckim w Anglii. Wydawało mu się wtedy — o święta naiwności pokwitania umysłowego! — że po przegranej wojnie niedobitki na pobojowisku zajmą się również odbudową moralną. Ale — niestety — „każdą sposobność u nas zaprzepaszczono". Sumienia łojem zarosły. Serc i umysłów nie odgruzowano. Na wystawie, zachęcającej młodzież do służby w lotnictwie, można dziś oglądać reklamowe fotosy spadochroniarzy Trzeciej Rzeszy, jak jastrzębie spadających na Rotterdam. Taki to i postęp moralny.

Znamienne, że pisarze Schnurre i Kuby do swojej listy oskarżeń i zażaleń dołączyli i taką „zaprzepaszczoną sposobność": brak uznania polskich granic na zachodzie.

Autorka „Białej róży", Inge Scholl, (siostra dwojga studentów straconych w Monachium w r. 1943 za opór przeciw hitleryzmowi) ostrzega w swej wypowiedzi przed postępującą komercjalizacją kultury, nauki i sztuki w krainie „cudu gospodarczego". Nowy Baal, złoty cielec, bożyszcze zachłyśniętych sukcesem, rozsiadł się ciężkim zadem na wszystkich bez wyjątku dziedzinach życia.

W powieści Hansa Wernera Richtera „Linius Fleck" czytamy:

„W dół, stale w dół. W zwyż pnie się u nas tylko przemysł i handel. Obejrzyjcie się dokoła! Wielka gospodarcza koniunktura, a jakże! Ale w połączeniu z kryzysem kultury, jakiego Niemcy jeszcze nie przeżywały. Zastój, płonność, niemożność, prowincjalizm, małomiasteczkowe krygi i podrygi. A w życiu politycznym? Demokracja bez treści, łupina bez miąższu, nic tylko fasada".

Alboż te moralizatorskie głosy idą pod niebiosy? Myślę, że nie. Wołanie na puszczy. Słuchaj, otyła dzieweczko! Ona nie

słucha. Społeczeństwo zadowolone ze siebie, wierzące że optymizm jest ojcem powodzenia, nie lubi nabarmuszonych czarnowidzów. I w gruncie rzeczy przy całym swoim dość platonicznym zamiłowaniu do demokracji i do swobód obywatelskich nie miałoby nic przeciwko wzięciu tej czy innej Kassandry za twarz. Niech nie kracze. A nuż jeszcze coś złego wykracze? Chory, nie życząc sobie gorączki, nieraz tłucze termometr.

,,Komu się u nas nie podoba, niech się przeniesie na wschód!'' — pogroził niedawno minister obrony ptakom, co ,,własne kalają gniazdo''. Dla niejednego demagoga antykomunizm jest dzisiaj takim samym dogodnym klajstrem politycznym jak niegdyś antysemityzm. (,,Gdyby Żydów nie było na świecie — pisał Sartre — antysemici na pewno by ich wymyślili'').

Tak czy inaczej ton *j'accuse,* ton rozgoryczenia, przestrogi i protestu, coraz częściej pojawiający się we współczesnej literaturze Niemiec zachodnich, a będąc manifestacją niezależności przekonań, tego największego atutu Zachodu, nabiera szczególnego znaczenia, gdy go zestawić z dziarską perkusją literatury Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Tam się, oczywiście, pisarzowi wszystko podoba. Musi się podobać.

Dla zaokrąglenia obrazu warto jeszcze zwrócić uwagę na głos nadreńskiego *angry young man*'a, Gerharda Zwerenza, o rozdarciu dzisiejszej literatury niemieckiej:

> ,,Jeśli podzielona rozbiorami Polska mogła przetrwać stulecia i w godnej podziwu formie dać wyraz swoim duchowym dążeniom do niepodległości, to pierwsze dziesięciolecie podziału Niemiec nie uprawnia do takich nadziei. Nasza na dwie części podzielona literatura stała się przez nas samych zapieczętowanym protokółem podziału Niemiec''.

Dorzućmy jeszcze od siebie: o ile nietrudno się domyśleć dlaczego w odrutowanej NRD młody człowiek w Lipsku nie ma dostępu do wielu publikacji ,,zakazanych'', o tyle trudniej zrozumieć dlaczego w nieodrutowanej NRF student uniwersytetu monachijskiego nie zna ,,Siódmego krzyża'' Anny Seghers i nie słyszał o pracach wybitnego filozofa lipskiego Ernsta Blocha.

W ,,odpowiedzi'' na stłumienie powstania węgierskiego przez wojska sowieckie dyrekcja Teatru Kameralnego w Monachium zdjęła z afisza sztukę Sartre'a. W ,,odpowiedzi'' na zajęcie wschodniej części Berlina przez *Volksarmee* kilka teatrów zachodnio-niemieckich skreśliło ze swoich repertuarów Brechta. Ładna mi ,,odpowiedź''; *Testimonium pauperitatis!*



Tylu ludzi jeździ dzisiaj do Polski. Rozmaitych. Słyszę, że nawet pewien as byłej ,,Luftwaffe'' we flanelowej marynareczce kupca odwiedził niedawno Warszawę. Też piknie. (Ale gdyby

tak kto z nas, ,,złych emigrantów''...) Szczerze mówiąc: zazdroszczę obieżyświatom, którzy — ot, wylatują sobie do Warszawy samolotem jakby nigdy nic i ziewając lądują na Okęciu. Dla nich to taki sam punkt na mapie co London Airport czy Orly. W zarozumiałości swojej wyobrażam sobie, że ja bym wiedział jak przeżyć podróż na Szklaną Górę starego Baryki. (Emigrant polityczny w roli t u r y s t y odwiedzającego własną ojczyznę?) Zdarza się nieraz, że ten czy ów pielgrzym stęskniony jedzie powitać rodzinne strony i wraca nabrzmiały goryczą. Zawiódł się. (,,Wieczne rozczarowanie racz dać nam, Panie!'') Polityka polityką, ale chyba i biologia staje przy tym dęba. (,,Nie popłynie rzeka w górę, nie powrócą młode lata'' — wzdychał pieśniarz Justyny. — ,,Kto był największym Francuzem wszystkich czasów? — pytano kiedyś siwowłosej damy w Paryżu. — Oczywiście, że Napoleon III! — wykrzyknęła bez chwli wahania. — Miałam wtedy lat szesnaście!'').

Natomiast spora ilość cudzoziemców (przynajmniej ci z którymi wypadło nam rozmawiać) wraca z wyprawy za Odrę jakby z lekka Polską zamroczona, że tak powiem: duchowo zataczając się na nogach. (Już to ze wszystkich atawizmów plemiennych gościnność największą wykazuje nad Wisłą żywotność). Weźmy Niemców: czy to będzie biskup ewangelicki Dietzfelbinger czy hrabina von Merveldt z prawicowego tygodnika ,,Die Zeit'' czy pisarze Heinrich Böll, Stefan Andres, Günther Grass, czy srodze lewicowy mickiewiczolog Döderlein czy trzeźwy Beitz od Kruppa, wszyscy oni gotowi się upierać, że Polacy to Bóg-wie-jacy ludzie. (Przez grzeczność nie przeczę). Kompleks zadośćuczynienia czy coś więcej? Moich niemieckich rozmówców najbardziej ujęło, że Polacy (,,po tym co się stało'') nie okazali im cienia wrogości. To samo mówi mi Richter. Czyżby sądzili, że zetkną się ze społeczeństwem wyznającym zasadę zbiorowej winy i odpowiedzialności? (Biskup Dietzfelbinger zapytał schorowanego księżyka na prowincji, byłego kacetowca, czy rozmowa z Niemcem nie sprawia mu przykrości. — ,,Ekscelencja zdaje się zapominać — odpowiedział wiejski proboszcz — że jestem chrześcijaninem!'').

Niemcy, powiedzmy sobie szczerze, należą do najlepszych, lubo nie zawsze obiektywnych, znawców spraw polskich na świecie, i jeżeli — na przykład — wybitny numizmatyk i sfragista prof. Marian Gumowski publikuje w Toruniu dzieło o ,,Najstarszych pieczęciach polskich XIII i XIV wieku'', nikogo w Europie nie dziwi, że najbardziej fachowa, dziesięciostronicowa, recenzja tej książki ukazuje się nie w Warszawie, Paryżu czy Londynie, ale w Marburgu. Rzadko się również zdarza, aby pisarz-podróżnik niemiecki po odwiedzeniu tzw. ,,krajów satelickich'' napisał książkę manierą Mr. Johna Günthera.

(Sympatyczny gentleman zza Oceanu ma wprawdzie bystre oko i rącze pióro, ale osobliwym ludom Europy Wschodniej

zwykł był się przypatrywać spod szkieł misjonarza objeżdżającego rezerwaty Indian).

W każdej epoce ludzie na Zachodzie nieco inaczej wyobrażają sobie Polaków. Widziano nas kiedyś rozpromienionymi oczami autorki „Tadeusza z Warszawy". To znowu w postaci niezbyt sympatycznego grafcia-emigranta z „Kuzynki Bietki". Czasem jawimy się obcym na kształt oficerskiej kukły z „Jakubowskiego i pułkownika". Znam wreszcie cudzoziemców, którym wydaje się, że na lechickich niwach uwijają się miliony Hłasków. Dziatwa szkolna z Hamburga w odpowiedzi na ankietę „Jak wyobrażam sobie Polaków" pisze: „Są rycerscy, odważni, smutni, sentymentalni, całują kobiety w rękę, kochają muzykę, jeżdżą konno, nie lubią się kąpać". Słowem: jeden naród coś tam sobie o drugim narodzie wyobraża, najczęściej wedle wzorca: „Szkoci są znani ze skąpstwa". Jakże przyjemne bywają więc rozczarowania, gdy nam pewnego dnia w Dundee jakiś siódmy pociotek po MacDuffie funduje butlę *King size Scotch Whisky,* a Maciuś spod Małkini zamiast uganiać się na oklep po błoniach na siwku czy gniadoszu, zadaje przybyszowi z Zachodu serię pytań z cybernetyki. Z wszystkich bowiem *clichés,* przesądów i przywidzeń na temat obcych ludów i ich obyczajów — jak utrzymuje pewna empiryczka nad Sekwaną — bodaj tylko jedna opinia nosi znamiona częściowego prawdopodobieństwa: że Murzyn amerykański jest sprawniejszym efebem od Anglika czy Eskimosa, ale i to nie jest całkiem pewne: zjawił się kiedyś wątły kleryk z Nepalu i przeszedł przez paryski seraj jak tajfun.

— Polacy — zachłystuje się jakiś *globke-trotter* w winiarni — mają szczególny talent do obcych języków. Czy da pan wiarę, że młody reżyser w Warszawie, Konrad Swinarski, mówi kwieciściej po niemiecku niż nasz Willy Brandt!

— O to chyba nietrudno — odzywają się głosy. — Kto choć raz słyszał Brandta i widział Straussa, ten nie może nie głosować na Mende'go!

W Kolonii nad Renem poznaliśmy pewnego generała. Z tak zwanej „starej szkoły". Eksponat z gabinetu figur wojskowych. Bił się we Włoszech.

— Miałem honor walczyć przeciwko Polakom — wyprostował się jak struna. — Tak jest! Bohaterscy żołnierze!

Rycerski przeciwnik podniósł kieliszek.

— Pooolacy, to praawdziwi Europejczycy — wionęła jakaś dama.

Być może. Ale jeśli jeszcze raz usłyszę, że „Warszawa jest Paryżem Wschodu", wyskoczę przez okno.

O Chopinie, też, proszę, ani mru-mru!



Taras secesyjnej willki w München-Pasing. Gawędzimy z Richterem i jego żoną, tancerką Toni. Minęło już kilka miesięcy odkąd wrócili z podróży. Ale moi gospodarze ciągle jeszcze są pod wrażeniem swego pobytu w Polsce. Przeglądając maszynopis Richtera o tej peregrynacji (nadany przez *Norddeutscher Rundfunk* w Hamburgu w dwóch obszernych audycjach), wynotowałem sobie kilka barwniejszych ciekawostek. Nigdy nie zaszkodzi wiedzieć co o nas obcy myślą, mówią i piszą. A więc:

— Poglądowa lekcja geopolityki. Moi rozmówcy (1) tłumaczą mi: ,,To jest tak. Przez nasz kraj wieją silne wiatry. Jak w mieszkaniu, które ma dwoje drzwi. Otworzysz jedne drzwi, szybko musisz zamykać drugie, i na odwrót. A jak nie, robi się przeciąg. Od przeciągu można się przeziębić a nawet dostać zapalenia płuc, a to dla Polski — *nix gut!*''.

— Kawa z sympatycznym satyrykiem-aforystą Lecem. Jego ulubione powiedzenie: ,,Mój Cesarz by tego nie uczynił!''. Ma na myśli Franciszka Józefa.

— Spotkanie z filmowcem prof. Bosakiem. Dopiero w Polsce uprzytamniam sobie, że w Niemczech nie mamy Wyższej Szkoły Filmowej. Pokazano mi znakomity, wstrząsający film o Kalwarii, miejscu pielgrzymek i odpustów. Niech się schowają wszystkie veryzmy! Obrazu nie wyświetla się publicznie ani nie wysyła za granicę. Jest ,,za drastyczny'', a to nie podoba się czynnikom kościelnym i partyjnym.

— Polacy są mistrzami autoironii. Przy prezentacji, która zawsze ma w sobie coś dworskiego, do nazwisk przedstawianych dodają: ,,wschodząca gwiazda liryki polskiej'', ,,chluba naszego teatru'', ,,tytan prozy'', ,,wielki talent''. No, gdybym w podobny sposób spróbował w Niemczech przedstawiać kolegów po piórze!

— Wdzięk autoironii, żarty i anegdoty, szydzenie z samych siebie, pewna doza cynizmu — ostrzega mnie jedna redaktorka — to tylko na wynos, ot — taki nasz ,,fason'' wobec cudzoziemców. W towarzystwie obcych perlimy się jak szampan. Gdy jesteśmy sami, poważniejemy.

---

(1) Pewien rodak — czego ci zacni rodacy nie opowiadają przyjezdnym cudzoziemcom! — tłumaczył Richterowi (chyba żartem?), że zwolenniczki Piłsudskiego (sic!) zjawiają się na ,,Nocy listopadowej'' ubrane na czarno(!). Kto inny znów, też chyba żartem, zapewnił go, że w ,,Ognisku Polskim'' w Londynie, w gnieździe reakcyjnych Bęcwalskich, rozbrzmiewa okrzyk: ,,Befsztyk dla Pana Ministra Poczt i Telegrafów!''... Amerykański dziennikarz, który niedawno odwiedził Pragę, spostrzegł że Czesi w rozmowach z cudzoziemcami z zasady mówią d o b r z e o swoich rodakach na emigracji. Ja zaś przypominam sobie, że w rozgłośni kolońskiej pokazywano mi kiedyś urzędowy list pewnej radiodygnitarki z Warszawy, która przysłała Niemcom materiały do audycji o Polsce z energiczną prośbą, żeby w programie o literaturze pominąć milczeniem twórczość Miłosza i innych pisarzy emigracyjnych. ,,Tak to ono i jest'' — jak mawia pogodzony ze światem bohater noweli Straszewicza).

— Północ, przed Bristolem. Wpadam na dwóch pijaków. Jeden z nich mówi do drugiego: „Ty, towarzysz, spływaj! A my dwaj — pokazuje na mnie palcem — możemy sobie pogadać, jak dwaj Europejczycy!”.

— Mówią mi — *si non é vero...* — że klasa pracująca przyjęła wiadomość o ślubie księżniczki Małgorzaty z rozgoryczeniem. „Księżniczka z fotografem? Oburzające!”.

— Schronisko dla pisarzy w Zakopanem. Jest wprawdzie dwóch liryków, ale nie ma wody.

— Zastanawiam się nieraz, czy znajomość Dürrenmatta, Becketta, Brechta, Ionesco nie jest przypadkiem większa w Polsce niż u nas? A jednak przedstawienie „Nosorożców” w Krakowie wydaje mi się nieporozumieniem. Nie należy być bardziej „ionescowym”, niż sam Ionesco!

— Sprawa braku wody w schronisku wyjaśnia się. Podobno niesprawiedliwie zwolniony z pracy palacz na odchodnym wysadził kociołek dynamitem (!) w powietrze. Ile namiętności kryje się w tym wydarzeniu! „Tatrzański dynamitard” — to niemal brzmi jak balsam w uchu zblazowanego cywilizacją mieszczucha.

— Wszystkich tutaj oburza wygłup jakiegoś dostojnego bałwana w NRF, który miał powiedzieć: „Kontakty polsko-niemieckie? A cóż to nam da? Trochę Chopina i trochę gęsi — nic więcej!”.

— Pewien pan tłumaczy mi, że cenzura w Polsce służy... wolności. „Całkiem proste: godzi bowiem w nieodpowiedzialność i demagogię polityczną. Gdyby brak odpowiedzialności — powiada — miał któregoś dnia wziąć górę nad odpowiedzialnością i rozwagą, nie można by utrzymać nawet tych swobód, jakie są obecnie”.

— Niektórzy kierowcy jeżdżą na szosach jakby dokonywali kawaleryjskiej szarży na nieprzyjaciela? Atawizm ułański? A z drugiej strony — ile serdecznej fantazji! W drodze do Morskiego Oka, nie chcąc mnie rozjechać na śmierć, jakiś sympatyczny juhas z głośnym i radosnym trelem dobrowolnie ładuje się z ciężarówką do rowu. Radosny trel na krawędzi przepaści — muszę się strzec, by na każdym kroku nie doszukiwać się symbolu.

— Dużo gościnności okazują mi krytyk teatralny Andrzej Wirth, prof. Roman Karst i tłumacz Jacek Frühling, trzej wnikliwi znawcy literatury niemieckiej. Im to zawdzięczam odkrycie polskiego teatru. Kto mówi o kryzysie teatru współczesnego i jego funkcji społecznej, powinien czym prędzej jechać do Polski, a wróci podniesiony na duchu. Jeszcze Melpomena nie zginęła! Takiego zainteresowania teatrem jak w Polsce nie spotyka się w Niemczech. Uderza nieustanny związek sztuki z życiem. Ile inwencji twórczej, świeżości i entuzjazmu! Ile zbawiennej improwizacji, wynikającej z iście polskiej niechęci do rutyny i perfekcjonizmu!

— Takiej „Ifigenii w Taurydzie", jaką widziałem w Teatrze Współczesnym, życzę wszystkim scenom w Niemczech. Goethego odczułem jak pisarza współczesnego.

— Ich teatr stale coś *konfrontuje*, a widownia współbrzmi jak w rezonansowym pudle. To w Polsce grano Szekspira „z ostatniej chwili" i pojawiło się powiedzenie „Hamlet, grany po XX Zjeździe". Gdy w sztuce Dürrenmatta „Anioł zstąpił do Babilonu" padają słowa: „Otworzę ci oczy na walkę klas", przez widownię przechodzi charakterystyczny szmerek. A jak uczuleni są widzowie na najlżejszą aluzyjkę w kapitalnym „Indyku" Mrożka!

— W Nowej Hucie ujął mnie widok sali. Ci którzy przeżywają swoje spotkanie z teatrem w pierwszej generacji. Chłopskie i robotnicze twarze. Krępe postacie w modnych marynarkach. Wąziutkie nogawki. Swoisty szyk. Wprost słychać jak eleganci całują elegantki w rękę. Autentyczny lud, najtrudniejszy chyba odbiorca sztuki. Co też mu grać? Operetki czy Brechta?

— Sporo się nasłuchałem o modnym teraz wśród intelektualistów polskich „antyheroizmie", ale reakcja sali na 136-ym przedstawieniu „Nocy listopadowej" Wyspiańskiego, zwłaszcza podczas sceny masowego umierania młodzieży (wizytówka mentalności?), nie rokuje „antyheroistom" zbyt dużego powodzenia.

— Pytam o cenzurę sztuk teatralnych. Rozkładanie rąk. Wreszcie ktoś mówi: „Są *oględziny* przed premierą".

— Spacer z Leszkiem Kołakowskim, którego eseje znane są na Zachodzie. Cenię go jako autora szkicu „Kapłan i błazen". Sprawia na mnie wrażenie człowieka, którego bardziej pasjonują konflikty wewnątrz socjalizmu niż globalny konflikt Wschód-Zachód. Jako socjalista nie wydaje się być zbytnio uradowany pochwałami, jakie dochodzą do niego z „drugiej strony".

— Oprowadzając mnie po ruinach getta, Kołakowski powiada: „O, tam, z boku, stałem jako chłopiec. Widziałem oddziały likwidacyjne Stroopa w akcji!". Beznamiętny ton, jakim wypowiada te słowa, robi na mnie, na Niemcu, większe wrażenie niż krzyk protestu.

Richter kończy swoje zapiski z „kraju twórczych sprzeczności" (katolicyzm i socjalizm, dyktatura i wolność, indywidualizm i kolektywizm) zdaniem z eseju Kołakowskiego: „Opowiadamy się za dobrocią bez pobłażliwości, odwagą bez fanatyzmu, inteligencją bez zniechęcenia i nadzieją bez zaślepień".



Wydaje mi się, że „bezdomna lewica" w NRF, gromada trampów na piechotę, odkąd socjaldemokracja niemiecka tak skutecznie przeprowadziła swoją końską „kurację od-socjalizacji"

ze zdwojoną niecierpliwością wygląda jakiegoś ideologicznego auto-stopu. Niektórym poszukiwaczom „nowych kompasów" najwyraźniej błąka się po głowie „socjalizm październikowy" *made in Poland.* Pamiętają, że coś takiego fascynowało młode umysły nie tylko w Moskwie i w Lipsku. Szukanie natchnienia na Wschodzie jest zresztą dla wielu zachodnich lewicowców czymś w rodzaju politycznego refleksu, znanego z doświadczeń Pawłowa. Lepiej że szukają go nad Wisłą niż nad Żółtą Rzeką. Nie należy ludziom zabierać złudzeń, ale trudno nie oprzeć się podejrzeniu, że intelektualiści, zwłaszcza chłodni sceptycy, tym się tylko różnią od nieuświadomionej rzeszy prostaczków, że chętniej wierzą w polityczne bociany.

Warszawa jako Lourdes bezdomnej niemieckiej lewicy? Mówcie co chcecie, ale ta wizja na pewno dogadza naszej próżności.

Tadeusz NOWAKOWSKI

Notatki berlińskie

W Berlinie lato było podłe. Zimne i rozmokłe. Berlińczycy, którzy nie mieli pieniędzy na dalekie wojaże w ciepłe kraje i musieli spędzić urlop nad własnym morzem, czy we własnych górach, psioczyli na pogodę na czym świat stoi. Ale w polityce było gorąco i duszno. Po spotkaniu Kennedy-Chruszczow we Wiedniu, a zwłaszcza po opublikowaniu sowieckiego memorandum w sprawie traktatu pokojowego i Berlina w Niemczech Wschodnich wybuchła panika. Ludzie zaczęli uciekać masowo. Koleją, szosami, drogami codziennie przewalało się tysiące ludzi przez dziurę w NRD, tj. Wschodni Berlin do zachodniej części miasta. Najpierw tysiąc ludzi dziennie, potem półtora tysiąca, później dwa tysiące, trzy tysiące, aż do trzech i pół tysiąca na dzień. Obszarnicy, junkrzy, hitlerowcy i wielcy burżuje wywiali już dawno z kraju Ulbrichta. Dlatego latem 1961 roku w wielkim potoku uchodźczym przeważali proletariusze, chłopi i drobnomieszczanie. Odbywało się, jak to kiedyś powiedział Lenin, „głosowanie nogami", głosowanie kompromitujące socjalizm wschodnio-niemiecki i grożące katastrofą całego systemu gospodarczego w państwie SED. Komitet Centralny partii Ulbrichta konferował w permanencji. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Aparat partyjny i administracyjny przestał zupełnie panować nad sytuacją. Perswazje, a tym bardziej pogróżki lokalnych funkcjonariuszy pozostawały bez echa. Błąd popełniony

przez Chruszczowa, który nie wykorzystał fali niezadowolenia w latach 1956/1957 i nie zmienił stalinowskiej grupy Ulbrichta jakąś inną ekipą, na przykład ludźmi Schirdewana, mścił się w okrutny sposób. Niektórzy dyplomaci i dziennikarze sowieccy, akredytowani we Wschodnim Berlinie, przyznawali w poufnych rozmowach, że istotnie Niemcy Wschodnie potrzebowały jakiegoś eksperymentu liberalizacyjnego, może bardziej niż którekolwiek z państw satelickich. ,,Ale teraz już za późno na eksperymenty, teraz trzeba działać, bo inaczej będzie jeszcze gorzej'' — konstatowali na pół z rozgoryczeniem, na pół z rezygnacją. Zarówno Rosjanie jak i satelici nie ukrywali w rozmowach z dyplomatami i dziennikarzami zachodnimi, że masową ucieczkę ludności wschodnio-niemieckiej trzeba będzie przeciąć w sposób radykalny. ,,My im nie damy ani robotników, ani inżynierów, bo ich sami nie mamy za dużo'' — mówili mi znajomi koledzy sowieccy. Takie same głosy dochodziły z kół polskich, czeskich, węgierskich i bułgarskich. Jedyny możliwy import niewykwalifikowanej siły roboczej z Chin nie wchodził w rachubę, choć byłby może najprostszym wyjściem z sytuacji. Ale w ten sposób w Środkowej Europie mógłby był powstać zalążek chińskiej kolonizacji, do czego Rosjanie za nic w świecie nie dopuściliby w obecnej sytuacji. A tymczasem z Niemiec Wschodnich ubywało codziennie ludności, w tej liczbie uciekały załogi wielkich przedsiębiorstw przemysłowych. Żadna fabryka nie mogła liczyć na terminowe wykonanie planów produkcyjnych czy zobowiązan eksportowych, gdyż co dzień ktoś znikał, często z kluczowych działów produkcji, tu technolog, tam główny planista, tutaj główny inżynier, a gdzie indziej stary, doświadczony majster. Tak samo było w rolnictwie, urzędach komunalnych, kolejarstwie, w drukarniach, elektrowniach, restauracjach, na uniwersytetach. Doszło do tego, że w niektórych powiatach nie było lekarza chirurga i ciężko chorych trzeba było nocą transportować do specjalnych klinik rządowych, w których siły lekarskie były jeszcze jako tako obsadzone.

W połowie lipca Ulbricht zawiadomił swoich sojuszników z bloku wschodniego, że na skutek wrogiej działalności ,,dywersantów'' i ,,kapitalistycznych handlarzy ludźmi'', przenikających rzekomo z zachodniego Berlina, Niemiecka Republika Demokratyczna nie może gwarantować punktualnych dostaw eksportowych. Jeśli się wie jaką pozycję zajmuje NRD w całokształcie procesów gospodarczych bloku, zwłaszcza w dziedzinie niektórych działów przemysłu maszynowego, to nietrudno sobie przedstawić popłoch, który powstał po doniesieniu Ulbrichta. Stary wyga stalinowski, który przetrwał bez szwanku wszystkie kryzysy i czystki w Niemieckiej Partii Komunistycznej, użył podwójnego szantażu. Nie ulega wątpliwości, że Ulbricht nie mógł radykalnie ukrócić odpływu ludności przy otwartej granicy berlińskiej, ale tak samo nie ulega wątpliwości, że mógł on przy użyciu odpowiednich środków liczbę ucieczek poważnie zmniejszyć. Wiadomo, iż władze NRD, zarówno administracyjne

jak i policyjne, traktowały, szczególnie w lipcu br., problem masowego odpływu mieszkańców, jak na stosunki NRD-owskie — dość liberalnie. Daje to wszelkie podstawy do podejrzeń, iż Ulbricht mimo pełnej świadomości ekonomicznych skutków podobnej taktyki poszedł na krótki okres relatywnego liberalizmu w stosunku do uchodźców, aby groźbą gospodarczej katastrofy Wschodnich Niemiec wymóc od Chruszczowa zgodę na zamknięcie Wschodniego Berlina. Decyzja w tej sprawie zapadła na naradzie przywódców partii komunistycznych bloku wschodniego, która odbyła się między 3 a 5. sierpnia w Moskwie. Ulbricht powrócił z konferencji ze zgodą Chruszczowa na okupowanie Wschodniego Berlina, podlegającego dotychczas formalnie jurysdykcji czterech mocarstw. 10 sierpnia podano do wiadomości, że rząd sowiecki naznaczył marszałka Koniewa — zdobywcę Pragi i byłego szefa wojsk Paktu Warszawskiego — na dowódcę armii sowieckiej w Niemczech Wschodnich. Tego samego dnia Ulbricht wygłosił przemówienie w fabryce *Kabelwerk Oberspree* we Wschodnim Berlinie i stwierdził, że ,,dotychczasowe plądrowanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej poprzez Zachodni Berlin będzie zlikwidowane'' Dzień później, 11-go sierpnia tak zwana *Volkskammer* czyli pseudo-parlament NRD, upoważniła Radę Ministrów do podjęcia i zrealizowania wszelkich kroków. które wynikają z postanowień konferencji państw Paktu Warszawskiego. Dla wszystkich czujnych obserwatorów w Berlinie kwestia zaryglowania drogi z NRD i wschodniego Berlina do zachodnich sektorów miasta stała się zagadnieniem najbliższych godzin lub co najwyżej następnych dni.

Noc z 12 na 13 sierpnia była podobna do każdej innej letniej nocy z soboty na niedzielę. W wielu lokalach we wschodnim i zachodnim Berlinie bawiono się jeszcze, tańczono, pito. Pociągi miejskiej kolei elektrycznej i metra kursowały normalnie; krewni, znajomi i zakochani, z których jedni mieszkali na Wschodzie, a drudzy na Zachodzie, żegnali się, nie przeczuwając, że była to ostatnia noc Berlina pod czteromocarstwową kontrolą, ostatnia noc wspólnej komunikacji i swobodnego poruszania się bez wiz i przepustek pomiędzy obydwoma częściami miasta. W tym czasie z podberlińskich garnizonów tak zwanej Narodowej Armii Ludowej, policji, wojsk ochrony pogranicza posuwały się kolumny samochodów w kierunku wschodniego sektoru miasta. Kolumny stawały w ciemnych uliczkach w pobliżu granic sektorów amerykańskiego, brytyjskiego i francuskiego, a żołnierze, mówiący przeważnie narzeczem saksońskim, zaufani ziomkowie Ulbrichta, zaczynali wynosić z wnętrza ciężkich samochodów transportowych zwoje drutu kolczastego i betonowe słupy. Cichaczem i raczej ze strachem zbliżali się do zamarkowanej odpowiednimi tablicami granicy sektorów, aby kopać doły i wyrywać bruk. Rozstawiali słupki i ciągnęli zasieki z drutu kolczastego. Ze strony zachodniej nikt im nie przeszkadzał, tylko na Potsdamer Platz kilku robotników idących z nocnej zmiany postanowiło podjąć kontrakcję. ,,Dajcie spokój chłopaki'' —

przekonywali najpierw żołnierzy zakładających zasieki — ,,nie kaleczcie miasta. Idźcie do domu albo uciekajcie na drugą stronę, ale nie róbcie głupstw''. Ale żołnierze milczeli i robili swoje. Wtedy robotnicy powyrywali słupki, podeptali drut. Akompaniament słów trochę się zmienił: ,,A niech was szlag trafi żołdacy. Wasi dziadkowie służyli Wilhelmowi, wasi ojcowie umierali za Hitlera, a wy tak samo służycie wiernie Ulbrichtowi. *Verfluchte Landsknechte, russische Lakaien.* Żołnierze trochę nijako, nie odpowiadając na impertynencje, usiłowali na nowo wbijać słupy, podnosić podeptany drut. Zaczęła się szarpanina. Posypały się śmieszne niemieckie przekleństwa, kręcące się stale dookoła tylnej części ciała. Jedni krzyczeli po berlińsku, drudzy po saksońsku. Może by nawet i doszło do bójki a potem strzelaniny, gdyby nagle nie nastąpiło bardzo ważne wydarzenie.

W międzyczasie słońce wyszło gdzieś zza Odry i podniosło się na wysokość dachu byłego ministerstwa *Luftwaffe* Hermanna Goeringa, a obecnie siedziby rządu wschodnio-niemieckiego. Od zachodniej strony miasta nadjechał angielski *jeep*. Młody Anglik w czerwonej czapce wojskowej żandarmerii zbliżył się do krawędzi trotuaru, na której kończył się Zachód, wziął lornetkę i zaczął pilnie wypatrywać czegoś w głębi wschodniej części miasta. Żołnierzy zakładających zasieki, szarpiących się z nimi robotników, zdawał się zupełnie nie dostrzegać. Mój taksówkarz, który mnie wiózł tej nocy na miejsce opisywanego zdarzenia strzyknął śliną przez zęby i odwracając się od widoczku z czerwoną czapeczką muchomora powiedział lekceważąco: ,,Widzisz Pan ten angielski k.... szuka lornetką możliwości pertraktacji''.

W ślad za Anglikiem przybyły oddziały policji zachodnio-berlińskiej. Zadaniem ich było odgrodzić powrozami zachodnie sektory od wschodniego Berlina i uniemożliwić jakiekolwiek rozruchy. Kiedy Volksarmiści stwierdzili, jak Zachód reaguje na ich poczynania, wzięli się raźniej do poruczonego im dzieła. Zniknęli też nasi robotnicy, którzy niedawno psuli żołnierzom całą żmudną robotę odgradzania ,,demokratycznego Berlina'' od Zachodu.

Wkrótce z głębi sektora wschodniego nadjechały posiłki z nowymi słupami z betonu i zapasami drutu kolczastego. Nastrój żołnierzy i oficerów z wojska i policji, którzy zrazu nieśmiało brali się do roboty i niespokojnie spozierali na zachodnią stronę, polepszał się z godziny na godzinę. Przestali się bać, że alianci pomieszają im szyki. W mundurach łudząco podobnych do dawnych, z ostatniej wojny hitlerowskiej, w bryczesach i butach z cholewami, stali na *Potsdamer Platz,* w jakże znanym rozkroku, kołysząc się niedbale w biodrach.

Od tego dnia minął już miesiąc. Wpoprzek Berlina ciągnie się wysoki mur, zbudowany z cegieł i pustaków, z których miano budować socjalistyczne mieszkania. Po obydwu stronach muru stoją Niemcy z dwóch światów i patrzą sobie w oczy. Z jakimś

tępym fatalizmem, prawie że bez nienawiści, trochę z ciekawością, ale głównie jakby z przeświadczeniem, że każdy na własną modłę należy do lepszego świata i systemu. Tylko czasami obrzucają się wyzwiskami, częściej używając do tego techniki, a więc wozów radiowych z odpowiednimi sloganami. Na ogół po obydwu stronach muru panuje nienaganna dyscyplina, karność, porządek i posłuch wobec władzy. Tylko czasami ktoś się przedrze przez mur, albo rzadziej rozwali słabe cegły autem na pełnym gazie, lub spuści się po sznurze od bielizny z okna domu, przylegającego do granicy sektorów, na zachodnią stronę.

Przyjezdny zastaje w mieście rozdartym na dwie części może nawet widoczną i uchwytną dla nieobeznanego oka i ucha atmosferę napięcia i przygnębienia, zdaje się że jednakowego po obu stronach muru, ale w gruncie rzeczy widzi miasto żyjącego normalnym trybem powszedniości. Fabryki, urzędy i sklepy pracują normalnie, gazety wychodzą punktualnie, telefon, poczta, radio, restauracje i bary nocne działają jak zwykle. Ludzie wychodzą wieczorem z pieskami (najwięcej tych stworzeń na głowę mieszkańca w całym świecie) pod drzewa. W każdym pierwszym lepszym mieście romańskim czy słowiańskim, które by spotkał podobny los, nikt by już nie pracował, wszyscy byliby rozgadani i rozdygotani, a Niemcy nie.

Ale pod tą powłoką opanowania i zdyscyplinowania żłobią sobie drogę nowe prądy. We wschodnim Berlinie i w całej chyba NRD rośnie rezygnacja a wraz z nią oportunizm, dyktujący porzucenie dotychczasowej ,,wewnętrznej emigracji'' i doszlusowanie w jakiś sposób do ogólnego nurtu. Reżym Ulbrichta rejestruje skrupulatnie te nowe zjawiska i czyni wszystko, zresztą bardzo brutalnie i po chamsku, aby tę opcję przyśpieszyć. Stary aparat partyjny i administracyjny, który przez długi czas musiał się liczyć z faktem otwartej granicy, zrzucił maskę kompromisów i mści się za dawne kompleksy słabości z niemiecką akuratnością. Nigdy jeszcze atmosfera w Niemczech Wschodnich nie była tak ohydna, jak teraz. Jest to jakaś fantastyczna mieszanka płaskiego prowincjonalnego nacjonalizmu pod obcą kuratelą, z dużą dozą pruskiego militaryzmu z czerwoną etykietką i pozostałej w spuściźnie po hitlerowcach żołdackiej trywialności. Reżym, w którym nagle byli żołnierze i podoficerowie odgrywają wydatną rolę, nie tylko że toleruje takie nawroty, ale i popiera je jak najwyraźniej. W propagandzie odczuwa się nie tylko styl, ale nawet formy hitlerowskich metod. Wieczorami radio i telewizja trasmitują dla żołnierzy tzw. *Wunschkonzerte* — wynalazek Goebbelsa z drugiej wojny światowej. Pieśni żołnierskie, kuplety i szlagiery mają tę samą nutę trywialności jak podobne utwory z niedawnej przeszłości. W parze z tym Niemcy Wschodnie przeżywają nawrót do walki klasowej typu stalinowskiego, włącznie z wykrywaniem ,,wrogów ludu''

I po zachodniej stronie muru dzieją się nowe rzeczy. 13 sierpnia nastąpił psychiczny wstrząs w politycznej świadomości

mieszkańców zach. Berlina. Ludzie, którzy od wielu lat żyli w bezgranicznym nieomalże zaufaniu do mocarstw zachodnich, wierząc w moc Ameryki, znaleźli się nagle w obliczu nowych faktów, o których dotychczas mówiła im z lekceważeniem traktowana komunistyczna propaganda ze Wschodu. Ten kryzys zaufania przybiera z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień na sile i pogłębia się na skutek bezkoncepcyjności Zachodu w obliczu katastrofy dotychczasowej polityki w sprawie Berlina.

BERLIŃCZYK

Istota rewizjonizmu sowieckiego

Szukamy definicji pojęcia rewizjonizm w jego dzisiejszym zastosowaniu przez publicystykę komunistyczną. Najświeższy oficjalny ,,Podręcznik marksizmu-leninizmu'' (1) wiąże ze słowem ,,rewizjonizm'' wszystkie zarzuty, mogące budzić odrazę nie tylko wśród członków partii, ale również u każdego politycznie myślącego obywatela. Rewizjonizm jest tu uosobieniem bezsensu w traktowaniu zagadnień społecznych i odstępstwa od elementarnych podstaw rewolucyjnego myślenia. Nie uznaje antagonizmu klasowego między burżuazją i proletariatem (str. 109), odrzuca zasady dialektyki i materializmu (str. 122), oczernia marksizm (str. 154), wypacza marksizm na rzecz koncepcji burżuazyjnych (str. 237) itd. itd. Czyniąc z rewizjonizmu, szerzącego się w szeregach komunistycznych, symbol wszelkiego oportunizmu, ugody klasowej, odstępstwa od zasad socjalizmu i kapitulacji wobec ideologii burżuazji, ortodoksyjny komunizm stawia przy tym znak równania między dzisiejszym rewizjonizmem a rewizjonizmem końca ubiegłego wieku, który reprezentowali w obozie robotniczym Bernstein, Dawid, a częściowo i Jaurès.

Ten chwyt propagandowy ma podwójną rolę do spełnienia: pozwala wykorzystywać stare nawyki myślowe dużej części lewicy socjalistycznej, wychowanej w nastrojach wrogich do bersteinizmu, oraz posiłkować się cytatami z pism Lenina, który staczał zacięte boje z rewizjonizmem.

Nieco bliżej określa współczesny rewizjonizm deklaracja 12-tu partii komunistycznych, dzierżących władzę w swych krajach. W deklaracji tej (rok 1957) czytamy:

,,Współczesny rewizjonizm usiłuje oczernić wielką naukę marksizmu-leninizmu, utrzymuje, że jest ,,przestarzała'' i obecnie straciła rzekomo znaczenie dla rozwoju społeczeństwa. Rewizjoniści starają się wyprać marksizm z rewolucyjnej treści, podważyć wiarę klasy robotniczej i ludu pracu-

(1) ,,Podstawy marksizmu-leninizmu — podręcznik''. Warszawa 1960.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

jącego w socjalizm. Występują oni przeciwko historycznej konieczności rewolucji proletariackiej i dyktatury proletariatu w okresie przejścia od kapitalizmu do socjalizmu, negują kierowniczą rolę partii marksistowsko-leninowskiej, negują zasady internacjonalizmu proletariackiego, żądają odrzucenia podstawowych zasad leninowskich budownictwa partyjnego, a przede wszystkim centralizmu demokratycznego..." (2).

W tym ujęciu rewizjonizm został przynajmniej częściowo ustawiony we właściwej postawie opozycji wobec koncepcji ideologicznych i organizacyjnych ortodoksyjnego stalinowskiego komunizmu. I tu jednak ponad potrzebą prawdy góruje potrzeba propagandy. Niewiele nam też pomoże dla zrozumienia zjawiska, nurtującego partie komunistyczne, zagłębianie się w obfitą już dzisiaj literaturę, poświęconą temu tematowi w krajach komdyktatury. Odpowiedzi szukać należy w przemianach, jakim podlegają społeczeństwa tych krajów, w licznych już manifestacjach idej nurtujących te społeczeństwa, (manifestacjach tak tragicznych jak bunt w łagrach czy rewolucja na Węgrzech), a także i może przede wszystkim w charakterze społecznym i specyficznej roli, jaką otrzymała partia komunistyczna w ustroju, oddającym jej monopol idei i organizacji.

Upiór rewizjonizmu, spędzający sen z powiek dyktatorów komunistycznych, zjawił się właśnie po dramatycznym przewrocie w Polsce i tragicznym powstaniu na Węgrzech. Od tej to pory każde spotkanie przywódców komunizmu, każda konferencja, zorganizowana na tym czy innym stopniu międzynarodowej organizacji komunizmu, zajmuje się szukaniem środków zwalczenia rewizjonizmu i kończy rzuceniem straszliwej klątwy na tego „najgroźniejszego wroga".

Bunt więźniów na Kołymie i w Workucie mógł być jeszcze traktowany jako wybuch rozpaczy ludzi skazanych na powolne konanie przy niewolniczej pracy. Bunt więźniów zawsze może mieć miejsce tam, gdzie istnieją więzienia. Ale powstanie robotnicze w Berlinie (r. 1953) wskazywało już, że monolit organizacyjny „dyktatury proletariatu" w komunistycznej interpretacji rozsadzają siły niedające się kontrolować. Najdoskonalszy system policyjnej penetracji, którym tak szczycił się Stalin (3), okazał się zawodny. Październik i Listopad 1956 roku w Polsce i na Węgrzech zburzyły ostatecznie optymistyczną teorię o zaniku antagonistycznych sprzeczności pod dyktaturą partii komunistycznych. Antagonizmy narodowe i klasowe ujawniły się z całą wyrazistością. Krew robotników, inteligencji i młodzieży na bruku Budapesztu przypieczętowała ukształtowanie się tych antagonizmów w formach ideologicznych, a więc w postaci wyobrażeń o pożądanej przyszłości i dążeń do zmiany systemu panującego.

Władza komunistyczna zawsze była otoczona wrogością większości społeczeństw, poddanych tej władzy. Ideologiczne

(2) „Nowe Drogi" nr. 12, r. 1957.
(3) J. Stalin: *Ekonomiczne podstawy socjalizmu w ZSRR.*

krystalizowanie się tej wrogości nie musiało więc niepokoić ponad miarę przywódców komunizmu, gdyby tylko odbywało się poza ramami rządzącego systemu. Stare nawoływanie członków partii do ,,czujności'' wobec wroga i wzmożenie terroru policyjnego mogłoby się wydawać dostatecznym środkiem zapobiegawczym. Tym razem jednak, właśnie w świetle wydarzeń 1956 roku, stało się jasne, że niebezpieczeństwo nie kryje się na zewnątrz partii, lecz w jej łonie, niszcząc wewnętrzną więź ideologiczną. We wszystkich wybuchach w Berlinie, w Poznaniu, w Warszawie czy Budapeszcie partia komunistyczna okazała się nie tylko bezsilna, ale rozleciała się dosłownie w puch, a członkowie jej nierzadko brali udział w akcjach skierowanych przeciwko partii. Tak samo ,,główna transmisja'' partii do mas robotniczych — związki zawodowe — utonęła w pierwszej fali zamętu, ich lokalni działacze zaś włączali się do buntowników, a nawet często stawali na ich czele.

Oto nowa sytuacja, wobec której przywódcy komunistyczni muszą szukać nowych środków zaradczych. To nie herezje jednostek i grup, jakich nie brakowało w historii ruchu komunistycznego. To nie bunt poszczególnych jednostek, które — jak spowiada się Howard Fast — łamały się pod naciskiem klątwy i ginęły w napiętnowanej ,,zdradą'' samotności. Komunizm stanął przed czymś daleko większym od dawnych ,,odchyleń'', zboczeń od generalnej linii.

Krystalizowanie się antagonizmów narodowych i społecznych w łonie bloku komunistycznego i w poszczególnych jego członach państwowo zorganizowanych, oraz ujawnienie się czysto formalnego znaczenia więzi partyjnej, niezdolnej już do wytrzymania nacisku sił zewnętrznych — to zjawiska powiązane ze sobą organicznie. Gdy policja straciła swe uniwersalne znaczenie, terror policyjny w nowych warunkach może tylko zaostrzać antagonizmy. Utrzymując policyjną kontrolę mas społecznych, trzeba było uzupełnić ją szeregiem ustępstw, jeśli nie rozładowujących nabrzmiałe sprzeczności, to przynajmniej odbierających im aktualne napięcie.

Jeszcze za życia Stalina można było obserwować narastanie antagonizmów i przebudzanie się myśli krytycznej. Kryzys jugosłowiański sięgał bardzo głęboko. Śmierć arcykapłana komunizmu procesy te przyśpieszyła i właściwie od tej daty odbywa się rewizja pozycji komunizmu. Nie tylko Tito, ale Malenkow i po nim Chruszczow, a także Gomułka, stawali się rewizjonistami wobec dawnej linii ideologicznej i politycznej, ustalonej przez Stalina. Przeprowadzana przez nich rewizja zamyka się jednak w granicach tylko najniezbędniejszych ustępstw rosnącym siłom sprzeciwu, ustępstw nienaruszających podstaw dyktatury i systemu gospodarczego. Celem tych ustępstw jest uratowanie systemu władzy przez dostosowanie go do nowej sytuacji i do

(4) Howard Fast — *,,Król jest nagi''*, ,,Biblioteka ,,Kultury'', Inst. Lit. Paryż 1958.

prądów dojrzałych pod jej wpływem w szeregach samej partii rządzącej.

Partia rządząca? Czy ten zwrot ma realne znaczenie w stosunkach panujących w ZSSR i ,,demokracjach ludowych''? Jest rzeczą znaną, że nawet w krajach demokratycznych partie komunistyczne z nazwy tylko przypominają normalne partie polityczne. Ustrój wewnętrzny, nadany przez Lenina i udoskonalony przez Stalina, oddaje w ruchu komunistycznym wszelkie decyzje polityczne i ideologiczne w ręce małej grupki szczytowej, która rozprowadza je po szczeblach ,,centralizmu demokratycznego'' do dołów partyjnych, mających rolę przytakiwania swemu kierownictwu. W istocie więc istnieje polityka Komitetu Centralnego, jego Prezydium, czy nawet tylko Sekretarza generalnego partii, ale nie partii jako zbiorowego ciała. Właściwość ta w warunkach totalnej dyktatury komunistycznej doprowadziła partie komunistyczne do zupełnie specyficznej roli, nadając im charakter zupełnie niewyobrażalny w stosunkach względnej nawet swobody politycznej.

Wobec niedopuszczenia do istnienia jakiejkolwiek innej formacji ideowo-politycznej nie istnieje dla członków partii kwestia ideologicznego wyboru. Monopol partyjny powoduje automatycznie zbędność przekonań politycznych. Decyzja włączenia się do szeregów partyjnych zapada w całkiem innej płaszczyźnie. Przekonania są przepisane z góry, gotowe, jedyne. Ideologia partii jest ideologią oficjalną państwa i jako taka wymaga podporządkowania się obywateli. Akceptacja tej ideologii sprowadza się do skonstatowania lojalności wobec państwa, lojalności niezbędnej dla podjęcia czynnej roli w życiu społeczeństwa.

Ktokolwiek ma możność swobodnej i szczerej rozmowy z członkami partii komunistycznej, spełniającymi w krajach ,,demokracji ludowej'' nie koniecznie nawet podrzędne role w aparacie państwowym, łatwo może skonstatować takie właśnie podłoże włączenia się do szeregów partyjnych i zachowywania legitymacji członkowskiej. Socjalizm-Komunizm jako oficjalne hasła państwowe odgrywają analogiczną rolę jak wypisane na wszystkich gmachach publicznych Francji hasło *Liberté Egalité Fraternité*. Słowa te symbolizują coś dobrego, szczytnego w życiu ludzkości, dlaczego je odrzucać, gdy ponadto uznanie ich rozszerza możliwości nie tylko zwykłej kariery życiowej, ale szerszej, skuteczniejszej pracy dla dobra powszechnego?!

Monopolistyczna partia zastępuje więź ideologiczną szeregiem przywilejów, wyróżniających członków partii i ułatwiających im życie. Partia staje się warstwą ludności powiązanej z władzą, czymś co daje się porównać z kurią obywateli pierwszego stopnia. Członek partii ma pełne prawa wyborcze bierne i czynne, gdy ogół społeczeństwa rozporządza tylko prawem głosowania, wyjątkowe zaś jednostki spośród bezpartyjnych mogą korzystać z prawa wybieralności tylko za aprobatą partii. Członek partii bierze udział w zebraniach i konferencjach, na których omawiana jest polityka rządu, a wysunięty do udziału w apa-

racie partii i państwa uczestniczy na różnych szczeblach hierarchii politycznej w decyzjach dotyczących przedsiębiorstwa, w którym pracuje, gminy, okręgu, w którym mieszka a nawet całego państwa; ma pierwszeństwo w awansach i możność bezpośredniego stykania się z władzą, co czyni go ,,wpływowym'' i podnosi autorytet, otwierając zresztą również drogę do osławionego ,,kumoterstwa''.

Partia liczy miliony członków, pochodzących z różnych klas i warstw ludności. Gdy przy włączeniu się do szeregów partii odpadł mus ideologicznego wyboru, partia jako całość stała się siłą rzeczy mikro-społeczeństwem, obejmującym poza elementami arrywistycznymi, gotowymi deptać każdego byle piąć się wyżej, wielką masę ludzi o charakterze aktywnym, szukających dla swych umiejętności i uzdolnień jak najszerszego pola działania. Wejście do partii nie jest już połączone z koniecznością zerwania więzi ze swym otoczeniem społecznym. Mikro-społeczeństwo partyjne w tych warunkach musi podlegać tym samym procesom dyferencjacji co i całe społeczeństwo.

Ewolucja partii komunistycznej od organizacji zawodowych rewolucjonistów do mikro-społeczeństwa, obejmującego ludzi reprezentujących różne warstwy, odbyła się wbrew woli i koncepcji Lenina. Przy pierwszych objawach masowego napływu do partii różnorakich żywiołów, przyciągniętych blaskiem władzy i jej wygodami, Lenin wołał o wypędzenie z partii 100-200 tysięcy komunistów ,,którzy przyłączyli się do nas tylko dla osobistej korzyści''. Partia liczyła wówczas (rok 1921) niespełna pół miliona członków. Przy tak stosunkowo małej liczebności szeregów partyjnych już wydawało się Leninowi niemożliwe zachowanie ideologicznej więzi i szczerości przekonań uczestników ruchu. Ale partia zawodowych rewolucjonistów, z natury nieliczna, była skutecznym narzędziem zdobycia władzy w procesie rewolucji. (W krajach środkowo-wschodniej Europy rewolucję zastąpiła interwencja zbrojna ZSSR). Utrzymanie władzy i sprawowanie jej wymagało innego typu organizacji. Stalin z właściwym mu zmysłem realności otworzył więc ramy partii dla wszystkich z jednym tylko warunkiem: bezwzględnego podporządkowania się rozkazom kierownictwa partyjnego, spoczywającego w jego ręku. Od tej właśnie chwili na miejsce więzi ideologicznej przyszła więź służby państwu z oszałamiającą perspektywą zwycięstw gospodarczych i politycznych, więź interesu osobistego, więź uprzywilejowania obywateli pierwszego stopnia.

Partia klasowa stała się partią państwową w pełnym znaczeniu tego słowa. Kierownictwo partii usiłowało i usiłuje przeciwdziałać naturalnym następstwom tego faktu w postaci przenikania do jej łona sprzeczności, które istnieją w życiu państwa i społeczeństwa. Propaganda, szkolenie ideologiczne, nawoływania do wystrzegania się ,,obcych'' wpływów i periodyczne czystki nie są jednak w stanie przezwyciężyć prawa osmozy społecznej. Tym bardziej, że sama partia w miarę stabilizacji

dyktatury podlega nieuchronnie procesowi społecznego zróżnicowania. Wyłania się klasowo zorganizowana warstwa rządząca kształtuje się na drugim biegunie plebs partyjny i wyrasta pośrednia warstwa niższych funkcjonariuszy i aktywistów.

Stalin obrazował partię (w 1927 r.) jako armię składającą się z 3-4 tysięcy generałów, 30-40 tysięcy oficerów, 100 tysięcy podoficerów i 800 tysięcy szeregowych członków-żołnierzy. Nieuniknione przy takim podziale antagonizmy wykorzystali swego czasu bolszewicy, nastawiając żołnierzy carskiej armii przeciw „złoto-epoletowcom". Dziś złote naramienniki powróciły do stroju komunistycznych oficerów...

Krystalizowanie się odrębnej klasy rządzącej, złożonej z tych generałów, oficerów i podoficerów partyjnych z dodatkiem bezpartyjnych funkcjonariuszy państwowych w służbie cywilnej i wojskowej, musiało wywołać pogłębianie się i utrwalanie świadomości odrębnych interesów i dążeń partyjnych mas żołnierskich, powiązanych mimo wszystko z masami ludności pracującej. Stalinowski terror mógł przygłuszać, opóźniać ten proces, istnieje jednak wiele danych świadczących, że dokonywał się on już za życia „najwyższego autorytetu". Zdobycie po śmierci Stalina przez klasę rządzącą praw swobody osobistej i bezpieczeństwa dało, jak zwykle w historii, rozluźnienie więzów również dla całego społeczeństwa. Tym samym pogłębił się i przyśpieszył proces odrodzenia myśli krytycznej i dojrzewania świadomości odrębnych interesów poszczególnych klas i warstw społecznych. Partia jako mikro-społeczeństwo, ogarniające najczynniejsze elementy ludzkie, stała się naturalnym terenem skrzyżowania prądów myślowych i krystalizacji poglądów nieraz diametralnie sprzecznych.

W warunkach ustroju demokratycznego, przy swobodzie stowarzyszania się, prowadziłoby to do rozejścia się ludzi o sprzecznych poglądach, do stworzenia frakcji czy odrębnej partii. W ustroju, mającym za kamień węgielny monopartię, procesy kształtowania się nowych poglądów i prądów ideologicznych muszą się odbywać w łonie tej partii pod powierzchnią pozornej jedności ideologicznej. Dlatego też nie można utożsamiać zjawiska rewizjonizmu w krajach dyktatury komunistycznej z jakąkolwiek opozycją w ramach partii komunistycznych Zachodu. Taka opozycja może czerpać zachętę, a nawet natchnienie, z prądów rodzących się w partiach komunistycznych u władzy i na odwrót — w prądach tych można znaleźć echo buntu jednostek i grup opozycyjnych w partiach zachodnich. Ale istota rzeczy tkwi w tym, że opozycję można wyeliminować z partii komunistycznych, działających w warunkach swobody, gdy rewizjonizm można opanować tylko przez usunięcie systemu monopartii.

Przywódcy ZSSR i innych państw bloku komunistycznego usiłują odbudować spójnię wewnętrzną partii przez dostosowanie się do tych prądów, które dojrzały w klasie rządzącej i nabrały siły w znacznej części społeczeństwa. Zdaje się nie ulegać wąt-

pliwości, że taka polityka pozyskuje sympatię dużej części członków partii i to nie tylko „generałów", ale i plebsu partyjnego. Polityka ta rozbraja na pewien czas dążenia w kierunku przemian ustroju od samych podstaw, ale wznieca jednocześnie opory tej części klasy rządzącej, która w polityce ustępstw i od odejścia od stalinowskich metod rządzenia widzi zagrożenie dla dyktatury partii.

Rewizjonizm odgórny Chruszczowa czy Gomułki ustawia oficjalną politykę obozu komunistycznego na pozycjach centrowych: przeciwko konserwatyzmowi, który „odrywa się od mas" i „uchyla się przed palącymi problemami jakie rodzi życie" (5) oraz przeciwko dążeniom do dalszego pogłębiania polityki ustępstw w kierunku demokratyzacji państwa i partii, co otrzymało oficjalną nazwę rewizjonizmu. Z natury rzeczy konserwatyzm jest bliższy sercu, traktowany jest pobłażliwie, jego przedstawiciele zaś łatwo przywracani do łask gdy tylko poddadzą się dyscyplinie partyjnej, natomiast rewizjonizm został ogłoszony najgłówniejszym wrogiem. Tym bardziej niebezpiecznym, że nieuchwytnym. Pleni się dokoła, ogarnia doły partyjne, młodzież uniwersytecką i szkół zawodowych, przenika do klasy rządzącej, znajduje swych teoretyków i apostołów, krystalizuje się w coraz jaśniejszej ideologii. Przeciwstawiając się oficjalnemu „marksizmowi-leninizmowi" rewizjonizm sięga albo do samego Lenina z jego pism apoteozujących demokrację robotniczą i walkę z wszechwładzą państwa, albo wprost do Marksa z jego głębokim humanizmem i teorią walk klasowych, która toczyć się musi w każdym (a więc i sowieckim) ustroju, gdzie istnieją przywileje mniejszości i upośledzenie mas ludowych.

W tej nieuchwytności i rozlewności leży siła rewizjonizmu i jego słabość. Siła — bo kształtuje świadomość mas i decyduje o obliczu ideowym nowego pokolenia; słabość — bo nie ma możności nadania różnym w swej treści prądom opozycyjnym jednolitego wyrazu programowego i tym bardziej organizacyjnego. Można jednak przyjąć, że słabość ta jest zjawiskiem przejściowym. Zasadnicze zręby ideologiczne ujawniły się już z zadziwiającą zgodnością w aktach tak dalekich w czasie i przestrzeni, jak bunt na Workucie czy powstanie węgierskie. Dlatego też obecne kierownictwo komunizmu określa rewizjonizm jako wroga nr 1.

Zygmunt ZAREMBA

---

(5) „Deklaracje 12-tu partii komunistycznych" — „Nowe Drogi", nr 12 r. 1957.

Ucieczka z Rumunii

Po długich, ciężkich, ośmiu miesiącach beznadziejnego, upokarzającego internowania przez Rumunów w Baile Herculane zbliżył się wreszcie dawno upragniony dzień możności wyjazdu do Bukaresztu, a to ,,celem leczenia zębów''. Krępy, czarniawy miejscowy komisarz Siguranty Cartianu był już przed paru miesiącami ,,zmiękczony'' przeze mnie. Ofiarowałem mu wspaniały japoński sztylet zawinięty w zieloną jedwabną bogato haftowaną płachtę, popierał więc u władz sprawę mego leczniczego urlopu. Spotkał on mnie dziś rano przed restauracją Gotha i gestem opiekuńczym zaprosił do swego biura — ośrodka nadzoru nad ministrami i urzędnikami mego internowanego rządu. Tu w obecności najstarszego rangą i najwyższego wzrostem żandarma Petruszki oświadczył życzliwie, iż udało mu się uzyskać pozwolenie na mój dwutygodniowy wyjazd do Bukaresztu, gdzie będę wreszcie mógł pozbyć się mych trwających już parę miesięcy dokuczliwych bólów zębów. Zabrał moją legitymację, czyli *Bilet de Identitate* wystawioną przez starostwo w Severin i dopiął do niej dokument podróży, polecając zgłosić się po papiery nazajutrz rano przed wyjazdem. Wyszedłem na zalany słońcem deptak zakładu leczniczego i obok potężnego posągu Herkulesa, dusząc w sobie radość, a udając obojętność wobec napotkanych żandarmów, skierowałem się wolnym krokiem do nowego hotelu Cerna, gdzie na piętrze zajmowałem niewielki pokoik. Zamknąłem drzwi na klucz i powyciągałem walizki spod łóżka na środek pokoju, by zorientować się w ich pakowności. Jedna, najcięższa, o której wszyscy Rumuni myśleli, że zawiera złoto, była do wierzchu wypełniona dużymi oprawnymi w płótno grubymi zeszytami, w nich jeszcze przy urzędowaniu w Polsce zapisywałem każdą czynność dokonywaną w ciągu dnia. Przez długie trzynaście lat pracy w rządzie, od 1926 do 1939 roku, nazbierało się jedenaście tych zeszytów, bogatych w treść i tajemnice państwowe. Na szczęście zapełnione były one mym mało

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

czytelnym pismem, tak, że niełatwe do szybkiego odczytania, ale na pewno dość przejrzyste przy powolnym odcyfrowywaniu i przy użyciu szkła powiększającego. Postanowiłem zabrać tę walizkę ze sobą do Bukaresztu, a w razie ucieczki stamtąd, albo ulokować ją u zaufanych ludzi, albo raczej zniszczyć jej zawartość, by nie wpadła w ręce niemieckie lub bolszewickie. Zeszyty przykryłem paru sztukami bielizny ,i po zamknięciu na klucz, wsunąłem walizkę z powrotem pod łóżko. W samą porę, gdyż rozległo się dosyć energiczne stukanie do drzwi. Po otwarciu, stwierdziłem z ulgą, że był to minister sprawiedliwości mego byłego rządu Witołd Grabowski.

— Generał już się pakuje? — zapytał cicho, widząc rozłożone na podłodze rzeczy.

— Tak, wyjeżdżam jutro do Bukaresztu leczyć zęby — odpowiedziałem wesoło.

— To doskonale się składa, bo ja też dostałem dwutygodniowy urlop w celach zdrowotnych. Jadę więc również do tej ich stolicy, a może i trochę dalej — zakończył półszeptem mrugając porozumiewawczo. — To pojedziemy chyba razem — rzucił znów głosno.

— Z największą chęcią! — odpowiedziałem. — Obaj jesteśmy tu bez rodzin, trzeba więc będzie próbować szczęścia i to teraz, bo prędko drugi raz stąd nas nie puszczą.

— No to, pa! Spotkamy się na obiedzie, teraz również biegnę się pakować. Musimy chyba tu coś zostawić, by nie zwracać uwagi dużą ilością bagażu, — wychodząc zakończył Grabowski.

Zamknąłem znów drzwi na klucz i zacząłem dzielić posiadane rzeczy między dwie walizki. Jedną, którą miałem zostawić, wypełniłem mundurem i płaszczem wojskowym, oraz częścią bielizny. Do drugiej włożyłem najpotrzebniejsze rzeczy, by je zabrać ze sobą. Już też trzeba było iść na obiad.

W dosyć drogiej restauracji Gotha jadałem od stycznia, po wyjeździe rodziny do Francji, tylko raz na dzień, w południe. Śniadanie i kolację wcinałem na zimno, kupując zapasy w sklepiku spożywczym zwanym tu: ,,Gratar''. Najczęściej był to chleb, salceson i tanie czerwone wino. W ten sposób w ciągu pół roku odłożyłem na wypadek ucieczki trochę pieniędzy z kwot wypłacanych co miesiąc przez sympatycznego pułkownika rumuńskiego, prefekta z Lugoj. Dzisiaj przy obfitszym niż zwykle posiłku południowym wymówiłem w restauracji obiady na dwa tygodnie aż do powrotu z Bukaresztu. Po krótkiej drzemce popołudniowej pakowałem dalej rzeczy przy pomocy uczynnego dyrektora z Ministerstwa Oświaty, Przybyłowicza. Zamierzając pozostać nadal w Baile Herculane do wyjaśnienia sytuacji, podjął się on uprzejmie przechowywać u siebie w pokoju moją walizkę z rzeczami wojskowymi, naturalnie dopóki warunki mu na to pozwolą. Przed kolacją pożegnałem się krótko z resztą pozostających tutaj internowanych. Jest w Baile obecnie jeszcze około trzydziestu osób, podczas gdy w październiku zeszłego

roku przyjechało nas ze Slanica licząc kierowców przeszło osiemdziesiąt osób. Część urzędników jak wiceminister Brzozowski, naczelnik Piotrowicz, radca Karwowski wyjechało do wojska, część rodzin, jak dyrektora Żyborskiego udała się do innych krajów, wreszcie kilku kierowców wróciło do Polski. Pozostał chory i zgnębiony psychicznie wiadomością o zabiciu na wojnie syna, wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski z żoną i córką. Ciężko chory minister Kostek-Biernacki nie wychodził prawie z pokoju hotelowego mimo pięknego skwarnego lata. Dalej pozostała w Baile rodzina wiceministra Brzozowskiego ze starą matką, pięknym typem matrony polskiej na czele. Poza tym, mieszkali w hotelu Cerna z rodzinami ministrowie: Juliusz Ulrych, Kasprzycki i Kaliński. Z wiceministrów zostali Chełmoński i Argasiński. Były więc to już tylko nikłe resztki mego byłego internowanego rządu. Prawie wszystkie te osoby oświadczyły mi przy pożegnaniu, że na razie nie mogą i nie mają dokąd wyjechać z rodzinami, tym bardziej obecnie wobec ciężkiej sytuacji wojennej we Francji i możliwości zajęcia jej przez wojska niemieckie.

Na pewno nie opuszczą już nigdy Baile Heculane, pochowani na miejscowym cmentarzu, a zmarli wśród zgryzot niewoli: szef departamentu uzbrojenia generał Maciejowski i świetny klinicysta, kryształowy człowiek, podpułkownik lekarz Bylina. Jeszcze w zimie wkrótce po ich śmierci internowani z nami generałowie przeniesieni zostali do Targoviste. Pokoje po nich zajęli przybyli do uzdrowiska liczni kuracjusze rumuńscy. Poszedłem pożegnać się również z miejscowym aptekarzem, Węgrem p. Hosu, z którym spędziłem wiele długich wieczorów zimowych w jego jasnej ciepłej aptece przy grze w szachy i rozmowach.

Gdym już koło 9 wieczorem przeglądał i niszczył niektóre swoje papiery, wszedł chyłkiem, leciutko stukając do drzwi tajemniczy jak zawsze komisarz Cartianu i oświadczył że po południu przyjechał niespodzianie nasz ,,opiekun'' z ministerstwa spraw zagranicznych hrabia de Lascala. Bez zatwierdzenia naszych urlopów przez hrabiego on, mimo całej życzliwości, nie może puścić nas jutro do Bukaresztu.

— Pójdę więc zaraz do pana de Lascala i myślę, że mi wyjechać pozwoli — powiedziałem gorączkowo, bojąc się nowych komplikacji.

— Pan hrabia obecnie bardzo jest już zajęty w oddzielnym gabinecie przy restauracji ,,Gotha'', nie będzie więc mógł pana przyjąć — odpowiedział mrugając znacząco Cartianu. — Jutro rano o godzinie piątej wyjeżdża on do znajomych w okolicy. Radzę więc generałowi wstać wcześniej i wtedy uzyskać pozwolenie u niego, gdy będzie jadł śniadanie w hotelu Ferdynanda — dodał wychodząc z pokoju i mówiąc ,,Dobranoc'' głosem nie wróżącym nic dobrego. To nagłe zakwestionowanie długo i starannie przygotowywanego wyjazdu do Bukaresztu wytrąciło mnie zupełnie z równowagi i odebrało chęć do snu. Aby jakoś spędzić czas zacząłem znowu siedząc już w łóżku porządkować swoje papiery z dziewięciomiesięcznego okresu internowania w

Rumunii. Nazbierało się tych papierzysków sporo w dawnej mojej tece ministerialnej. Każdy z nich był świadectwem krzywdy i bezsilności szamocącego się, bezprawnie zamkniętego nagle pozbawionego wolności, a posiadającego do niedawna władzę człowieka. Oto odmowna lapidarna odpowiedź Wodza Naczelnego Sikorskiego na moje podanie o przyjęcie jako lekarza do wojska. Kończy on ją następującą życzliwą radą: ,,Pan, Prezes Rządu odpowiedzialnego za bezprzykładny pogrom jakiegośmy doznali, powinien zrozumieć że jedno mu teraz pozostaje, dać o sobie zapomnieć''. Niewiele lepsza jest odpowiedź generała Sikorskiego jako premiera na pismo nasze wysłane do Prezydenta Raczkiewicza, opisujące warunki w jakich zmuszeni byliśmy przekroczyć granicę rumuńską. Oto znów pismo, w myśl którego przestaję być posłem. Dalej idą pisma Komisji Obrony Mienia Państwowego z dokuczliwymi pytaniami o nieznaczne szczegóły, na które złośliwie odpowiadam, że w Baile Herculane stoi w śniegu pod gołym niebem przeszło 20 samochodów byłego rządu, rdzewiających i rozkradanych przez żołnierzy rumuńskich. Tu znowu spiętych parę pism do ambasadora naszego w Bukareszcie, protestujących przeciw trwaniu naszego internowania po złożeniu funkcji przez Prezydenta Mościckiego i ministrów. Przynajmniej Prezydent wreszcie został zwolniony z internowania i wyjechał do Szwajcarii. Teraz ja zamierzam, próbuję wyjechać z Rumunii. Przed kilku dniami otrzymałem list od rodziny z Paryża: ,,Pobyt twój we Francji zapewniony przez władze''. Jest to lakoniczne ze względu na istniejącą cenzurę listów, ale bardzo ważne dla mnie stwierdzenie. Trzeba koniecznie sprawdzić w ambasadzie polskiej w Bukareszcie, co ono znaczy, ale na to muszę tam się dostać. Przeglądanie papierów zajęło mi dużo czasu. Już pieją koguty we wsi. Gaszę światło, by usnąć trochę, gdyż skoro świt trzeba złapać przed wyjazdem z Baile hrabiego de Lascala, by otrzymać tę zgodę jego na wyjazd w myśl rady komisarza Cartianu.

Bukareszt, wtorek 11 *czerwca* 1940

Piszę wieczorem w małym hotelu ,,Excelsior'' w pokoju przy końcu korytarza drugiego piętra. Dostałem się tu jak następuje. Przebudziłem się dzisiaj rano jeszcze w hotelu ,,Cerna'' w Baile Herculane koło czwartej godziny. Szybko ubrałem się i wybiegłem na placyk. Wschodzące słońce nie przebiło jeszcze gęstych mgieł, kłębiących się w urwistej, wąskiej dolinie rzeki Przed hotelem ,,Ferdynand'' stał samochód, a przy nim kilka osób, wśród których rozpoznałem przysadzistego komisarza Cartianu. W mrocznym korytarzu hotelu krzątał się już chłopak do posług Jonek i stara pokojówka Verona. Zawiadomiony przez nią Lascala wychodzi w szlafroku na korytarz i pyta czym może służyć.

— Panie hrabio, — mówię, otrzymałem dwutygodniowy urlop dla leczenia zębów w Bukareszcie. Chciałbym dziś wyjechać. Zapytuję, czy nie ma pan nic przeciw temu.

— Ależ naturalnie nic nie mam przeciw temu, generale. Proszę jechać, jeżeli władze policyjne się zgadzają. Będę za kilka dni w Bukareszcie, to mam nadzieję, że się zobaczymy. Pan gdzie się zatrzyma?

— Ja? Zapewne o ile będzie miejsce to w hotelu ,,Excelsior''.

— No, tam jest dosyć marnie. Ja staję w ,,Ambassadeurs'' polecam panu również ten hotel i życzę przyjemnego leczenia zębów — zakończył Lascala śmiejąc się ze swego dowcipu i potrząsając moją ręką na pożegnanie.

Stojącemu przed domem dyrektorowi hotelu Holbanowi i komisarzowi Cartianu oświadczyłem, że dziś wyjeżdżam. Ten ostatni przyrzekł, że papiery i samochód będą gotowe na godzinę pierwszą po południu, gdyż pociąg do Bukaresztu odchodzi koło drugiej. Rzeczywiście zaraz po dwunastej w południe zajechał jeden z naszych szoferów wyczyszczonym i umytym Chryslerem. Wszedł do pokoju po rzeczy, jak za dawnych dobrych czasów i mrugając powiedział:

— Przyprowadziłem Chryslera, żeby pan generał ostatni raz jeszcze go poprowadził. Namęczyłem się przy czyszczeniu, bo strasznie jucha zaniedbany przez tę tutejszą zimę.

Nadszedł z walizkami minister Grabowski, wydając uprzejmie okrzyki podziwu dla mego nowego, świeżo uszytego garnituru cywilnego i żółtych bucików. Zaraz za nim zjawił się niespodziewanie gruby astmatyczny, ale życzliwy i zawsze grzeczny dla nas wójt gminy Baile Herculane, miejscowy lekarz dr Dodiu, mówiąc, że ma jechać z nami do stacji kolejowej. Jedzie on służbowo do Bukaresztu, by starać się o kredyty na poprawienie, stojącego na skale żelaznego krzyża, który został częściowo stopiony przez piorun w kwietniu tego roku. Krzyż musi być naprawiony, bo kuracjusze uważają sterczące resztki za zły omen i wróżbę na przyszłość. Twierdzą przesądnie, że będzie wojna i na przyszły rok nie przyjadą. Współczujemy i potakujemy sympatycznemu wójtowi.

Wreszcie koło pierwszej przychodzi żandarm Petruszka. Ogląda powierzchownie nasze dość obfite bagaże i wręcza dokumenty podróży mówiąc:

— Myślę, że panowie tu nie wrócą.

— Jakto? — pytamy niemile zaskoczeni.

— Myślę, że panowie zostaną już w Bukareszcie — dorzuca, uśmiechając się chytrze. Wyrażam w tym względzie wielkie wątpliwości i siadam do samochodu przy kierownicy, a obok mnie kierowca. Na tylnym siedzeniu mieszczą się wójt Dodiu i minister Grabowski.

— Dowidzenia — wołamy wesoło Petruszce i odprowadzającemu nas dyrektorowi Przybyłowiczowi, po czym ruszam z miejsca. Zrazu w obrębie uzdrowiska aż do podniesionego teraz

szlabanu jadę rozsądnie. Gdy jednak, po dziewięciu miesiącach zamknięcia, zobaczyłem w słońcu błyszczącą pustą drogę wijącą się wśród bujnych zagajników rosnących na brzegach rzeki, poczułem w sobie dawny dziki pęd szoferski i zacząłem ,,nawalać na gaz''. Samochód, jakby również czekał w ciągu długiej zimy na tę pięciokilometrową przejażdżkę do stacji, runął z miejsca ostro naprzód. Drzewa, słupy telegraficzne i znaki drogowe uciekały w tył ze świszczącym szumem falującego w letnim upale powietrza.

— Pokażemy temu Rumunowi jak się jeździ w Polsce! — zawołałem do siedzącego obok kierowcy, zwiększając ciągle szybkość wozu na kawałku prostej szosy.

— Panie generale, bo Rumuni tu nie uważają na znaki drogowe i ścinają zakręty, możemy nadziać się na takiego jak nic! — woła ostrzegawczo kierowca.

Ale, oto znowu parę kilometrów prostej drogi. Korzystam z okazji by rzucić okiem w lusterko samochodu. Minister Grabowski siedzi spokojnie tylko włosy zjeżyły mu się i falują od pędu wiatru, ale biedny wójt blady, z wbitym w ziemię wzrokiem, przytrzymuje prawą ręką melonik na głowie, a lewą ściska kurczowo ramię Grabowskiego, jakby u niego szukając pomocy i ratunku. Dalej znów mijam parę zakrętów i niestety już widać stację kolejową z klombikiem kwiatów i brukowanym podjazdem. Zwalniam tylko nieznacznie, tak, by z fantazją zatrzymać samochód przed głównym wejściem.

— No, panie wójcie, oto nie spóźnił się pan na pociąg, podwieźliśmy, jak należy — wołam wyskakując z wozu do bladego doktora Dodiu.

— A proszę panów, to ja myślałem, że generałowi z tej wolności krew do głowy uderzyła i będzie nieszczęście. Tak tu jeszcze nigdy nie jeździłem — biadoli wójt, wysiadając z samochodu przy pomocy nadbiegłego żandarma.

— Jaka tam wolność! — mówię — za dwa tygodnie musimy przecież tu wrócić, to może pan doktor znowu skorzysta z naszego samochodu. Bardzo nam będzie przyjemnie przejechać się razem.

— Już ja z panami więcej nie pojadę. Życie mi jeszcze miłe. Dowidzenia panom! — kończy pan Dodiu, udając się do poczekalni pierwszej klasy.

Żegnamy się serdecznie z kierowcą, gdyż żandarm każe mu zaraz wracać do Baile. Rzucam pożegnalne spojrzenie na samochód, z którym dzieliłem tyle przygód, podróży i niebezpieczeństw, po czym nie oglądając się wnosimy walizki do poczekalni drugiej klasy. Tu, po kupieniu biletów, czekamy jeszcze trzy kwadranse na ciągniony przez dwie sapiące lokomotywy pośpieszny pociąg do Bukaresztu. Dodiu więcej nam się nie pokazał. W wagonie umawiamy się z Grabowskim, że celem niewzbudzania podejrzeń widywać się będziemy tylko raz na dzień w kawiarni, a to dla wymiany wiadomości o postępach przy-

gotowań naszych do ucieczki. Ja zamieszkam w „Excelsior", a Grabowski w innym, poleconym mu przez znajomych hotelu.

Podróż nasza trwa kilka godzin i do Bukaresztu zbliżamy się koło dziesiątej wieczorem. Pociąg mija szereg świateł latarń ulicznych, to zbiegających się to rozpraszających w ciemnościach nocy, Po kilkumiesięcznym pobycie w górach wydaje nam się na chwilę, że oto czas się cofnął i że podjeżdżamy wieczorem do... Warszawy. Dopiero obca mowa na dworcu kolejowym wali w łeb przypomnieniem smętnego wygnania.. Bukareszt wieczorem imponuje obfitością świateł i luksusowych samochodów, przeważnie amerykańskich. Z dworca jadę piękną nową taksówką. W hotelu zjadam kolację i siedzę obecnie w swym tanim numerze. Mnogość wrażeń dnia dzisiejszego nie pozwala mi spać. Jutro zaczynam chodzić koło możliwości ucieczki z tej Rumunii.

Hotel „Excelsior" w Bukareszcie, 12 *czerwiec* 1940, *środa wieczorem.*

Dzisiaj obudziłem się o godzinie ósmej i po śniadaniu odszukałem mieszkającego w tym samym hotelu gen. Jakuba Krzemieńskiego. Zastałem go jeszcze śpiącego i zupełnie zaskoczonego moim nagłym zjawieniem się w jego wybielonym, jasnym pokoju.

— A, Sławoj! Co tu robisz? — zapytał, siadając na łóżku i wyciągając do mnie rękę.

— Przyjechałem leczyć zęby, a potem może uciec. Chciałem właśnie ciebie się poradzić, jak to zrobić. Ale, co słychać u ciebie?

— Ano, po ośmiu miesiącach spokojnego pobytu tutaj, mamy podobno wyjechać. Mówią, że jesteśmy zapisani na jakiejś algierskiej, czy marokańskiej, w każdym razie afrykańskiej liście, gdyż na łaskawą propozycję naszego rządu Francuzi zgodzili się nam dać schronienie w koloniach, byśmy nie zatruwali tu atmosfery. No, ale teraz znów nic nie wiadomo co będzie ze względu na sytuację wojenną Francji.

— No, mnie na pewno na tej liście nie ma! — zawołałem. — Z szeregu listów z Paryża wiem, że rodzina moja przez Francuzów wystarała się o pozwolenie generała Sikorskiego na pobyt dla mnie we Francji. Mam to potwierdzone w ostatnim liście. Ale też nie wiadomo, co będzie, bo przed trzema dniami miałem depeszę, że rodzina opuszcza Paryż. Chcę więc iść do ambasady do pułkownika Zakrzewskiego i spytać, jak jest z pozwoleniem na wyjazd przy obecnej sytuacji we Francji.

— Do niego trudno się dostać, bo ambasada jest oblężona przez tłumy uchodźców. Lepiej więc napisz, by Zakrzewski wyznaczył ci za parę dni przyjęcie, bo w kolejce się nie dociśniesz — zauważył kładąc się znów na poduszkę Krzemieński.

— Mam tylko kilka dni na to „leczenie zębów", więc muszę dzisiaj coś zacząć z tą ucieczką.

— No to śpiesz, próbuj się dostać, ale nie myśl, że cię tam przyjmą z otwartymi ramionami — powiedział żegnając się generał.

Miał świętą rację. Gdy bowiem znalazłem Alea Alexandru 23, zobaczyłem przed ładnym pałacem ambasady na trotuarze potrójny wąż oczekujących na przyjęcie, głośno rozmawiających i gestykulujących interesantów. Ledwie zrobiłem parę kroków w kierunku wejścia do gmachu, rozległy się z kolejki bezładne zgryźliwe okrzyki.

— Do ogonka, do tyłu, czekać na swoją kolej! Już minęły przywileje i skończyło się używanie.

Zatrzymałem się więc obok uchylonej furtki do ogródka przed ambasadą. Postanowiłem, wobec niemożności prędkiego dostania się do gmachu, posłuchać rady generała Krzemieńskiego i napisać do pułkownika Zakrzewskiego, prosząc o przyjęcie mnie w dniach najbliższych. Wszedłem do ogródka, siadłem na ławce, wyjąłem z teki papier z kopertą i pochyliłem się do pisania, gdy usłyszałem nad sobą gęsty głos woźnego:

— Pan do kogo? Tu siedzieć nie wolno!

— Ja do pułkownika Zakrzewskiego w sprawie rozkazu naczelnego Wodza — odpowiedziałem.

— Proszę za mną! — zaszemrał już ciszej głos woźnego.

Przy głośnych okrzykach dezaprobaty tłumu oczekujących wszedłem do gmachu i zaprowadzony zostałem do gabinetu pułkownika Zakrzewskiego. Wysoki, chudy wstał zza biurka pytając: — Czym mogę służyć?

— Panie pułkowniku, mam list od rodziny, że Wódz Naczelny zgodził się na mój wyjazd do Francji. Czy pan pułkownik wie coś o tym i czy może mi pomóc?

— Pan generał zechce usiąść i przeczytać ten papier z dnia dzisiejszego, który zamierzałem przy sposobności wysłać do Baile Herculane.

Siadłem więc i czytałem, starając się ukryć wrażenie, pismo następujące:

„Bukareszt dn. 12.VI.40. Pan Generał Sławoj Składkowski, Baile Herculane.

Donoszę Panu Generałowi, że P. Minister Spraw Wojskowych wyraził zgodę na powrót Generała do rodziny we Francji. Natomiast wobec pokrycia z 20% nadwyżką wszystkich stanowisk lekarskich w W.P. oraz b. znaczną ilość lekarzy o wysokich kwalifikacjach, nie mogących otrzymać przydziału we Francji, Pan Min. Spraw Wojskowych nie może Panu Generałowi zaofiarować stanowiska lekarza w W.P. T. Zakrzewski ppłk. dypl.".

Gdy skończyłem, chwilę jeszcze namyślałem się trzymając pismo przed sobą, po czym podniosłem wzrok na pułkownika, pytając żywo:

— Kiedy więc, zdaniem pana, mogę wyjechać stąd?

— Moim zdaniem należałoby zaczekać z wyjazdem aż do wyjaśnienia sytuacji we Francji — odpowiedział chłodno pułkownik.

— Proszę pana, odparowałem, pozwolenie pana ministra spraw wojskowych, pańskiego przełożonego jest wyraźne. Na pewno dając je przewidywał przyszłość i nie łudził się co do przebiegu walk we Francji. Mam depeszę że rodzina moja zmuszona była opuścić Paryż uciekając przed Niemcami i obowiązkiem moim jest odszukać ją celem niesienia pomocy. Proszę więc pana pułkownika o wykonanie woli generała Sikorskiego i umożliwienie mi wyjazdu do Francji.

— Nie mogę panu w tym przeszkodzić — powiedział patrząc mi ostro w oczy pułkownik. — Naturalnie ucieczkę bierze pan generał na swoją odpowiedzialność. Ja udzielę tylko, o ile to jest w mojej możności, dyskretnej technicznej pomocy. Prosiłbym jednak, by pan porozumiał się w tej sprawie z panem ambasadorem Raczyńskim.

— Naturalnie, zaraz idę do niego. Dziękuję panu pułkownikowi z góry za pomoc i postaram się ją wykorzystać — oświadczyłem żegnając się.

Ambasadora Polski Rogera Raczyńskiego zastałem siedzącego za biurkiem w dużym widnym przeładowanym meblami gabinecie. Ze względu na niedawną przeszłość przy składaniu dymisji mego rządu w Slanicu, ze względu na wizytę ambasadora w Baile Herculane, celem odebrania pieczęci urzędowych oraz ze względu na wymianę między nami przykrych w treści pism — powitanie było bardzo chłodne.

— Czym mogę służyć panu generałowi? — spytał sucho ambasador, wskazując mi krzesło obok biurka.

— Panie ambasadorze, otrzymałem to pismo od pułkownika Zakrzewskiego mówiące, że generał Sikorski zgodził się na mój wyjazd do rodziny we Francji. Pragnę więc wyjechać tam jak najprędzej i proszę pana ambasadora o pomoc w tej sprawie.

— Ja nic nie mam przeciw wyjazdowi pana, a pomocy technicznej udzieli pułkownik Zakrzewski — odpowiedział krótko ambasador.

— Dziękuję panu bardzo. Chodzi mi jeszcze o jedną rzecz, powiedziałem. Jak zapewne panu ambasadorowi wiadomo zgłaszali się u mnie w Baile Herculane panowie Robinson i Luksemburg z ramienia komisji do badania nadużyć państwowych. Na wstępie zastrzegli się, że nie mają prawa przeprowadzania badań w Rumunii i prosili o dyskrecję wobec władz rumuńskich. Oświadczyłem im, że nie mam zwyczaju uciekać się o pomoc przeciw władzom polskim do obcych i że lojalnie gotów jestem złożyć potrzebne im zeznania. Po szeregu badań zaproponowali mi oddanie na ich ręce 1000 złotych marek niemieckich, które pozostawiłem sobie z funduszu dyspozycyjnego na wypadek zagrożenia i ucieczki przed Niemcami, lub bolszewikami. Odpowiedziałem, że zwrócę je władzom polskim w czasie, gdy będę pewny, że nie grozi mi dostanie się do niewoli. Otóż, ponieważ

obecnie władze polskie ofiarują mi pomoc ucieczki z Rumunii, uważam za swój obowiązek zwrócić na ręce pana ambasadora te pieniądze — dodałem, kładąc na biurku 300 dolarów amerykańskich. — Zmieniłem złote marki niemieckie na dolary, bo łatwiej je było zaszyć w ubraniu.

Ambasador Raczyński polecił wezwanemu dzwonkiem sekretarzowi wystawienie mi pokwitowania po czym nastała chwila ciszy. Przerwałem ją mówiąc:

— Poza tym ci dwaj panowie, pan Robinson i Luksemburg, kusili mnie bym wyjawił im nazwiska osób, którym pomogłem z funduszu dyspozycyjnego do ucieczki z Rumunii. Odpowiedziałem im, że nie mogę tego zrobić ze względu na lojalność dla premiera Sikorskiego. Gdy wyrazili swe zdziwienie, dodałem: ,,Zgodzą się panowie, że gdybym ja ogłosił na co wydałem mój fundusz dyspozycyjny, to przeciwnicy polityczni premiera Sikorskiego mogliby domagać się tego samego od niego, a przecież nie byłoby to zgodne z interesem i dobrem państwa. Więc dlatego nic panom więcej nie powiem, bo nie macie prawa mnie o to pytać''. Wtedy zrozumieli i wyszli z mego pokoju po dwóch godzinach badania.

Gdy skończyłem swą opowieść nastała znów chwila kłopotliwego milczenia, której żaden z nas nie przerywał. Na szczęście wszedł sekretarz z kwitem na wpłacone przeze mnie 300 dolarów, który ambasador podpisał i wręczył mi żegnając się ozięble. Oto treść kwitu:

,,Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej w Bukareszcie. — Nr. 552/R/18. — Bukareszt, dn. 12 czerwca 1940 r. — Parc Filipescu, Alea Alexandru 23.

Pokwitowanie. Niniejszym stwierdzam, że w dniu dzisiejszym otrzymałem z rąk p. Generała Sławoj-Składkowskiego sumę $ 300 (trzysta dolarów amerykańskich) w zamian za 1.000 marek niemieckich w złocie (tysiąc marek niemieckich w złocie). Ambasador R.P. R. Raczyński''.

W pokoju sekretariatu zastałem *chargé d'affaires* Ponińskiego, który w przeciwieństwie do oziębłości ambasadora był bardzo uprzejmy i przyrzekł mi dopomóc w przeprowadzeniu formalności przy ucieczce. Pożegnałem się i wyszedłem przed ambasadę. Mimo, że było już koło godziny drugiej po południu potrójny wąż interesantów, nieco skrócony, pchał się wciąż do wejścia.

W hotelu przy obiedzie spotkałem generała Krzemieńskiego, państwa Ulrychów i Kalińskich. Na moje pytanie radzili mi udać się do dentystki doktora Simy Tawrower. Jest ona z Bessarabii, mówi więc po rosyjsku, a poza tym daje zwykle przy końcu leczenia zaświadczenie o konieczności przyjazdu za parę miesięcy do Bukaresztu celem dalszej kuracji, oraz, co dziwne, de Lascala jak dotąd honoruje te świadectwa.

Po krótkiej drzemce poobiedniej wybrałem się więc do doktora Tawrower. Ta starsza, doświadczona osoba od razu spytała mnie na ile czasu mam urlop. Odpowiedziałem że na dziesięć

dni, ale nie mogę przychodzić codziennie, gdyż muszę również leczyć się u specjalisty chorób żołądkowych. Stanęło więc, że dentystka poprawi naprawdę kiepski stan mych zębów w ciągu sześciu wizyt. Dzięki więc zmniejszeniu ilości tych zabiegów jestem spokojny, że starczy mi pieniędzy na opłacenie dentystki. W czasie kolacji w hotelu spotkałem generała Zamorskiego i majora Szczapę-Krzewskiego. Ten z właściwym sobie humorem twierdzi, że jest w Bukareszcie najwyższym wojskowym polskim, bo *attaché* — płk. Zakrzewski jest dopiero: za-Krzewski. Czyli stoi za nim. Jak zawsze wszystko wiedzący ma dużo niestety smutnych wieści z Polski. Opowiada wiele plotek tutejszych i z Francji, oraz podaje listę imienną kandydatów do Algieru. Zmęczony wrażeniami ruchliwego dnia, kończę pisanie tych notatek koło 11 wieczorem. Co za szczęście że będę mógł stąd zwiać, a później na pewno dostanę się do wojska. Chodzi tylko o ten drobiazg, gdzie to nastąpi, wobec katastrofalnej sytuacji we Francji. Radio niemieckie huczy triumfalnymi komunikatami i rumuńscy zwolennicy Niemców podnieśli znowu głowy.

Hotel „Excelsior", niedziela 16 *czerwca* 1940, *godz.* 10 *wiecz.*

Nie pisałem przez kilka dni, gdyż byłem stale zalatany. Chodzi o to, żeby przygotowywać ucieczkę, nie zaniedbując jednocześnie swych obowiązków wobec tutejszych władz rumuńskich, a więc postępuję w ten sposób, jakbym miał wracać do Baile Herculane. Stąd, już na drugi dzień po przyjeździe, 13 czerwca zgłosiłem się do komisariatu dla Polaków w rumuńskim ministerstwie spraw wewnętrznych, gdzie urzęduje pułkownik Stoica. Ustaliliśmy z nim, że otrzymuję pozwolenie na pobyt w stolicy do 21 czerwca włącznie, po czym wracam do Baile Herculane. Po tej rozmowie, oglądając się dobrze czy nie jestem śledzony, poszedłem do biura polskiego konsulatu, gdzie wydawane są paszporty zagraniczne. Urzędujący tu dyrektor Łysakowski i major Ślepowon-Wróblewski byli uprzedzeni o mym przybyciu i zebrali dane do wygotowania mego paszportu. Nie ma mowy naturalnie o używaniu mego nazwiska. Podaję więc, by łatwo było pamiętać nazwisko panieńskie matki Wójcicki, a do tego — imię ojca Wincenty. Zostawiam sobie w paszporcie na wszelki wypadek jako zawód — lekarz. Nadszedł minister Grabowski, sprawa ucieczki którego również posuwa się naprzód. Otrzymał on gotowy już używany paszport na nazwisko Gont. Wręczając mi zupełnie nowy paszport, major Wróblewski mówi, że będę musiał sam wystarać się o bułgarską i turecką wizę. Podaje mi równocześnie wypisane na kartce adresy odnośnych konsulatów. Żegnam się usztywniony na duchu, że praca „lewych" dokumentów idzie tak uprzejmie i sprawnie. Składam w ambasadzie Francji wizytę znajomemu Commandant Hugon. Pytam, czy nie może dać mi protekcji do

armii gen. Weygand'a w Syrii i tworzących się tam oddziałów polskich. Jest on jednak tak speszony i zmartwiony wytworzoną we Francji *situation confuse*, że nie decyduje się na żadną pomoc dla mnie. Trochę go rozumiem, więc nie naciskam i rozstajemy się przyjaźnie. Nauczony tym smutnym doświadczeniem rezygnuję z zamierzonego odwiedzenia angielskiego podpułkownika Macnab. W hotelu spotykam ministra Juliusza Poniatowskiego, który leczy w Bukareszcie swą ciężko chorą żonę. Pani Poniatowska zemdlała pierwszy raz jeszcze w Baile Herculane, 19 marca na mszy żałobnej za Komendanta. Niestety stan jej zdrowia się nie poprawia, co jest stałą troską zasępionego pana Juliusza.

Zaraz następnego dnia o g. 9 rano zgłosiłem się ze swym paszportem do konsulatu bułgarskiego celem otrzymania wizy przejazdowej do Turcji. Pusty jeszcze, obstawiony wzdłuż ścian krzesłami dla interesantów hall był zawieszony w głębi wschodnią kotarą. Krępy, siwy z dużymi wąsami mężczyzna ostrym ruchem uchylił zasłony i wnet szedł ku mnie szerokimi krokami pytając jak mi się zdawało z rosyjska: — Po co?!

— Po wizę tranzytową do Turcji — odpowiedziałem wręczając mu swój nowiutki paszport i pieniądze na opłatę.

— Aha, paszport macie całkiem nowy, skąd go macie?! — zapytał surowo podoficerskim tonem.

— W konsulacie wydali na miejsce starego już podartego — powiedziałem jak można najgrzeczniej.

— No dobrze, a po co wam do Turcji?! rzucił inkwizycyjnie.

— Do Turcji na robotę. Jestem lekarzem. Tu nie mam praktyki, a tam potrzebują lekarzy do tłumienia epidemii.

— A dlaczego nie macie praktyki?! Dlaczego nie siedzicie u siebie w domu, tylko włóczycie się po całym świecie?! Boście głupio tę wojnę zaczęli. Wasz rząd powinien był wiedzieć, co może, a czego nie może. Patrzcie na Czechów! Ci wiedzieli! A wy na co wyszliście: *podżygatieli Jewropy*. Ot co! Żebym mógł to bym takich ot jak na sztuki rwał! — wołał rozkładając nagle mocne żylaste ręce.

— *Ja tut ni pri czom* — powiedziałem już głośniej broniąc swego istnienia. — Ja do Turcji jadę jako lekarz i polityką się nie zajmuję, to i panu odpowiedzieć nie mogę.

— No dobrze, dobrze, siadaj pan na krześle nr 1 i czekaj na decyzję — zakończył już spokojniej wskazując mi krzesło przy drzwiach.

Czekałem rzeczywiście około godziny. Innych interesantów Cerber konsulatu traktował jakoś łagodniej niż mnie, widocznie jednak miał dobry węch! Na szczęście nie zjawił się nikt z moich znajomych. Wreszcie woźny podszedł do mnie i kazał przyjść jutro o godzinie jedenastej po gotową wizę.

Wyszedłem na ulicę z uczuciem wielkiej ulgi. Nazajutrz, w sobotę 15 czerwca odebrałem paszport bułgarski w konsulacie przy czym nie miałem już szczęścia widzieć woźnego z poprzed-

niego dnia. Jakiś chuderlawy urzędnik wydał mi od razu paszport i nawet życzył szczęśliwej podróży.

Przez chwilę zdawało mi się że jestem znowu Składkowskim!

W godzinach popołudniowych spotkałem spacerującego po bocznym trotuarze przed hotelem ministra Becka. Chudy i blady chodził powoli wsparty na ramieniu żony. Mieszka również, to znaczy jest tu internowany w hotelu ,,Excelsior'', ale nie odwiedziłem go nie chcąc niepokoić w chorobie.

Chodziliśmy powoli grzejąc się na słońcu, rozmawiając o kolegach zamkniętych w Baile Herculane i marszałku Śmigłym. Wreszcie odchodząc do hotelu Beck przystanął na chwilę i spytał:

— A ty co myślisz robić ze sobą?

— Ano, próbuję uciekać do Francuzów, gdy rząd polski do wojska mnie nie chce — odpowiedziałem.

— To chyba do Anglików, bo Francuzi wkrótce się skończą — zauważył.

— A, choćby i to, byle wziąć udział w walce, nie siedzieć tu internowany.

— No, do Anglików, to ja się jeszcze nie decyduję — zakończył Beck wchodząc do korytarza hotelowego.

Ja udałem się do swego pokoju i otworzywszy walizę ze swymi jedenastu zeszytami namyślałem się, co z nimi zrobić. Nie mogę ich zostawić na przechowaniu u kogoś ze znajomych, wobec niepewności sytuacji w Rumunii. Oddać do spalenia w kuchni hotelowej nie mogę, bo gotowi podejrzewać, Bóg wie co i sprowadzić policję. Nie mogę wreszcie wieźć ze sobą tego bagażu przez komory celne do Bułgarii i Turcji, jadąc tam jako praktykujący lekarz. Jeżeli oddam na przechowanie do naszej ambasady w Bukareszcie, to papiery wpadną w ręce rządu Sikorskiego, a do mnie mogą nigdy nie dojechać. Nie mogłem więc liczyć na pomoc i z tej strony. Nie widziałem innego wyjścia jak namoczyć zeszyty wodą, co od razu zrobi je nieczytelnymi, gdyż zapisane są ołówkiem chemicznym, a potem codziennie po trochu wrzucać je podarte do koszyka ze śmieciami. Wahałem się jednak jeszcze, co robić, rozumiejąc wielką stratę swych notatek z dwunastoletniego urzędowania jako minister spraw wewnętrznych, wiceminister spraw wojskowych i premier. Dzisiaj, w niedzielę zaraz po obiedzie wyjechaliśmy z Kubą Krzemieńskim autobusem nad jezioro w lesie, nazwy którego nie pamiętam. Zwierzyłem mu się ze swej rozterki co do jedenastu zeszytów, ale i on nie widział innego wyjścia prócz zniszczenia przed wyjazdem. W tece ze sobą miałem obecnie cztery zeszyty zapisane w ciągu ostatnich trzech lat premierowania. Treść ich była najbardziej poufna jako związana z konferencjami przedwojennymi i czasu wojny. Postanowiłem spróbować zatopić te zeszyty w rumuńskim jeziorze. Publiczności było mało, zaledwie kilka osób na brzegu. Wynajęliśmy łódkę i zacząłem wiosłować w kierunku środka jeziora. Kuba sterował zupełnie dobrze,

gdyż wychowany był nad jeziorem w Małopolsce Wschodniej. Gdyśmy oddalili się od brzegu, położyłem wiosła i wyjąłem z teczki ostatni, jeszcze nieukończony zeszyt. Włożyłem go do jeziora tuż przy burcie łódki i trzymałem pionowo w wodzie. Jakiś czas szły z niego bańki powietrza, aż gdy zaczął ciężyć otworzyłem rękę i namokły zeszyt powoli zniknął pod wodą. By nie zwracać na siebie uwagi i nie wzbudzać podejrzeń, przepływaliśmy z miejsca na miejsce topiąc dalsze trzy zeszyty. Potem jeszcze jakiś czas krążyliśmy po jeziorze, patrząc czy nie wypłyną nasze zatopione skarby. Nie było nic widać, wobec czego po godzinie przejażdżki przypłynęślimy do przystani. Wysiadłszy na ląd zjedliśmy podwieczorek, po czym z werandy kawiarni bacznie obserwowaliśmy powierzchnię wód jeziora. Nie zauważyliśmy jednak nic podejrzanego. Uspokojeni wróciliśmy o zmroku do hotelu, pozostawiając w rumuńskim jeziorze tajemnice mych poczynań służbowych. Było ciężko i smutno. Obecnie już godzina 11 wieczorem. Idę spać, by jutro, zacząć niszczyć wodą dalsze swoje zeszyty.

Hotel „Excelsior", czwartek 20 *czerwca* 1940.

W poniedziałek, 17 czerwca rano odniosłem swój nowy paszport do konsulatu tureckiego i bez przygadywań, raczej uprzejmie oddali mi dokument z wizą przejazdową turecką już następnego dnia we wtorek (wiz na stały pobyt nie wydają). W środę 19 czerwca odniosłem paszport do biura dyrektora Łysakowskiego, gdzie major Ślepowron-Wróblewski stwierdził, że wizy są w porządku, ale dla władz polskich paszport nabierze pełnej wartości dopiero gdy uznany zostanie przez pułkownika Zakrzewskiego lub jego zastępcę Zimnala. Wtedy dopiero biuro paszportowe poczyni dalsze kroki do wyjazdu, jak kupno biletów prowiant, pieniądze na podróż itd.

Na razie ostudziło to znacznie moją radość, ale w dniu dzisiejszym pułkownik Zakrzewski zatwierdził ostatecznie mój wyjazd, który nastąpi jutro nocnym pociągiem. Poza tym, w ciągu ostatnich dni skrupulatnie niszczyłem swoje zeszyty z zapiskami służbowymi, postępując w myśl ustalonego systemu. Kładłem je naprzód do umywalni w swoim pokoju, a gdy woda zamazała już notatki robione chemicznym ołówkiem, wyrywałem kartki z płóciennej okładki darłem je i wrzucałem do koszyka na śmieci, albo do klozetu. Płócienne okładki chętnie zabierała służba przy sprzątaniu. Wreszcie zniszczyłem wszystkie jedenaście zeszytów. Tak przemija chwała świata!

Dzisiaj po południu ukończyłem leczenie zębów, przy czym doktor Tawrower wystawiła rachunek z dopiskiem, że powinienem uzupełnić leczenie za trzy miesiące. Rachunek zapłaciłem skrupulatnie, udając, że ten dopisek jest dla mnie cenną zapowiedzią możliwości nowego przyjazdu. Ostrożność niezbyteczna ze względu na znajomość dentystki z de Lascala. Tak, wszystko,

zostało dociągnięte do jutrzejszego wyjazdu, który oby tylko się udał!

Gont-Grabowski również gotowy jest do ucieczki. Dzisiaj spotkaliśmy się w biurze majora Ślepowrona-Wróblewskiego. Zarówno major, jak jego olbrzymiego wzrostu pomocnik nazwiskiem Bąk uspokajali nasze zdenerwowanie, twierdząc, że regularne tygodniowe transporty żołnierzy udają się im stale gdyż są w tym ,,zainteresowane'' również władze rumuńskie. Tak więc pozostaje jeszcze ostatnie 24 godziny pobytu w Bukareszcie.

Sobota, 22 czerwca 1940, godzina 10 rano, w pociągu między Bukaresztem a stacją graniczną z Bułgarią Bozargic — Bazarcic.

Stoimy tu już parę godzin na stacji i nie zanosi się jeszcze na szybki odjazd pociągu, wobec wolno wlokących się formalności granicznych. Można więc swobodnie zapisać jak się tu znaleźliśmy. Otóż, rankiem dnia wczorajszego, jeszcze w hotelu ,,Excelsior'' w Bukareszcie, oderwany zostałem od pakowania waliz przez wezwanie do telefonu. Wzywał hrabia de Lascala z hotelu ,,Ambassadeurs''. Mając nieczyste sumienie co do ucieczki z bijącym sercem chwyciłem podaną mi przez portiera słuchawkę.

— Tu generał Składkowski — powiedziałem po francusku.

— Tu Lascala. Panie generale, czy ma pan chwilkę czasu? Przypuszczam, że tak. Czy więc nie mógłbym prosić pana tu do hotelu ,,Ambassadeurs'' na parę słów rozmowy?

— Ależ naturalnie, panie hrabio, zaraz tam przyjadę — odpowiedziałem z trudem ukrywając zaniepokojenie z powodu tej, nic dobrego nie wróżącej interwencji naszego ,,opiekuna''. Jadąc taksówką myślałem gorączkowo o czym przyjdzie mówić. Jeżeli o wyjeździe dzisiejszym po 11-ej wieczorem do Baile Herculane, to będę prosił o przełożenie tego na jutro, by móc uciec tej nocy. Tak rozmyślając odprawiłem taksówkę i wszedłem do hotelu. Lascala siedział już ubrany przy śniadaniu w pokoju na drugim piętrze, umeblowanym porządnie na poziomie warszawskiego ,,Bristolu'', a więc zapewne diablo drogim. Ściskając uprzejmie moją rękę powiedział:

— Przepraszam że pana generała fatygowałem, ale chodzi tu o pańską wygodę. W dzisiejszym pociągu nocnym do Baile Herculane mam zarezerwowany przedział pierwszej klasy. Moglibyśmy więc jechać razem i wyspać się porządnie przez całą noc.

— Panie hrabio, ja niestety mam bilet trzeciej klasy — powiedziałem wymijająco — nie chciałbym pana narażać na przykrości z koleją.

— Ależ, żadnych przykrości być nie może. Poza tym jutro ma pan być w Baile. Niech no pan lepiej przyzna się, czy jedzie pan dzisiejszym nocnym, czy jutrzejszym rannym pociągiem?

Po chwili gorączkowego namysłu powiedziałem wolno:

— Panie hrabio, jest to rzecz dla mnie wciąż niepewna. Prócz leczenia zębów, którego dokonałem dzięki pozwoleniu pana, poznałem tu bardzo zajmującą damę. Jeżeli dzisiaj będziemy mogli jeszcze się widzieć, to pojechałbym jutrzejszym rannym pociągiem, a jeżeli nie, to z radością wykorzystam wielką uprzejmość pana i zgłoszę się dzisiaj na stacji do pociągu idącego po godzinie 11-ej wieczorem do Baile Herculane.

— Jak generał uważa — powiedział Lascala zawiedziony, że nie oceniam jego uprzejmości. — W każdym razie najpóźniej jutro wieczorem oczekujemy pana powrotu do Baile z zupełnie wyleczonymi zębami — dodał żartobliwie na pożegnanie.

Wracałem po tej rozmowie cały spocony z wrażenia do swego hotelu, rozumując, że Lascala mógł po takim dziwnym wykręcie kazać mnie śledzić. Postanowiłem więc opuścić hotel z rzeczami przed godziną 11-ą wieczorem jak na pociąg do Baile Herculane, a potem schować się na stacji w poczekalni trzeciej klasy, aż do mego pociągu, odchodzącego do Bułgarii już po północy. W trzeciej klasie wytworny Lascala pewno szukać mnie nie będzie.

Tymczasem, w godzinach popołudniowych spotkaliśmy się w ambasadzie z ministrem Grabowskim, obecnie Gontem, by uwiadomić *chargé d'affaires* Ponińskiego o naszym wyjeździe w nocy.

— Wszystko to bardzo dobrze, proszę panów — powiedział tonem przyjacielskiej perswazji, ale właściwie pan ambasador nie wie nic o panów wyjeździe. Byłoby więc dobrze, moim zdaniem, gdyby panowie zgłosili się wieczorem, celem oficjalnego zawiadomienia go o tym.

Nie mając innego wyjścia, zastosowaliśmy się do tej rady. Gdy jednak koło siódmej wieczorem zgłosiliśmy się znowu w ambasadzie, pan Poniński wszedł na chwilę do gabinetu ambasadora Raczyńskiego, skąd wyszedł dobrze symulując zmieszanie, rozłożył ręce i oświadczył:

— Pan ambasador niestety jest zajęty i przyjąć panów nie może.

— Dziękujemy! — zawołałem wybiegając bez pożegnania na korytarz. — Ostatnie kopnięcie byłego Składkowskiego! Może obecny Wójcicki będzie bardziej szanowany — rzuciłem do ministra Grabowskiego zbiegając ze schodów. Umówiliśmy się spotkać o północy na stacji kolejowej. W hotelu nie żegnałem się z nikim, by nie wzbudzić podejrzeń. Tylko generał Kuba Krzemieński postanowił odwieźć mnie na dworzec. Wyjechaliśmy przed jedenastą jak na pociąg do Baile, bo Lascala miał na pewno swych szpiegów w hotelu. Na dworcu oddałem swoją walizkę na przechowanie i poszliśmy z Kubą przejść się poza stację kolei, by nie spotkać wyjeżdżającego Lascali. Na brzegu jakiegoś wielkiego ciemnego placu weszliśmy do restauracyjki, gdzie zamówiłem dla nas pół kury na zimno. Okazała się nie-

stety twarda i łykowata, jak teściowa, daliśmy więc jej spokój popijając powoli kwaśne rumuńskie czerwone wino.

— To, nawet nazwisko ci odebrali, biedaku — zapłakał w pewnej chwili nade mną Kuba.

— *Obiit* Składkowski, *natus est* Wójcicki — wpadając w jego ton wygłosiłem płaczliwie. Żebym tylko nie zapomniał o tej metamorfozie, to już będzie dobrze — dodałem weselej na pocieszenie.

Gdy o północy weszliśmy do jadalni klasy trzeciej dworca kolejowego zastaliśmy tam ministra Gonta-Grabowskiego. Odprowadzał go major kawalerii Zaremba. Z ulgą zobaczyłem siedzących w głębi sali majora Ślepowrona-Wróblewskiego i jego pomocnika Bąka. Generał Krzemieński i major Zaremba pożegnali się wnet za radą Ślepowrona, by nie robić tłumu i tumultu. Bąk wyszedł na peron i wkrótce wrócił, zawiadamiając że pociąg już podstawiono. Udaliśmy się do wagonu drugiej klasy, którą mieliśmy jechać do granicy bułgarskiej. Weszliśmy do ciemnego przedziału, gdzie już siedział jakiś młody oficer rumuński. Ślepowron wyjaśnił że okna muszą być pozasłaniane i wyglądać nie wolno ze względu na prace fortyfikacyjne, prowadzone wokół Bukaresztu. Major i Bąk chwilkę jeszcze postali na peronie, rozmawiając z jakimś człowiekiem, który okazał się później przewożącym nas agentem, po czym pociąg ruszył powoli uwożąc w ciemną noc dwie wybitne jednostki: Gont i Wójcicki.

Grabowski miał torebkę z wiśniami, którymi poczęstowaliśmy oficera rumuńskiego, po czym siedząc usnęliśmy, upominając się wzajemnie by pamiętać w razie nagłego przebudzenia nasze nowe nazwiska.

Dziś koło ósmej rano, czyli przed dwiema godzinami dojechaliśmy do tej ubogiej zbudowanej z baraków stacji Bazarcic. Tu miałem niefortunny pomysł powiedzieć otwarcie celnikom rumuńskim, że mam ze sobą trochę pieniędzy w lejach, więcej niż wolno było wywieźć. Nagle wpadli w szał gorliwości, zrobili mi rewizję osobistą i przetrząsnęli moją walizkę. W duchu pochwaliłem się za zniszczenie swych zeszytów, ale i tak myślałem, że wysadzą mnie z pociągu i aresztują. Oni jednak zabrali całą, zresztą niewielką sumę i odeszli w kierunku biura stacji. Czuwał jednak nad tym wszystkim niepozornie ubrany człowiek, który wszczął z nimi pertraktacje na peronie. Po długich targach celnicy wrócili, nakładając na mnie karę, pochłonęła ona połowę mych pieniędzy. Resztę zwrócili, nakazując na przyszłość posłuszeństwo zarządzeniom, poczym wyraźnie zadowoleni odeszli. Wkrótce po nich udzielił mi głosem przyciszonym przyjacielskiego napomnienia, że nie ,,można mówić wszystko'' wiozący nas agent, Żyd polski, który załatwił z celnikami całe to przykre zajście. Gont-Grabowski wyszedł lepiej ode mnie, gdyż siedział cicho i nikt się nad nim nie znęcał. Obecnie po śniadaniu ruszamy za chwilę do Bułgarii już w wagonie trzeciej klasy w towarzystwie nowych nieznanych nam podróżnych. Opuścimy Rumunię w samą porę, bo pewnie nasi opiekunowie zaczęli nas

już szukać, gdy wczoraj nie wyjechaliśmy do Baile Herculane wieczornym pociągiem. Ale na razie nic nam zdaje się, nie grozi.

Swilengrad, graniczna stacja między Bułgarią a Turcją, niedziela 23 czerwca 1940 rok.

Piszę w odstawionym na boczny tor wagonie trzeciej klasy, gdzie za niewielką opłatą pozwolił nam się przespać gruby kolejarz bułgarski. Dobrze iż wkrótce będziemy już mieli Bułgarię za sobą, gdyż ten kraj nie jest wcale neutralny. Ludność wyraźnie stoi po stronie Niemców. Zaraz po przejeździe granicy wagon nasz wypełnili chłopi w strojach narodowych zbliżonych do huculskich. Byli weseli i zaczęli hałaśliwą rozmowę z polskimi żołnierzami w cywilnych ubraniach, którzy jechali z Budapesztu do Warny.

— No, Polacy, przegraliście wojnę — wołali — chodźcie tu do nas, dostaniecie trochę chleba.

Rozłożyli przy tym na czystej płachcie płóciennej wielki pięknie upieczony bochen czarnego chleba. Gdy już podzielili wszystkim po kromce, nagle jeden z nich zawołał do mnie:

— Ej, ty stary Polak, co nie idziesz do nas?! Pocoście się bili, kiedy Niemiec silny? Trzeba było, jak Czesi. Siedziałbyś teraz doma. A tak ty już nie wrócisz boś stary i chleba swojego w domu jeść nie będziesz. To masz tu kawałek naszego, biedaku.

To mówiąc podsuwali mi kromkę czarnego chleba.

— Dane z czystego serca! — powiedział młody przyjemny chłopak, widząc moje wahanie. Wziąłem kromkę chleba, posoliłem, jak wszyscy i jadłem razem, by nie uchybić pierwotnej gościnności Bułgarów. Potem oni zawinęli resztę chleba w płachtę i śpiewali chórem nawołując naszych by im wtórowali. Po paru godzinach wysiedli i Bułgarzy i nasi żołnierze. Inni pasażerowie byli już mniej politycznie nastawieni i w spokoju półsenni mijaliśmy w ciągu nocy stacje: Gorno, Oriechowice, Tirnowa, Stara Zagora, aż wreszcie dojechaliśmy tutaj do Swilengradu. Stacja i okolica wygląda jak nasze podgórskie strony. Tylko mdły zapach sąsiednich pól różanych przypomina że to nie nasze Podkarpacie. Byliśmy z Gontem straszliwie pomęczeni, gdyż od rana panuje tu wielki upał. Naprzód chcieliśmy spać na ławce przy stacji, ale spędził nas kolejarz i pozwolił po otrzymaniu napiwku przespać się w tym starym wagonie. Teraz trzeba już wstawać, gdyż zbliża się czas odejścia pociągu do Istanbulu. Z trudem wkładamy buciki na spuchnięte nogi przed wyjściem na peron stacyjny.

Poniedziałek, 24 czerwca 1940, godz. 8 rano w pociągu tureckim, idącym do Istanbulu.

O godzinie trzeciej nad ranem wjechaliśmy wreszcie do Turcji. Tutejsi celnicy i policjanci wyćwiczeni widocznie na wzór

niemiecki, postępują grzecznie, lecz ostro. Zabrali nam od razu paszporty, nie mówiąc zupełnie, kiedy je zwrócą. Mimo wczesnego ranka panuje okropny upał. Spałem trochę na walizkach, a właściwie na podłodze wagonu. Gont-Grabowski i sierżant polski Bajkin prowadzący transport dwunastu żołnierzy śpią siedząc na ławce. Nogi mamy wszyscy opuchnięte i cierpimy straszliwe pragnienie. Niestety na małych stacyjkach nie ma zupełnie wody do picia. Wreszcie widzimy morze!

Potem stara dzielnica Istanbulu z meczetami obstawionymi igłami minaretów. Już wjeżdżamy na dużą stację kolei z długimi bocznicami torów. Pociąg co chwila gwiżdże i zwalnia biegu. To już Istanbul. Dojechaliśmy szczęśliwie do stolicy neutralnej Turcji. Stąd jeden już krok tylko do Syrii, Francuzów i wojska polskiego.

(*Ciąg dalszy — nr. 6/152 ,,Kultury'' pt. ,,Internowanie w Turcji''*).

SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI

Janusz Iliński

Każda epoka ma takich Beniowskich, na jakich zasługuje. Mają oni swe miejsce w historii anegdotycznej, *la petite histoire*, dodają barw i kolorytu obrazowi przeszłości, i — choć nie sposób im stawiać pomniki — zasługują bardziej od pracowitych molów, przyczynkarzy, biurokratów i pedantów na wzmiankę pośmiertną, na wiązankę kwiatów na mogiłach.

Jak bohater Słowackiego, Iliński pochodził z kresów ukrainnych, ale nietyle rodzimy Wołyń wycisnął na nim piętno, co lata szkolne w Petersburgu, a później służba wojskowa w petersburskiej gwardii. Na kresach wschodnich były liczne rodziny, które miały te same nazwiska co rody historyczne, lub możne, ale żadnego pokrewieństwa nie można było się doszukać między szlachtą, noszącą przypadkowo to samo nazwisko, a magnatami czy możnowładcami, którzy je ongi nosili. Nazwisko Chodkiewiczów nasuwa się tu w pierwszym rzędzie. Takoż byli w 19-ym wieku hrabiowie Ilińscy-Kaszowscy, — w XX wieku już wymarli. Nigdy nie mieli znaczenia i pozycji Chodkiewiczów, ale Ilińscy, z których wywodził się Janusz, zwyczajna szlachta wołyńska, skorzystali z tego, by się podciągnąć o oczko wyżej, zaimprowizować tytuł hrabiowski, który się im nie należał, udawać po trochu arystokratów. Udało się to tym łatwiej, że któraś z carskich żon morganatycznych

otrzymała tytuł księżnej Ilińskiej: i to jeszcze zwiększyło posmaczek arystokratyczny tego nazwiska.

Janusz Iliński był przede wszystkim *un homme du monde*. Był człowiekiem bardzo gładkim, bardzo obytym, bardzo otrzaskanym. Był bardzo przystojny, i miał kolosalne powodzenie u kobiet, od wielkich księżniczek do perypatetyczek: i te sukcesy na pewno ułatwiły mu rozległe kontakty, z których słynął. Ale poza tym miał on wrodzony, naturalny i nadzwyczajny dar nawiązywania stosunków z ludźmi: czuł się dobrze i swobodnie w każdym towarzystwie, wśród największych snobów, i wśród bohemy, w sztywnych kołach urzędniczych i wojskowych i wśród żydowskich aferzystów, na wyglansowanej posadzce ambasad i wielkich salonów, i w podejrzanych knajpach, na bibkach i na libacjach w najmniej wybrednych towarzystwach. W głębi duszy, Iliński pozostał jednak *un homme du monde*, i choć nigdy się nie ograniczał do jednego kółka, do jednej sfery, wiedział on instynktownie, kto jest *Salonfaehig*, a kto nie, i ten podział był jednak dla niego do końca życia najbardziej zasadniczy. Nawet pijany, miał doskonałe formy towarzyskie, i gaffy pod tym względem nigdy nie popełniał. Tak samo instynktownie wiedział, kto do kogo pasuje, i znowuż jego cocktaile towarzyskie nigdy nie raziły: umiał swych znajomych szufladkować. Dostępny, towarzyski, zawsze pamiętający o tym, iż najgłupsi i najskromniejsi ludzie mogą się na coś przydać, Iliński umiał też zręcznie rozluźniać stosunki ze znajomymi i nawet przyjaciółmi, którzy mogli być *génant* towarzysko czy politycznie lub zaszkodzić innym jego, w danej chwili bardziej owocującym kontaktom. Zapamiętały kobieciarz, musiał wiele *liaisons* likwidować: i może właśnie ta alkowiana przeszłość (kto wie zresztą, czy nie pozostała aktualna do ostatniego dnia jego życia?) dała mu tę kocią aksamitność, ten niezrównany *doigté* w operowaniu ludźmi. To nie był głęboki umysł, ale była to wielka, niebywała zręczność w obcowaniu z ludźmi. Zręczność zawsze rzadka, a u Polaków szczególnie — albowiem nienawidzimy się na ogół na wzajem, doszukujemy się u wszystkich wad, lubimy podkreślać różnice w poglądach, wreszcie nie umiemy ukrywać naszych uczuć. Ilińskiemu natomiast opanowanie uczuć przychodziło tym łatwiej, że miał ich mało: z instynktu nie chciał robić nikomu przykrości, ale miał to szczęśliwe usposobienie, iż łatwo zapominał, żył tylko chwilą bieżącą, nigdy wspomnieniami czy tęsknotami. Byłem świadkiem, jak żegnał się z żoną przed wybuchem wojny w Londynie, gdy ta się zapłakiwała; najczulej ją pocieszał, gdy tylko ją jednak wsadził na statek, już był znowu w najlepszym humorze, jakby całej tej dramatycznej sceny rozstania nigdy nie było.

Iliński był dzielnym oficerem rosyjskim, i dosłużył się Georgiewskiego Kresta, potem był dzielnym oficerem polskim, i dostał Virtuti Militari, ale nie miał ani zainteresowań, ani wiedzy wojskowej, był typem adiutanta, *attaché* wojskowego, dyplomaty, nie zawodowego oficera. Zawsze wyglądał lepiej po cy-

wilnemu, niż w mundurze, i czuł się też lepiej. Był adiutantem Rozwadowskiego, nominację na zastępcę *attaché* wojskowego w Paryżu zawdzięczał Sikorskiemu, potem jakoś potrafił się dogadać z sanacyjnymi pułkownikami, i na pogrzebie Focha on niósł przed jego lawetą poduszkę z polską buławą marszałkowską. Opuścił Paryż tylko z powodu długów i kobiet, i od 1929 roku pozostał w Ameryce: ale mam wrażenie, że do wybuchu wojny pozostawał w jakimś tajnym stosunku służbowym z dwójką, i prowadził w Nowym Jorku jakieś agendy pół-wojskowe. W każdym razie reintegracja Ilińskiego do wojska polskiego w dawnej randze majora, później pułkownika odbyła się latem 1939 roku bez najmniejszych trudności, automatycznie, i już 5-go września wysłano go z Wilna samolotem do Londynu, jako anioła-stróża i mentora gen. Norwid-Neugebauera, szefa misji wojskowej w Anglii, która miała wysyłać sprzęt wojskowy do Polski. Potem równie zgrabnie pokumał się Iliński z Rettingerem, i przez niego wkręcił się w łaski Sikorskiego. Nie gardził przy tym żadnymi środkami. Ale prywatnie, Iliński odnosił się chłodno, nawet krytycznie do wszystkich tych kolejnych wodzów i zbawców. Raz jeden tylko zanotowałem w jego rozmowie jakieś cieplejsze, szczersze akcenty: gdy mówił o Sosnkowskim. I znowuż miałem wrażenie, że w oczach Ilińskiego Sosnkowski miał jedną najwyższą dla niego zaletę: był naprawdę *Salonfaehig*.

Po tej jakże długiej karierze *quasi*-wojskowo-dyplomatycznej (która bodaj że trwała w jego wypadku, podobnie jak kariera uwodziciela, do końca życia) Iliński osiedlił się na dobre w Ameryce, i tam zrobił, jak na Polaka, wcale duże pieniądze. Wkrótce po wojnie chciałem przez krótką chwilę emigrować do Ameryki, i napisałem do Ilińskiego z prośbą, by był moim gwarantem, sponsorem, jak się to w żargonie technicznym mówi. Iliński był bardzo uczynny: już w dwa tygodnie potem przysłał mi żądany *affidavit*, w którym, zgodnie z ustawodawstwem amerykańskim, gwarant musi wyliczyć swoje ziemskie posiadłości. Pamiętam, że już wówczas tych aktywów w rachunkach bankowych, polisach ubezpieczenia na życie, akcjach, nieruchomościach było dużo.

Powiem jeszcze, że byłem jednym z bardzo niewielu znajomych Ilińskiego, znającym obie kobiety, które może odegrały największą rolę w jego życiu, mimo tylu amorów: jego matkę, i jego żonę. Matkę trzymał on w Polsce w Nałęczowie, gdzie kupił dla niej willę; bardzo rzadko ją odwiedzał, ale był zawsze dobrym synem. Nikomu nigdy o nie nie opowiadał, mało kto wiedział o jej istnieniu. Ojciec jego zmarł dawno przed pierwszą wojną. W latach 1939-45 Iliński w jakiś sposób sprowadził matkę z Nałęczowa do Anglii i osadził ją w Dorset, znowuż nikt prawie o tym nie wiedział. Kiedyś, koło roku 1950, wyjeżdżając z Londynu do Stanów, zachrząknął się, i nagle mnie poprosił, bym odwiedził jego matkę, ciężko chorą na raka, w którymś z londyńskich szpitali. Wówczas dopiero dowiedziałem się o jej istnieniu. Naturalnie zaraz po wyjeździe Ilińskiego,

udałem się do niej. Zastałem starszą panią w łóżku, ale całą w różowych koronkach, czyściutką, jeszcze piękną, choć wymizerowaną, jakby jeszcze zalotną i bardzo osiemnastowieczną. Zdumiało mnie, jak młodo i pięknie wyglądała. Była *très femme du monde*. Mówiła, tak jak i jej syn, z jakimś niewątpliwym akcentem petersburskim, z pewnymi nawet rusycyzmami, ale nie rażącymi. W dwa tygodnie później już nie żyła.

Jego mariaż z Firą Benenson był zaaranżowany przez Wielka księżnę Marię Pawłowną. Maria Pawłowna była wnuczka Aleksandra II, wyszła przed pierwszą wojną za mąż za księcia Sudermalandzkiego, syna króla szwedzkiego, rozwiodła się i wróciła do panieńskiego tytułu. Była grubo starsza od Ilińskiego, nazywała go zawsze ,,Januszka''. Ona go zapoznała z późniejszą żoną i zbaklowała ten mariaż. Państwo Ilińscy przeważnie nie mieszkali razem, rozstawali się nieraz na lata, jak np. w czasie wojny, ale byli na swój oryginalny sposób dobrym małżeństwem. Ona zapłakiwała się na jego pogrzebie. Rozmawiali z sobą po rosyjsku. Gdy panna Benenson wychodziła za mąż za Ilińskiego, była bardzo bogata, wkrótce potem jej ojciec, który swego czasu miał koncesję ,,Lena Goldfields'' od bolszewików, zbańczył. Pięknie świadczy o Ilińskim, że w niczym to stosunku jego do żony nie zmieniło. I mam wrażenie, że na swój sposób ten człowiek o skomplikowanym życiu uczuciowym był do niej bardzo przywiązany. W zamęcie ludzi i przeżyć stała się dla niego jakimś punktem stałym, takim jakim musiała być dawniej dla niego matka w Nałęczowie. W ogóle trzeba by Prousta, by skreślić prawdziwą sylwetkę Ilińskiego. Trudno o człowieka bardziej odległego od ideału zupaka, choć z zupakami potrafił być bezgranicznie cierpliwy. Pod pozorami *bon-vivant, contactman*'a, światowca krył się inny człowiek, głębszy, ciekawszy, człowiek bardzo zdolny, bardzo bystry, który może miał nawet chwilami poczucie, że zdolności niepospolitych nie wyzyskał, że je zmarnował.

Iliński bowiem nigdy nie wyszedł poza ramy *contactman*'a. Odrodzona Polska potrzebowała tych kontaktów bardziej, niż inne kraje. Język odgradza od zagranicy naszych pisarzy, dziennikarzy, publicystów, profesorów, uczonych, odgradza też lwią część naszych polityków i działaczy. Stąd stosunki, naturalne i niemal automatyczne dla Francuza i Anglika, Włocha i Niemca, czy Belga lub Austriaka, są zawrotnym problemem dla Polaka. Polska odziedziczyła z czasów rozbiorów dwa typy kontaktów: sfer arystokratycznych, które, niestety dla Polski, straciły prawie wszelkie walory polityczne po 1918 roku, albowiem mapa arystokratyczna Europy, tak ważna, tak wypisana w świadomości wszystkich dyplomatów jeszcze w 1914 roku, zaczęła zanikać i do kontaktów żydowskich, które są nieraz z konieczności krzywym zwierciadłem: Żydzi mają własne cele, własne animozje i sympatie, i te, jakżeż często, przy temperamencie tak żywym, nawet histerycznym, przesłaniają nawet najbardziej utalentowanym Żydom spokojne i trzeźwe spojrzenie

na rzeczywistość. Nowa Polska musiała szukać tych nowych kontaktów na wszystkich polach, a zdatnego elementu poza arystokracją i Żydami było do tego zadania mało. Brakło nam najważniejszego łącznika ze światem współczesnym: businessmana. Dzisiaj mapa wielkiego kapitału zastąpiła dawną mapę arystokratyczną zachodniej Europy.

Także i wojsko musiało szukać tych nowych kontaktów i powiązań. Potrzeba była duża, powołanych niezmiernie mało. Iliński miał maniery, obycie, znajomość języków, obrotność, które go predystynowały do tej roli. Gdyby był człowiekiem o twardszym charakterze, o większym *Sitzfleischu*'u, a przede wszystkim o większej ambicji, byłby nierównie dalej zajechał. Właśnie ambicji mu najbardziej brakowało. Miał coś z mentalności ludzi, którzy wyżej stawiają pozycję towarzyską od urzędowej. Nudziło go karierowiczostwo, które widział dookoła siebie. Może miał charakter za miękki, by robić łokciami. Może był zanadto leniwy, zanadto cyniczny. Ale nigdy nie spróbował serio wyjść poza kulisy.

Dyplomacja jest nazwą błędną i ogólnikową, bo pod tą ogólną klasyfikacją kryją się działalności absolutnie różne, i właściwie sprzeczne. Dyplomacja — to polityka zagraniczna, która wymaga talentów zupełnie specjalnych, nic wspólnego z innymi czynnościami ambasadorów nie mających. To jest treść państwa, jako takiego, i polityką zagraniczną powinni się zajmować tylko ci, którzy mają jasny obraz rozwoju wewnętrznego, gospodarczego, kulturalnego, socjalnego, do którego dążą. Dyplomatą jest negocjator, który z kolei musi mieć specjalne talenty, znowuż odmiennego kalibru. Dyplomatą jest informator: w tej roli dziennikarze z powodzeniem zastąpili dyplomatów. Dyplomatą jest sprawozdawca: znowuż ta działalność wymaga specyficznych walorów umiaru, osądu i stylu. Dyplomatą jest *contactman*, człowiek, który nawiązuje kontakty, i znowuż w tej dziedzinie trzeba talentów bardzo specjalnych i bardzo odrębnych. Wreszcie jest propagandzista: ten jest zawsze najgorszym, a często i najszkodliwszym dyplomatą. Jest to bowiem *ex-definitione* człowiek, który nie słucha a gada. Takiego nigdy w służbie zagranicznej nie trzeba. Jeżeli propagandzista, jak Dulles, dochodzi do głosu decydującego, można być pewnym, iż polityka zagraniczna danego kraju stanie się „pustosłowiem”, stanie się splotem pobożnych życzeń, weźmie własne urojenia za rzeczywistość, własny hałas za działalność. Nie wykluczam, że w ostatecznej analizie, gdy okaże się, że za pogróżkami Chruszczowa w sprawie Berlina stoi teraz nie więcej, niż w ciągu ostatnich trzech lat, i on okaże się tylko propagandzistą. Odwrotnością Dullesa.

Iliński był tylko *contactman*'em. Nigdy jego ambicje nie sięgnęły dalej. A mógł być przynajmniej informatorem. Miał dużo wyczucia, miał dobrego nosa, miał pogląd nieraz trzeźwy i pozbawiony romantyzmu. Ale nie umiał walczyć o swe zdanie. Przez wygodnictwo milczał czy nawet udawał, że się zgadza,

gdy tylko natrafiał na odmienną opinię. Stąd jego informacja nawet gdy była słuszna, pozbawiona była ciężaru gatunkowego.

Ilińskiego nieraz porównywano z Romanem Michałowskim i Aleksandrem Mohlem, którzy też byli specjalistami od kontaktów naszego dawnego MSZ-etu. Michałowskiego znam tak mało, że nie mam o nim zdania. Mohla znałem dobrze, i uważam, że nie dorastał nawet do pięty Ilińskiemu: był to bawidamek, człowiek bez zdania, bohater od stołka w barze u Ritza, zupełna nicość umysłowa, którego zdanie było zawsze błędne, jeżeli nie infantylne; a jego stosunki ograniczały się do nocnych lokali i niebieskich ptaków. Miał wspólny z Ilińskim petersburski akcent, i petersburski fason, ale na tym te analogie się kończyły.

Natomiast dużo bardziej pouczające byłoby porównanie Ilińskiego i Rettingera. Obaj ze sobą dość blisko współpracowali u boku Sikorskiego, obaj byli bardzo różni. Iliński nieprawdopodobnie górował nad Rettingerem *charme*'m, manierami, znajomością języków, urodą, obyciem: Rettinger był brzydki, opryskliwy, nieuczynny, gburowaty, antypatyczny, mówił po angielsku haniebnie, a po francusku właściwie wcale. Ale Rettinger był człowiekiem namiętności, nienawiści, był człowiekiem walki, a Iliński był sybarytą. Ludzie pasywni są za życia lubiani i cenieni ponad zasługi i miarę, bo są wygodni, ale po śmierci okazuje się zawsze, że prawdziwe znaczenie mają tylko ludzie o silnych namiętnościach, oni jedni wyżłabiają jakiś trwalszy ślad. Iliński był nierównie szlachetniejszym człowiekiem od Rettingera, był dużo inteligentniejszy, był lepszym Polakiem, ale ślizgał się po życiu, pływał, łyżwował, i po jego zakosach i misternych figurach na lodzie nikt nie odnajdzie śladu ani nawet o nich pamięci.

W.A. ZBYSZEWSKI

Jules Laroche

W lipcu 1961 roku zmarł w Dinard Jules Laroche w wieku lat 89. Śmierć tego starca, który pono chorował szereg lat, nie wywołała we Francji większego wrażenia. Laroche nie odegrał nigdy pierwszorzędnej roli, był zawsze subalternem. Zaczął karierę na Quai d'Orsay jeszcze w ubiegłym wieku: jako młodzik był *attaché* ambasady francuskiej na placówce, wówczas bodaj że najbardziej romantycznej w całej służbie zagranicznej — w Konstantynopolu; tam poznał swoją żonę, i tam obracał się w sferach, które miały dostarczyć tła do znanej powieści Claude

Farrère'a „l'Homme qui assassina". Później Laroche był sekretarzem ambasady francuskiej w Rzymie, przy wielkim Camille Barrère, przy tym wielkim masonie, wielkim potomku terrorysty Konwencji, i wielkim bardzo ambasadorze, który w ciągu 22 lat prawie że współrządził Italią. Była to dobra szkoła, była to wielka szkoła. Wytrawnego radcę Poincaré zrobił dyrektorem politycznym na Quai, (po Perrettim della Rocca), w czasach gdy dyrektor polityczny nie był tylko urzędnikiem, tylko wykonawcą, ale w epoce, gdy był tak zwaną *cheville ouvrière,* współtwórcą polityki. Toteż gdy, przed przewrotem majowym, Laroche został pierwszym ambasadorem francuskim (i pierwszym ambasadorem w ogóle)) w Warszawie, radość była wielka na ul. Wierzbowej: w jego desygnacji pałac Bruehlowski upatrywał nie bez racji gest Francji, zmierzający do uznania znaczenia i roli Polski w systemie aliansów francuskich w Europie: dyrektora politycznego nie wysyłało się wówczas na podrzędne placówki. W przeciwieństwie do Panafieu, który chętnie przybierał pozy prokonsula, Laroche był powitany przyjaźnie i z jego przybyciem wiązano wielkie nadzieje.

I nie bez kozery. Dzisiaj, po tylu latach, kiedy wszystkie rachuby i nadzieje ówczesnych lat leżą w ruinach, możemy uczciwie stwierdzić, że Laroche zrobił duży i szczery wysiłek, by wnieść atmosferę ciepła, serdeczności i zaufania w stosunki polsko-francuskie, w szczególności, by „sprzedać" Piłsudskiego Francji, to znaczy, by złagodzić uprzedzenia, podejrzenia rządu francuskiego, i jeszcze bardziej francuskiego MSZ-etu, Quai d'Orsay, w stosunku do samego Piłsudskiego. Nie bardzo mu się to udało, co doprowadziło do pretensji polskich pod jego adresem, i do straty przez niego samego kredytu na Quai d'Orsay. Do tego doszły kwasy i antagonizmy osobiste, gdy na Quai wszechmocnym stał się nowy (od 1930 r.) sekretarz generalny, Alexis Léger, fatalny dyplomata, wielki natomiast, nawet genialny poeta. Powoli stało się wiadome, że Laroche nie ma ucha w Paryżu, że jego raporty i szyfry są tam ledwo czytane i bagatelizowane, że informacje o Polsce Paryż woli czerpać z innych źródeł, mniej może od Sikorskiego, jak to Warszawa podejrzewała, ile od Muhlsteina, i od innych, którzy w tym *twilight* dyplomatycznym, w tym schyłkowym okresie upadku i rozkładu świata zachodniego działali za kulisami i na peryferiach dyplomacji, życia towarzyskiego i masonerii. Co jest wart ambasador, który nie ma zaufania i posłuchu własnego rządu? Można być najbardziej krytycznie usposobionym wobec dyplomacji Becka, której metody, dwutorowość dostarczają aż zbyt wielu powodów do najostrzejszej krytyki, ale trudno się dziwić ministrowi, który nie przywiązuje znaczenia do rozmów, gdy ma podstawy sądzić, iż te nie trafiają dalej, niż do akredytowanego przy nim ambasadora: ostatecznie rozmowy dyplomatyczne mają być dialogiem rządów, a nie pogawędką osobistą z miłym panem we fraku dyplomatycznym. W tych warunkach odwołanie Laroche'a, zastąpienie go Noëlem, było nie tylko

na czasie, było grubo spóźnione. Noël był mniej propolsko usposobiony, niż Laroche, był też może osobiście człowiekiem bardziej kanciastym, bardziej brutalnym, może też Polskę i Polaków mniej znał, mniej rozumiał, mniej lubił: ale miał on znacznie większy autorytet wobec własnego rządu, a poza tym on pierwszy zrobił pewien wysiłek, zresztą niedostateczny, jak wykazał przebieg wypadków, by przemyśleć do końca stosunki polsko-francuskie, na co Laroche, bardziej konwencjolny, bardziej tradycyjny, bardziej konformistyczny nigdy się nie zdobył. Odejście Laroche'a, tak samo jak odejście Chłapowskiego (człowieka o tyle mniejszego kalibru, charakteru i serca od Laroche'a) było koniecznością, albowiem ten polonofil i ten frankofil przesłaniali treść stosunków polsko-francuskich: a tą treścią było przeświadczenie kierowników polityki francuskiej, w pierwszym rzędzie Légera, że Francja musi wyskoczyć z zobowiązań wschodnich, których nie miała możności, sił i interesu bronić, i przeświadczenia Becka, iż alians z Francją nie daje Polsce żadnych gwarancji bezpieczeństwa. W dyplomacji stan euforii jest zawsze jeszcze bardziej niebezpieczny, niż otwarta wrogość. Nawiasem mówiąc, jeszcze bardziej niebezpieczny jest stan euforii, wmawiany w emigrację polską przez „Dziennik Polski", który chce w nas wmówić, iż w Wielkiej Brytanii posiadamy dzisiaj alianta, omalże gwaranta. Tak nie jest, i trzeba to społeczeństwu polskiemu brutalnie i kategorycznie powiedzieć. Podobnie jak Francja lat trzydziestych, tak samo i dzisiaj Anglia lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nie może i nie ma najmniejszego zamiaru niczego, nikogo i żadnych granic we wschodniej Europie gwarantować. Nie można o to mieć pretensji, ani żalów, tak samo jak nie możemy o to mieć analogicznych pretensji za lata trzydzieste do Laroche'a, do Légera, do kolejnych francuskich ministrów: każdy naród, każdy minister, każde MSZ ma przede wszystkim obowiązki wobec własnego narodu, musi sam dla siebie stwierdzić, jak dalece jego realne możliwości sięgają, z jaką chwilą jego czeki stają się czekami bez pokrycia.

Po wyjeździe z Warszawy Laroche był już faktycznie emerytem. Ta emerytura nazywała się przez kilka lat, dla niepoznaki ambasadą w Brukseli. Ale to były pozory. Aktywna rola Laroche'a była skończona.

Wielu Polaków mówiło i myślało źle o Laroche'u. Była to gruba niesprawiedliwość, nawet niewdzięczność. Był to jeden z bardzo niewielu Francuzów, ba, z bardzo niewielu Zachodnich Europejczyków, którzy mieli dla Polski, dla Warszawy, dla Polaków prawdziwy i niekłamany sentyment, sentyment, który zresztą stał się również udziałem jego córek i zięciów, i który się nawet udzielił całemu szeregowi jego współpracowników, z których wielu zajmowało czy zajmuje wybitne stanowiska w dyplomacji francuskiej. Laroche kochał Polskę, naprawdę zasługiwał na miano „przyjaciela Polski". Był bliski akceptowania polskiej tezy (tak samo zresztą, jak jego przyjaciel, prezydent Albert Lebrun), że świat, a więc i Francja powinny uznać, iż

są Dwaj Wrogowie ludzkości, Rosja i Niemcy, a więc że z obu trzeba toczyć wojnę. Niestety, reszta Francji, jak i reszta świata wytrwała i trwa nadal przy błędnym wyobrażeniu, iż kiedy się jest źle z Niemcami trzeba mieć alians z Rosją, a kiedy się jest źle z Rosją trzeba mieć alians z Niemcami. Laroche nie przekonał Quai, i nie przekonał kierowników nawy francuskiej, ani przed wojną, ani po wojnie, że teza polska o jednoczesnym narażaniu się i walce i z Rosją, i z Niemcami jest szczytem mądrości politycznej. Jak dotąd, o genialności tej tezy i tej polityki nie przekonaliśmy nikogo na świecie, poza naszymi własnymi biednymi kmiotkami. Więc nie miejmy o to żalu do Laroche'a. Daj Bóg, by Polska miała kiedyś znowu w Warszawie ambasadora Francji, który by tak serdecznie ją kochał i tyle włożył serca i wysiłku, by jej — w miarę sił i możności — pomagać.

Książki

W szufladzie autora „Il Gattopardo"

W szufladzie autora *Il Gattopardo,* księcia Tomasi di Lampedusa, znaleziono (prócz ogłoszonego przed dwoma laty w miesięczniku *Paragone* świetnego szkicu o Stendhalu) trzy opowiadania i krótkie wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Powstał z tego niewielki tomik zatytułowany *Racconti* (1). Zebrane w nim drobiazgi pochodzą, jak *Il Gattopardo,* z okresu 1955-57 dwóch przedśmiertnych lat urodzaju w życiu arystokraty sycylijskiego, który literaturę kochał miłością cichą i jakby wstydliwą, i przez ćwierć wieku pisał tylko w myślach nie odważając się piórem tknąć papieru. I podobnie jak nad *Il Gattopardo,* nad ostatnią książeczką księcia odczuwa się ile wyznania czysto osobistego tkwiło w jego charakterystyce autora *Pustelni Parmeńskiej:*

,,Stendhal smakował ciągle na nowo, przeżuwał długo własne doświadczenie życia, własne upodobania, niezliczone anegdoty, które mu opowiadano i na które był wyjątkowo łasy; ale smakując je na nowo, poddawał je krytyce psychologicznej i estetycznej zawsze w sensie eliminacji; w pewnej chwili zostawało mu tylko to co istotne i już sformułowane w słowach istotnych. Siadał do stołu i musiał, że tak powiem, przepisać jedynie z własnej pamięci przemienionej na powrót w doznanie swoją książkę. Była to kwestia kilku dni. I tekst wyłaniał się swobodny, gwałtowny, improwizowany, chociaż był owocem długiego i drobiazgowego opracowania dokonanego jednak nie na papierze, na którym nie można przeprowadzać innych opracowań poza słownymi, lecz w wysokiej temperaturze uczuć i wrażeń, z niezawodnym instynktem, który nadaje klarowność myślom zanim je formułujemy (zamącają się one potem, w czasie pisania)".

Z wyjątkiem błahej scenki palermitańskiej *La gioia e la legge* (*Radość i prawo*), do której sam autor nie przywiązywał zapewne większej wagi, jest to tomik o wysokiej wartości lite-

---

(1) Giuseppe Tomasi di Lampedusa. *Racconti. Mediolan, Feltrinelli.* 1961. Str. 162.

rackiej. Otwiera go dwudziestostronicowy *Poranek połownika* (*Il mattino di un mezzadro*), według wszelkiego prawdopodobieństwa początek drugiego tomu *Il Gattopardo*. Rzecz dzieje się w pierwszych latach obecnego stulecia, czyli mniej więcej w czasie gdy wypchany pies Bendico z epilogu powieści odbywał swą ostatnią podróż z okna na śmietnik. Akcja toczy się znowu między Palermo a latyfundiami w głębi wyspy. Epizodycznie, w opisie dyskusji w klubie ziemiańskim w Palermo, pojawia się książe Fabrizietto Salina, wnuk niezapomnianego *principone* z *Il Gattopardo;* jego plenipotent Ferrara, który udaje się po odbiór pieniędzy za ziemię sprzedaną nuworiszowi chłopskiemu Don Batassano Ibba, jest synem nadwornego buchaltera wielkiego księcia. Parę kresek wystarcza autorowi by zarysować zmienioną sytuację społeczną po obrocie dwóch pokoleń w rodzie Salina: wspinaczka zapoczątkowana przez *Risorgimento* obejmuje już nie dorobkiewiczów małomieszczańskich, lecz chłopskich — nieporównanie bardziej chciwych i bezwzględnych niż ich poprzednicy; arystokracja sycylijska znajduje się w stanie pełnej dekadencji i postępowego paraliżu umysłowego — *principone* nie wytrzymałby nawet dziesięciu minut w towarzystwie bęcwałów, wygrzewających fotele w klubie palermitańskim. Temat rozkładu i schyłku — ulubiony temat księcia Tomasi di Lampedusa! — wróciłby więc z pewnością w drugim tomie jeszcze mocniej zaakcentowany. Od wdowy po pisarzu wiemy, że ten projektowany dalszy ciąg *Il Gattopardo* miał się nazywać *I gattini ciechi* (*Ślepe kocięta*), i nie trudno jest odgadnąć o kogo w tym tytule chodziło. Zimna i wyrachowana drapieżność Ibbów, nowych gwiazd na firmamencie historycznym i socjalnym Sycylii, nie mieści się w czułym mimo wszystko pojęciu ,,ślepych kociąt''. Można się domyślać że nuta delikatnej melancholii w obliczu tego co nieuchronnie mija i bezpowrotnie umiera, nuta która była źródłem szczególnego uroku *Il Gattopardo,* zabrzmiałaby w drugim tomie jak ostateczne podzwonne. W *Poranku połownika* słyszy się tylko jej słaby dźwięk wydany przez ledwie trąconą strunę. Nuta melancholii, a nie nostalgii: Tomasi di Lampedusa patrzył na swój ginący świat sycylijski jak na dopełniany los, którego nic nie zdoła powstrzymać. Może żałował, ale nie opłakiwał; ewokował, ale nie przyzywał na próżno. Jedno zdanie, jak wyjęte z traktatu socjologicznego, ustawia sprawę we właściwej perspektywie: ,,Były to tragiczne drgawki klasy która widziała własny umykający prymat obszarniczy, własną niknącą rację bytu i ciągłość społeczną, i w wybiegach przesady, w sztucznym pomniejszaniu faktów, szukała ujścia dla swego gniewu, ulgi dla swego strachu''.

Dłuższe opowiadanie *Lighea* może budzić wątpliwości swoim pomysłem zanadto ,,książkowym'', nienaturalnym. Dla mnie osobiście jest to pomysł pełen wdzięku i poezji. Stary profesor i senator Rosario La Ciura, z pochodzenia Sycylijczyk i znakomity grecysta dojutrkujący na emeryturze w Turynie, opowiada przygodnemu znajomemu o jedynej miłości swego życia. Był wów-

czas młodym człowiekiem, świeżo upieczonym docentem, i w pustym domku nadmorskim na wschodnim wybrzeżu Sycylii przygotowywał się do egzaminu który miał mu zapewnić katedrę. O świcie pewnego dnia sierpniowego, gdy otoczony pustką i ciszą wczytywał się w łódce w jakiś grecki tekst, z fal morskich wynurzyła się Syrena. Była jego kochanką przez trzy tygodnie i nauczyła go czym jest prawddziwa miłość. Wracając na dno morza, wezwała go by o niej pamiętał jeśli życie wśród śmiertelnych stanie się dlań nie do zniesienia. Odtąd profesor La Ciura odczuwał dla ziemskiej miłości bezgraniczną pogardę. Nigdy się nie ożenił, nigdy nie szukał przelotnych miłostek. Zbliżał się wolno do śmierci wspominając ciągle Lígheę — samotny, wyniosły, zamknięty, opryskliwy dla otoczenia, przywiązany tylko do swych książek i snów. Pod koniec opowiadania dowiadujemy się z depeszy prasowej, że w drodze na kongres międzynarodowy w Południowej Ameryce ,,spadł'' do morza z pokładu transatlantyku między Genuą a Neapolem. (Ten pomysł przypomina trochę *Gradivę* Wilhelma Jensena, o której Freud napisał pierwszą i dość śmieszną wprawkę ,,na materiale literatury'' z zakresu seksualnej interpretacji snów i majaczeń. Łatwo sobie wystawić co twórca psychoanalizy powiedziałby o opowiadaniu autora sycylijskiego!).

Cały swój urok zawdzięcza *Lighea* ostrożności w traktowaniu elementu nierealnego. Przywidzenie, urojenie podnieconej wyobraźni, egzaltacja poetycka w miejscu (wybrzeże koło Augusty!) gdzie mitologia zdaje się żyć naprawdę w powietrzu i niebie zlewającym się z morzem w magiczną muszlę, która oczom gotowa jest odsłonić wszystko co zechcą zobaczyć? Są to tylko aluzje, i w pewnym sensie aluzje bez większego znaczenia. Stopniowo, krok po kroku, opowiadanie przenosi się w wymiar symboliczny. Nie jest ważne czy młody uczony padł przed kilkudziesięciu laty, w gorączce ciała spalonego słońcem Południa i w gorączce myśli błąkających się na stronicach tekstów greckich, ofiarą majaku. Ważne jest że w ciągu następnych kilkudziesięciu lat ten sycylijski majak stał się dlań samą istotą Miłości, broniącej się przeciw widmom Śmierci i Nicości. W szczególny, tajemny sposób profesor La Ciura jest dalekim krewnym starego księcia Fabrizio z *Il Gattopardo*, uciekającego od rzeczywistości do gwiazd w wieżyczce swego obserwatorium astronomicznego. Obaj noszą za skórą cierń sycylijskiej obsesji śmierci. Obaj, każdy inaczej, znają pokusę rozpaczliwej i daremnej tęsknoty do nieśmiertelności.

I luoghi della mia prima infanzia (*Miejsca mojego wczesnego dzieciństwa*) były pierwszą próbą pisarską autora *Il Gattopardo*, podjętą na parę miesięcy przed rozpoczęciem powieści. Miały służyć czysto prywatnej potrzebie utrwalenia w pamięci własnej i w pamięci najbliższej rodziny dwóch zniszczonych domów książąt Tomasi di Lampedusa: pałacu w Palermo i willi w Santa Margherita (czytelnik powieści rozpozna w tej willi Donnafugatę, labirynt w którym odbywały się zaloty młodej

pary Tancredi-Angelica). Nie były podobno przeznaczone dla postronnych, a wdowa po autorze objaśnia że chciał on tylko złagodzić z pomocą pióra „smutek utraty", „zneutralizować nostalgię ewokując wspomnienia związane z okresem swego dzieciństwa". Sam Tomasi di Lampedusa nadaje temu zamiarowi nieco szerszy zakres.

„Przeczytałem na nowo książkę Stendhala *Henri Brulard*. Nie czytałem jej od dalekiego roku 1922; widocznie znajdowałem się jeszcze wówczas pod wpływem „piękna bezpośredniego" i „walorów subiektywnych", gdyż pamiętam że mi się nie podobała. Dziś nie mogę odmówić słuszności tym, którzy uważają ją prawie za arcydzieło Stendhala; jest w niej bezpośredniość odczuć, szczerość, wspaniały wysiłek odsunięcia na bok późniejszych warstw wspomnień i dotarcia do dna. I jaka jasność stylu! Jaka mnogość wrażeń, tym cenniejszych im bardziej powszednich! Chciałbym spróbować tego samego. Wydaje mi się to wręcz obowiązkiem. Kiedy nadchodzi kres życia, nie wolno uchylać się od nakazu zebrania jak największej ilości odczuć jakie przepłynęły przez ten nasz organizm. Nielicznym uda się stworzyć w ten sposób arcydzieło (Rousseau, Stendhal, Proust), ale dla wszystkich powinno stać się możliwe ocalenie przynajmniej czegoś, co bez owego nieznacznego wysiłku zginęłoby na zawsze. Prowadzenie dziennika lub pisanie w pewnym wieku własnych pamiętników powinno być obowiązkiem „nałożonym przez państwo": materiał zebrany tak po trzech czy czterech pokoleniach miałby nieocenioną wartość: rozwiązałby może wiele problemów psychologicznych i historycznych, które nękają ludzkość. Nie ma pamiętników, choćby nawet były one dziełem ludzi tuzinkowych, które nie zawierałyby pierwszorzędnych informacji społecznych i obyczajowych. Ogromne zainteresowanie jakie budzą powieści Daniela De Foe pochodzi stąd że są niemal dziennikami, genialnymi choć apokryficznymi. Pomyślcie tylko czym byłyby prawdziwe! Wyobraźcie sobie czym byłby dziennik rajfurki paryskiej z okresu Regencji, lub wspomnienia służącego Byrona z epoki weneckiej!".

Nad „informacjami społecznymi i obyczajowymi" górują w *Miejscach mojego wczesnego dzieciństwa* martwe przedmioty.

„Kochałem nasz dom w Palermo z absolutnym oddaniem i kocham go jeszcze teraz, gdy od dwunastu lat jest tylko wspomnieniem. Na parę miesięcy przed jego zniszczeniem sypiałem w pokoju w którym się urodziłem, w odległości czterech metrów od miejsca gdzie znajdowało się łóżko mojej matki podczas porodu. I w tym domu, może w tym samym pokoju, chciałem umrzeć. Wszystkie inne domy (nieliczne zresztą poza hotelami) były dachami chroniącymi mnie od deszczu i słońca, a nie domami w archaicznym i czcigodnym tego słowa znaczeniu".

Tak zaczyna się długi, nostalgiczny przegląd „fotografii mentalnych wydobytych z archiwum pamięci" — pożółkłych, jak przystoi starym fotografiom, lecz zdumiewająco ostrych i plastycznych. Dziedzińce, portale, cieniste zakątki w ogrodach, fontanny i altanki, zakurzone saloniki, ciemne korytarze, strychy zawalone bezużytecznymi gratami, wilgotne piwnice, ściany obwieszone obrazami, sufity ze scenami mitologicznymi, ogromne szafy z bielizną dla paru pokoleń, rzeźbione skrzynie, cięż-

kie stoły i fotele, grzbiety oprawnych w skórę książek, łoża podobne do korabli, pozłacane karoce. Na przemian solidność martwej natury holenderskiej ze swoimi zagadkowymi światłocieniami zakamarków, i dziewiętnastowieczna rupieciarnia fanatycznego poczucia własności u progu rozpadu która wykarmiła wielu powieściopisarzy drugiej połowy ubiegłego i początków obecnego stulecia. Rzeczy, rzeczy, rzeczy: każda zawierająca w sobie długą historię, każda bogata w tysiączne asocjacje, każda obrośnięta śladami setek rąk które ją dotykały, każda świecąca w mroku jak zmatowiałe zwierciadło w którym przeglądały się setki twarzy, każda ukrywająca pod patyną niewidoczne litery kronik rodzinnych — śmierci i narodzin, burz i pogody, klęsk i triumfów. Gąszcz znaków z języka znanego tylko garstce wtajemniczonych. Zapewne, Robbe-Grillet i jego admiratorzy zdrętwieliby z oburzenia i obrzydzenia na widok tego panopticum sekretnych ech, tej reistycznej orgii sentymentalnej: czy nie czas obmyć wreszcie przedmioty płynami aseptycznymi, prześwietlić je do szkieletów promieniami Rentgena, oskrobać z gnijącego mięsa pamięci i wyobraźni, podciąć im korzenie tkwiące w skamieniałych pokładach czasu, pokazać że są tylko nagimi i czystymi figurami geometrycznymi? Ale czy język literatury nie stanie się wtedy również martwym i abstrakcyjnym językiem geometrii? Może nadejść chwila, że ulgą będzie ucieczka do takich pisarzy jak Tomasi di Lampedusa.

Przeczytałem z przyjemnością tomik ułożony z manuskryptów, jakie znaleziono w szufladzie księcia. Ten *outsider* literacki z Palermo, urodzony jako pisarz u progu sześćdziesiątki i dziś zza grobu sięgający jedną książką po najwyższą rangę we współczesnej prozie włoskiej, dojrzewał nieustannie w swej leniwej na pozór medytacji, w swym bezruchu podobnym do bezruchu starych chłopów sycylijskich zastygłych godzinami w milczeniu na ławeczkach przed domami, jak drzewo w roślinnej destylacji soków. Oczy zdawały się odpoczywać tylko wśród najbliższych i od lat znanych przedmiotów, a przecież dzień za dniem widziany przedtem świat i przeżyte życie układały się wolno słój po słoju w gęstą i twardą tkankę z przesączanych w ciągłym krążeniu doświadczeń, refleksji i obrazów pamięci. Nigdy może dotąd nie dane nam było uczestniczyć w tak przekonywającej lekcji poglądowej stylu jako owocu czasu. Soki życiodajne pisarza niekoniecznie muszą być obfite i różnorodne — zauważa słusznie w recenzji z *Racconti* krytyk włoski Pietro Citati. Co jest istotne to absolutna doskonałość ich przyswojenia, która prozie daje szlachetność tonu oraz krój zdania celny i nieomylny choć zdobyty w ciężkiej pracy, swobodny i o naturalnym brzmieniu choć okupiony iloma ćwiczeniami, przylegający ściśle do opisywanych rzeczy, do tego stopnia klasyczny w swej prostocie że mało kto podejrzewa jak wiele kryje się pod nią żmudnego cyzelerstwa — ,,krytyki psychologicznej i estetycznej w sensie eliminacji''. Taki styl, jeśli nie jest darem Muz, staje się

nagrodą pisarzy którzy długo obmyślają to co chcą powiedzieć, a mają zawsze do powiedzenia więcej niż potrafiłyby w pierwszej chwili udźwignąć słowa. Jest to styl bez pustych miejsc, unikający efektu i retoryki, jedyny jaki narrację powieściową czy nowelistyczną stawia na równi z poezją dzięki samej tylko inteligencji. Jedyny też, jaki w epoce „dezintegracji powieści" może jeszcze prozę beletrystyczną uratować od dwóch niebezpieczeństw: od ciążenia ku esejowi, które jest formą rezygnacji, ukrytą i za daleko posuniętą ambicją uproszczenia; i na przeciwnym biegunie — od naturalistycznego rozpasania, które konieczność rygorów intelektualnych w prozie zrywa bądź zalewem niekontrolowanego gadulstwa, bądź mętnym potokiem bełkotu i bredzenia.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

O wartościach społecznych

We wstępie do swej książki*) prof. Gross tak ją charakteryzuje: Zbiór prac, które oddaję czytelnikowi w tej niewielkiej książce, składa się ze szkiców i studiów z różnych dziedzin socjologii. Prace te pisane też były w różnym czasie. Jest jednak w tym zbiorze, mimo różnolitości, myśl wspólna, czy też wspólne zagadnienie. Teza, bodaj że każdego szkicu, dotyka zagadnień ideologii, a w szczególności wartości społecznych i ich miejsca w zmianie społecznej".

Ustęp ten dobrze wyraża cel i sens tej interesującej książki. Z wyjątkiem dwóch szkiców, złożyły się na nią prace pierwotnie pisane po angielsku i ogłaszane bądź samodzielnie, bądź też jako fragmenty większych opracowań. Rzeczy te zostały obecnie zebrane razem i udostępnione polskiemu czytelnikowi.

Profesor Gross od dawna zajmuje się zagadnieniem ideologii, ich uwarunkowań i ich przeobrażeń. Sprawy te dla czytelnika polskiego w kraju są dziś szczególnie ważne. Zagadnienie ideologii i wartościowań społecznych należy do zasadniczych zagadnień marksizmu i sposób, w jaki się je ujmuje, nie od dziś jest przedmiotem kontrowersji między ortodoksyjnymi marksistami a wszelkimi rewizjonistami. W chwili obecnej w Polsce kontrowersje te są wciąż poważne. Z tego też względu dobrze się stało, że praca Grossa będzie mogła się przysłużyć tym, którzy próbują poddać rewizji skostniałe i w gruncie rzeczy zgoła niemarksistowskie formuły „ortodoksów".

W zbiorze naszego autora kluczową pozycję zajmuje pierwsza praca o nomadyzmie Arapahów, Indian rezerwatu Wielkiego Wichru, w stanie

*) Feliks Gross: *O wartościach społecznych.* Studia i szkice. Polski Instytut Naukowy w Ameryce. New York, 1961. 211 str.

Wyoming. Profesor Gross prowadził tam intensywne badania terenowe i to, co ogłosił, jest owocem tych badań.

Studia te — pisze autor — miały na celu „ustalenie, w jakim stopniu zmiana techniki wpływa na sposób myślenia, na światopogląd i system wartości... W szczególności starałem się wyjaśnić, w jakiej mierze i w jaki sposób narzędzia i maszyny, nowe „potencjalne" środki wytwarzania i komunikacji wpływają na zmianę celów społecznych, wartości, a więc na to, co Marks nazwał „nadbudową". Czy więc zmiana w technologii powoduje automatyczne i natychmiastowe zmiany w systemie wartości, w ideologii?". Nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o sprawy o kolosalnym znaczeniu zarówno teoretycznym jak i praktycznym. W każdym planowaniu społecznym moment wpływu nowej technologii na postawy i filozofie ludzkie ma znaczenie zasadnicze. Czy nowa technologia musi z konieczności prowadzić do rewolucji pojęć, jest sprawą podstawową dla wszelkiego planowania.

Gross w sposób przekonywujący wykazuje, że nowa technologia *może* wpływać na zmiany ideologiczne, ale bynajmniej *nie musi*. Aby mogło to nastąpić, musi istnieć szereg warunków, które nie muszą być związane z faktem wkroczenia na dany teren nowej technologii.

W życiu Arapahów nowa technika znalazła dla siebie wyraz w samochodzie. Otóż okazało się, że auto nie tylko nie zrewolucjonizowało świata wartości Arapahów, ale że zostało do tego świata przystosowane, w jego obręb włączone, że stara filozofia podporządkowała sobie nową technologię i wykorzystała ją dla swych celów. Indianin Arapaho nie zmienił pod wpływem auta i innych inowacji technologicznych ani swego systemu społecznego i ekonomicznego ani swych podstawowych instytucji, jakkolwiek zaczął powszechnie korzystać z nowych środków technicznych. Jest nadal koczownikiem i myśliwcem, posługując się autem jako środkiem wędrowania i udawania się na wyprawy myśliwskie.

Wyniki badań, prowadzonych wśród Arapahów, Gross wykorzystał w różnych innych dziedzinach swych studiów nad życiem społecznym. W sumie otrzymaliśmy pracę, która czytelnikowi powinna dostarczyć obfitego materiału dla przemyśleń.

Z wyjątkiem dwóch prac, które były przez autora pisane po polsku, wszystkie inne studia są przekładami z angielskiego. Niestety autor nie miał szczęścia do tłumaczy. Przekłady są sztywne, często niedbałe, bardzo często zaciemniające myśl autora. Jest to z wielką krzywdą dla całości pracy. A do tego i korekta książki jest przygnębiająco niestaranna. Ilość błędów drukarskich jest zaiste zdumiewająca. A chodzi tu przecież o książkę ważną, o książkę, która ma być czytana w kraju. Książka taka zasługiwałaby na znacznie większą staranność i od strony językowej i od drukarskiej.

Aleksander HERTZ

Trzy książki o Kanadzie

Ukazanie się w przeciągu jednego roku trzech książek poświęconych opisowi Kanady (1) świadczy o dużym zainteresowaniu czytelników w Polsce warunkami, panującymi w kraju ,,klonowego liścia''. O zainteresowaniu tym świadczą również stosunkowo liczne reportaże z Kanady pojawiające się na łamach tygodników krajowych; bawi w tej chwili w Kanadzie A. Fiedler, gromadząc materiały do nowej książki o tym kraju, a wszędobylski Olgierd Budrewicz poświęcił Kanadzie dwa rozdziały w swoim *Lądzie czterech czasów* ogłoszonym niedawno w Warszawie.

Osobiście miałem możność, przebywając w Polsce latem 1960 r., natrafiać na każdym kroku na dowody żywego zainteresowania się Kanadą i powszechnej życzliwości do tego kraju, mimo że sprawa zwrotu Skarbów Wawelskich nie była jeszcze załatwiona pomyślnie. Kanada tradycyjnie cieszy się w Polsce dobrą opinią, a obraz tego kraju wyczarowany przed ćwierćwieczem na kartach fiedlerowskiej *Kanady pachnącej żywicą* uchodzi nadal w oczach wielu rodaków za wierne przedstawienie kanadyjskiej rzeczywistości. O tym, że Kanada to nie tylko żywiczne lasy, tereny łowieckie i wody pełne ryb, ale kraj w którym toczy się ciężka walka o byt i w którym niełatwo przychodzi się aklimatyzować nowoprzybyłym, przekonali się jednak Polacy emigrujący w ostatnich latach, sprowadzani tutaj przez krewnych. Ich utyskiwania i żale, wypływające często ze zbyt dosłownego interpretowania wrażeń wyniesionych przez Fiedlera, znajdywały jeszcze bardzo niedawno głośne echa w prasie polonijnej. Czytelnikom w kraju, zwłaszcza tym, którzy zastanawiają się nad możliwościami osiedlenia się w Kanadzie, brakło do niedawna dostępnych w języku polskim źródeł, informujących obiektywnie o północno-amerykańskim dominium, o którym wiedzą, że żyją w nim dostatnio tysiące ich rodaków. Książka Jarochowskiej jest pierwszą próbą dostarczenia takich informacji, opartą nie na osobistych spostrzeżeniach autorki, ale na studiach i lekturze dzieł pisanych przez innych i na oficjalnych wydawnictwach rządu kanadyjskiego.

(1) Wydżga, Tomasz *Na ścieżkach Kanady*. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1961. Str. 194, ilustr.

Jarochowska, Maria Anna. *Kanada — kraj i ludzie*. Poznań Państw. Wydawnictwo Naukowe, 1961. Str. 200, ilustr. (Wydawnictwa popularno-naukowe z zakresu nauk o ziemi Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk, nr 4).

Krzeska, Irena. *Kanada pachnąca medycyną*. Warszawa, Państw. Zakład Wydawnictw Lekarskich, 1961. Str. 166, ilustr.

Niestety, jak wykazuje bibliografia dołączona do książki Jarochowskiej, autorka nie dysponowała wystarczająco reprezentatywnym materiałem źródłowym dotyczącym Kanady i jej problemów. Nie ze swej winy, tylko z tej przyczyny, że biblioteki i zakłady naukowe w Polsce nie posiadają podstawowej literatury przedmiotu, zwłaszcza powojennych wydawnictw zachodnich. Kiedy zwiedzałem wielkie biblioteki polskie tłumaczono mi, że ograniczenia dolarowe na zakup drogich książek zagranicznych, zwłaszcza w dziale nauk humanistycznych, są powodem rażących braków w księgozbiorach krajowych. Inną przyczyną jest brak współpracy polsko-kanadyjskiej w zakresie regularnej wymiany wydawnictw naukowych. Tutaj, jak mogłem stwierdzić, winę ponoszą raczej czynniki kanadyjskie niż polskie. Wyłączną wszakże winą czynników polskich jest ciągle jeszcze tolerowany w kraju zwyczaj ,,konfiskowania'' książek nadsyłanych z zagranicy, nawet tych, które są adresowane do instytucji naukowych i bibliotek publicznych, a pochodzą od zagranicznych placówek naukowych.

Główną wadą opracowania Jarochowskiej jest ograniczenie treści książki do wybranych działów tematyki kanadyjskiej, niezgodnie z bardzo inkluzywnym tytułem książki, który zapowiada rzecz poświęconą tak krajowi, jak i ludziom kraj ten zamieszkującym. Być może że włączenie monografii do serii wydawnictw z zakresu nauk o ziemi było przyczyną ograniczenia treści książki do wykładu geografii, geologii, fizjografii, flory i fauny, bogactw naturalnych i rozwoju najbardziej typowych przejawów życia gospodarczego kraju. Nie ma w książce historii Kanady, bez znajomości której nie sposób zrozumieć rzeczywistości dwujęzycznego dominium. Pominięto również ustrój kraju, jego administrację, zagadnienia społeczne, stosunki populacyjne, życie kulturalne, szkolnictwo i sztukę. Zagadnienia jakimi autorka się zajęła przedstawione są obiektywnie, poprawnie, ale co kroku napotyka się na dane oparte na przestarzałych opracowaniach statystycznych. Całość robi wrażenie rzeczy napisanej wcześniej niż wskazywałaby data ogłoszenia książki, do której, w miarę zdobywania nowszych materiałów, autorka wprowadzała pospieszne uzupełnienia. Tak np. pominięto omówienie pierwszorzędnej dla życia Kanady roli drogi wodnej św. Wawrzyńca, chociaż mapka tej drogi została do tekstu wprowadzona. Mimo iż zagadnienia ludnościowe kraju zostały sprowadzone do kilku stronic zasadniczych wiadomości demograficznych, — emigrantom polskim w Kanadzie poświęciła autorka osobny rozdział. Nie należy on do najlepszych części opracowania. Tutaj, więcej może niż w innych działach książki, brakło autorce materiałów źródłowych. Te jakimi dysponowała nie były pozbawione nieścisłości i wzajemnych sprzeczności; zostały one przez autorkę w książce powtórzone.

O ile mi wiadomo, *Kanada — kraj i ludzie* stanowi pierwszą próbę popularnej monografii o Kanadzie; autorka nadal pracuje nad tematem, a ogłoszenie gruntowniejszej i obszerniejszej książ-

ki ma poprzedzić przyjazd p. Jarochowskiej do Kanady. Nie wątpimy, że lepsze wykorzystanie źródeł dostępnych w Kanadzie, w połączeniu z osobistą obserwacją życia kraju, pozwoli autorce na przygotowanie pełniejszego i dojrzalszego dzieła o Kanadzie.

Ponad 30% zawartości omawianej pracy stanowią ilustracje: fotografie, mapy i wykresy. Graficznie książkę wydano starannie; niestety, nie wszystkie egzemplarze przeznaczone na rynek robią korzystne wrażenie. Nieszczęsne brakoróbstwo spowodowało, że jeden z dwu egzemplarzy jakie nadesłano mi z Polski jest nieczytelny z powodu niewłaściwego złożenia i zszycia arkuszy. Obu egzemplarzom towarzyszy niemal tradycyjny już dla wydawnictw krajowych arkusik z erratami, — świadectwo ciągle jeszcze niechlujnej roboty korektorskiej.

Dwie dalsze książki o Kanadzie, z których pierwsza wyprzedziła ogłoszenie pracy Jarochowskiej (książka Wydżgi) a druga wyszła z druku w połowie br. stanowią opis wrażeń Polaków, którzy po raz pierwszy zetknęli się z Kanadą. Jedna z tych osób, Tomasz Wydżga, imigrant powojenny, który przybył do Kanady z grupą kombatantów, uchodźców politycznych, daje opis ciężkiej pracy fizycznej w lasach i na fermach Kanady, do jakiej zobowiązał go kontrakt, na podstawie którego Kanada zezwoliła na imigrację zdemobilizowanych żołnierzy polskich. Autorem drugiej książki, *Kanady pachnącej medycyną,* jest lekarka z Warszawy, która w jednym ze szpitali montrealskich odbyła jednoroczny staż w zakresie pediatrii na warunkach międzynarodowej wymiany studentów i lekarzy. A zatem dwa różne punkty widzenia — z jednej strony spojrzenie imigranta, rozpoczynającego normalny proces adaptacji do warunków kraju, który ma się stać jego drugą ojczyzną — a z drugiej strony obserwacje cudzoziemki, niemal turystki, która wie, że po roku pobytu w obcym kraju, wzbogacona doświadczeniami w zakresie pracy zawodowej, wróci do ojczyzny na swoje dawne stanowisko. Autorem pierwszej książki jest b. oficer, człowiek praktycznie rzecz biorąc bez zawodu, który powojennej Polski nie znał i dobrowolnie skazał się na niezwykle trudne warunki osadnictwa w kraju, gdzie musiał rozpoczynać od siekiery i łopaty. Drugą książkę pisała Polka wykształcona już w Polsce ludowej, zadowolona z pracy w swojej specjalności, zaproszona do Kanady na całkiem odmiennych warunkach w pełni kwalifikowanej lekarki, która zdobywszy zagranicą dalszą specjalizację będzie mogła ją wykorzystać w normalnych warunkach otoczenia do którego przywykła od dzieciństwa.

Obie książki są bardzo interesujące i dają wszechstronny przekrój życia kanadyjskiego, tak od dołu, od strony ludzi pracy fizycznej, drwali leśnych, traperów i robotników miejskich, jak i od góry, — od strony kanadyjskiej inteligencji zawodowej. Pożyteczna lektura dla wszystkich, którzy ciągle widzą w Kanadzie kraj łatwego życia, gdzie dolary leżą na ulicach. Obie pisane

bardzo obiektywnie, i w ostatecznym wyniku pozytywnie oceniające rzeczywistość kanadyjską.

Na ścieżkach Kanady T. Wydżgi stanowi pisany bezpretensjonalnie pamiętnik pierwszych lat pobytu w Kanadzie (1948-1952) wiernie oddający atmosferę kraju, przekonywująco przedstawiający doświadczenia imigranta i sumiennie notujący dodatnie i ujemne strony życia nowego terenu osiedlenia. Autor umie bystro dostrzegać, a jego wrażliwość na piękno przyrody, w połączeniu z darem łatwego pisania, przydaje wspomnieniom wartości literackiej. Książka nie ma żadnej podbudowy ideologicznej, autor unika uogólnień i teoretyzowania i nie wiąże opisywanych faktów z aktualną sytuacją kraju w jakiej zastał go w chwili przyjazdu. Takie ograniczenie się do rejestracji widzianych rzeczy i własnych przeżyć powoduje że opowiadanie autora może robić wrażenie relacji zawieszonej w próżni. Nie było widocznie zamiarem Wydżgi dawanie czytelnikowi ogólnego obrazu kraju, w którym się znalazł i tłumaczenie pryncypiów odpowiedzialnych za taki czy inny układ stosunków w jakim przyszło autorowi działać. Drobne nieścisłości, głównie przy tłumaczeniu angielskich nazw instytucji, czy przy referowaniu pewnych faktów z przeszłości kanadyjskiego Zachodu, nie umniejszają wartości książki i nie rzucają cienia na jej autentyzm.

Podobne drobne potknięcia, dostrzegalne dla czytelnika, który dłużej niż autorka bawił w Kanadzie, spotyka się również w książce dr Ireny Krzeskiej. Autorka *Kanady pachnącej medycyną* góruje nad Wydżgą talentem literackim, wnikliwością pisarską i zakresem zainteresowań. Tytuł jej książki, będący parafrazą fiedlerowskiego tytułu, nie całkowicie odpowiada treści, ponieważ autorka nie ograniczyła się do opisu świata lekarskiego w Kanadzie, ale dała znacznie szerszy obraz ludzi i spraw z którymi zetknęła się w okresie swojej jednorocznej praktyki szpitalnej w Kanadzie (1958-1959). Książkę czyta się ze wzrastającym zainteresowaniem, jak dobrą powieść. Liczne dialogi umiejętnie wplecione w kanwę opowiadania, dowcip i ironia, spory zasób pasji włożonej w próby rozgryzienia zagadek przed którymi co krok staje Europejczyk na gruncie amerykańskim, podnoszą wartość książki. Autorkę interesuje przede wszystkim człowiek, Kanadyjczyk, czy Amerykanin, oschły, małomówny, zapracowany i w ciągłej pogoni za dolarem. Prymitywizm życia towarzyskiego, pozorny brak ogłady, prozaiczność zainteresowań, zmaterializowanie gustów, zmechanizowanie życia codziennego — oto co razi autorkę u wstępu jej kariery kanadyjskiej. Boryka się z sobą, chcąc przełamać nawyki przywiezione z Europy i walczy z ludźmi usiłując przekonać ich że postępują niewłaściwie; przechodzi kryzys wywołany nerwowym tempem życia i zabójczo forsownym trybem pracy zawodowej, czuje się wreszcie osamotniona i liczy każdy dzień oddzielający ją od daty zakończenia praktyki i powrotu do Warszawy. Uzdolnienia zawodowe, inteligencja, wytrwałość i duże zrozumienie psycholo-

gii ludzkiej — pomagają jednak autorce uniknąć załamania. Powoli oswaja się z rzeczywistością Nowego Świata, zaczyna rozumieć motywy zachowania się swoich kolegów i przełożonych, zaprzyjaźnia się z nimi, przestaje się czuć samotna, a jej pogląd na Kanadę, Amerykę, tamtejsze szpitalnictwo i zawód lekarza ulega stopniowo ewolucji. Ostatecznie przezwycięża zniechęcenie i doprowadza do pomyślnego zakończenia praktyki, po czym wraca do Polski pogodzona z Kanadą.

Książka Krzeskiej należy do tych, które wzbudziłyby zainteresowanie w Kanadzie, gdyby zostały udostępnione w tłumaczeniu na język francuski albo angielski. Jestem przekonany, że gdyby istniały jej dobre przekłady, znalazłby się w Kanadzie nakładca gotów do ich wydania. Społeczeństwo kanadyjskie, coraz bardziej świadome swej odrębności kulturalnej — zaczyna się interesować tym jak widzą je inni. Inteligentne spojrzenie polskiej lekarki znalazłoby uznanie w opinii czytelnika kanadyjskiego i amerykańskiego.

,,*Kanadę pachnącą medycyną* wydano w szacie graficznej bardzo skromnej. Dobre ilustracje A. Wejcherta zyskałyby na prezentacji gdyby książkę wydano na lepszym papierze, przy użyciu lepszego druku i w innym formacie.

Imponujący ruch wydawniczy w Polsce okresu kilku lat ostatnich znamionowała pewna jednostronność przejawiająca się w etnocentryzmie selekcji publikowanego materiału. Poza książkami poświęconymi odległej egzotyce i opisami ,,zaprzyjaźnionych krajów demokracji ludowej'', mało było na rynku pozycji omawiających problematykę krajów obcych, zwłaszcza demokracji zachodnich. Ogłoszenie trzech omówionych tutaj książek świadczyłoby o korzystnej zmianie w polityce wydawniczej Warszawy. Zmianę tę witamy z zadowoleniem.

Wiktor TUREK

Polski tomista

Zbiór studiów Stefana Świeżawskiego *Rozum i tajemnica* (1) ma sens podwójny: jeden zamknięty w okładkach tej książki, drugi wychodzący poza ich obręb. Ten drugi jest może ważniejszy od pierwszego. Zwraca uwagę na postawę myślową u nas dosyć odosobnioną, wprowadza w szersze krążenie wysiłek filozofa średniej generacji, który dotąd pozostawał w cieniu.

---

(1) Stefan Świeżawski: *Rozum i tajemnica*. Wydawnictwo ,,Znak'', Kraków 1960. Str. 386.

Świeżawski jest profesorem historii filozofii w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ale przedmiot jego szczególnego zainteresowania stanowi średniowieczna filozofia chrześcijańska a w jej obrębie tomizm, to znaczy wielka synteza filozoficzna zawarta w dziele, głównie w dwu ,,summach'', św. Tomasza z Akwinu, uzupełniana lub upraszczana, przeżywająca okresy zaniedbania i okresy renesansu od chwili narodzin w XIII wieku do dzisiaj.

W tym swoim zainteresowaniu tworzy Świeżawski polski odpowiednik dwóch indywidualności o europejskim formacie: Etienne Gilsona i Jacques Maritaina (choć miał nauczycieli i poprzedników w Polsce, jak X. Konstanty Michalski czy O. Jacek Woroniecki). Gilson, profesor Collège de France i członek Akademii Francuskiej, jest przede wszystkim historykiem filozofii średniowiecznej, chyba najwyższym autorytetem w tym zakresie, ale zakres jego zainteresowań sięga nawet... malarstwa abstrakcyjnego. Maritain, świetny pisarz, żarliwy mówca, zdobył sobie czołowe stanowisko jako interpretator, kontynuator filozofii Tomasza, twórca ,,neotomizmu'', choć on sam woli mówić o ,,paleotomizmie'', to jest o powrocie do pierwotnej, czystej nauki tomistycznej, a nie o jej odnawianiu i unowocześnianiu. Świeżawski, po trochu uczeń Gilsona i Maritaina, jest jednym i drugim: historykiem myśli filozoficznej i samodzielnym, twórczym myślicielem wyrosłym z gruntu tomistycztycznego.

Wśród jego prac historycznych, francuskich studiów o Dunsie Szkocie i Janie z Głogowa, polskich jak rozprawa o Robercie Grossteste, biskupie Lincolnu, średniowiecznym filozofie przyrody — na czoło wysuwa się przekład Tomaszowego ,,Traktatu o człowieku''. Określenie przekład w tym przypadku tylko z daleka przystaje do rzeczy. Jest to przekład rozumowany — dokonanie monumentalne, jedno z najbardziej imponujących w ostatnim dziesięcioleciu.

Na tę olbrzymią księgę, liczącą w sumie 900 stron druku, składa się tekst polski i oryginalny łaciński 15 kwestii czyli jakbyśmy dziś niedokładnie powiedzieli rozdziałów ,,Summy teologicznej''. Każda kwestia ma osobny, obszerny wstęp, wszystkim towarzyszy ponad 200 objaśnień i wielki aparat erudycyjny. Składają się nań: słownik łacińsko-polski i polsko-łaciński terminów filozoficznych, trzy skorowidze, literatura dotycząca każdej kwestii, analiza treści całej ,,Summy'', której mały ale podstawowy człon stanowi ,,Traktat o człowieku'' (całość, zresztą nieskończona, obejmuje 119 kwestii), wyjaśnienie metody scholastycznej ułatwiające orientowanie się w tej metodzie.

Rozumowany przekład ,,Traktatu'' wyprzedziło u nas raczej nagie i niezbyt dobre tłumaczenie 49 pierwszych kwestii ,,Summy'', wydane w r. 1927. Dokonanie Świeżawskiego, dzieło kilkunastu lat pracy, pomnik miłości, wiedzy, nieposzlakowanej precyzji jest godzien stanąć obok najlepszych tłumaczeń ,,Summy'' na języki europejskie, a ściślej mówiąc nie ma w nich odpo-

wiednika. O rzeczywiście gigantycznych wymiarach tej pracy daje wyobrażenie następująca kalkulacja: gdyby się chciało udostępnić całą ,,Summę'' w podobny sposób jak to zrobił Swieżawski z jej częścią, trzeba by wielotomowego dzieła liczącego około 8.000 stron druku (2).

Polski tomista ma w dorobku kilka prac związanych z Akwinatą (np. wielka książka ,,Byt, zagadnienia metafizyki tomistycznej'', 1948 i rozprawa w ,,Przeglądzie Filozoficznym'' z tego roku pt. ,,Centralne zagadnienie tomistycznej nauki o duszy''). Teraz wydał zbiór 18 studiów, odczytów, esejów, artykułów drobniejszych o charakterze naukowym lub półpopularnym pt. ,,Rozum i tajemnica'' (osobiście żałuję, że pozostawił poza jego obrębem młodzieńcze, przedwojenne prace: ,,Boethius, ostatni Rzymianin'' i ,,Beda Venerabilis'', jeśli znalazły się w nim wspomnienia pośmiertne a nawet toast na uroczystości doktoryzacyjnej). Zbiór obejmujący prace z dwu dziesiątków lat ma układ nie chronologiczny, ale rzeczowy.

Jeśli by iść po linii tu przyjętej, na przód wysuwa się drugi dział zatytułowany: ,,Dlaczego tomizm?''. Wśród pięciu pozycji tworzących tę grupę najżywiej przemawia ostatnia: ,,O niektórych przyczynach niepowodzeń tomizmu''. Jako profan filozoficzny radziłbym profanom, bo do nich przede wszystkim zwraca się książka Świeżawskiego, zacząć jej lekturę od tych uwag. Entuzjasta, wyznawca, człowiek spoufalony z nauką tomistyczną a jednocześnie trzeźwy i realistyczny przeprowadza w nich wymowną, przekonywującą apologię tej nauki. Dla kogoś kto wie mało o zjawisku albo pozostaje w opozycji nieproporcjonalnej do jego znajomości, to bezstronne, rzeczowe studium będzie wielką pomocą. Pozwoli zająć właściwy stosunek wobec tomizmu, ułatwi obcowanie z polskim tomistą.

Jego ostatnia książka nie jest oczywiście lekturą wypoczynkową lub rozrywkową, lekturą do pociągu lub do poduszki. Już sama forma stawia niejaki opór. Świeżawski wychowany na tradycji łacińskiej, przebywający w kręgu łaciny na co dzień, przywykły do ciągłego obcowania z najtrudniejszymi tekstami filozoficznymi w tym języku, pisze polszczyzną jakby szeroko gałęzistą. Prawie nie posługuje się zdaniem nierozwiniętym. Myśl naturalnie układa mu się w długie, rozbudowane okresy, w konstrukcje kunsztowne, dalekie od telegraficzności, filmowej skrótowości, użytkowości, łatwostrawności stylu, którym myślimy, piszemy i żyjemy. Uznając ten tok dziś trochę egzotyczny i staroświecki ale organicznie zrośnięty z myślą i osobowością, należałoby w takiej laickiej książce doradzić pewne ułatwienia czysto techniczne, nienaruszające istoty, choćby bardziej przejrzyste rozplanowanie tekstu, choćby większą ilość tzw. ,,akapitów''.

(2) Niedawno Ośrodek Wydawniczy ,,Veritas'', działający w Londynie, zapowiedział popularne wydanie przekładu ,,Summy'' jako dzieło zbiorowe, rozbite na niewielkie całostki i zaplanowane na kilka lat.

Przeciwną rolę, niż styl, szczęśliwie równoważącą jego właściwości, odgrywa w ,,Rozumie i tajemnicy'' jakby refrenowość, powrotność motywów myślowych. Powstała ona przypadkiem przez to, że zebrano razem prace pochodzące z długiego czasu, ale w książce tego rodzaju jest to walorem dodatnim. Wyjaśnia umacnia w umyśle czytelnika zasadnicze tezy autora, jego umiłowane przeświadczenia. Przez to nawiązuje między autorem a czytelnikiem więź intymności.

Swieżawski porusza się swobodnie po całym obszarze filozofii europejskiej, w każdym okresie jest u siebie w domu, choć dwa studia: jedno ogólne o kulturze umysłowej, drugie o Baconie z Werulamu, średniowiecznym inicjatorze nauki doświadczalnej, pokazują, że — jak jego mistrzowi Gilsonowi — szczególnie bliskie jest mu średniowiecze.

Ale to nie wszystko. Cały rozwój filozofii uważa Swieżawski za całość żywą, dynamiczną, rozwijającą się, przeniknietą dramatycznym napięciem. ,,Jest — według jego słów — jakaś całą ludzkość obejmująca, na wieki i tysiąclecia zakrojona *philosopia perennis*''. ,,Systemy filozoficzne nie starzeją się, lecz zwalczają a kierunki zwalczające się, każdy w swoim łonie, rozwijają się wciąż i uzupełniają''.

Tu jest źródło tomizmu Swieżawskiego. Uważa go on za ,,wkład zasadniczy w kulturę umysłową ludzkości, etap o wartości absolutnej, podobnie jak każda zdobycz prawdziwa na gruncie rzeczywistej filozofii''. Wśród wielu uzasadnień takiego spojrzenia na filozofię tomistyczną i takiej jej oceny najczęściej wraca, najjaśniej, najdobitniej wybija się koncepcja człowieka, filozoficzna antropologia stworzona przez autora ,,Summy''. To tłumaczy ogrom wysiłku włożony w opracowanie ,,Traktatu o człowieku''. Polski tłumacz i interpretator przypisuje mu ,,rolę zasadniczą nie tylko w systemie św. Tomasza ale w każdej poważnej koncepcji filozoficznej; mamy tu do czynienia z herkulesowymi drogami rozstajnymi wszelkiego filozofowania''.

Swieżawski — znowu podobnie jak Gilson, który zanim się stał mediewistą, był kartezjanistą, jeszcze przed pierwszą wojną światową ogłaszał prace o Kartezjuszu, później wzorowo opracował ,,Rozprawę o metodzie'' — jest współautorem polskiego przekładu ,,Medytacji o pierwszej filozofii'' i współkomentatorem tego dzieła Kartezjusza. Ma też w swoim dorobku pracę o platońskim pojmowaniu człowieka przez chrześcijańskie średniowiecze i inną o ,,Metafizyce'' Arystotelesa. To pozwala mu z wyjątkową wyrazistością przeciwstawić dwie filozoficzne teorie człowieka: platońską i kartezjańską z jednej strony, arystotelesowską i tomistyczną z drugiej. Jedna widzi człowieka rozdwojonego, umieszcza duszę w więzieniu czy grobie ciała lub sprzęga duszę i ciało jak anioła ze zwierzęciem. Druga pojmuje człowieka jako jedność, jako ,,psychofizyczny monolit'', nazywa go — *homo simplex*.

Wynika z tego frapujący wniosek, że mistrz paryskiej szkoły scholastycznej, Tomasz z Akwinu był w większej mierze

humanistą, niż „ojciec nowożytnej filozofii" Kartezjusz. W ogóle książka Swieżawskiego choć nie jest systematycznym wykładem filozofii tomistycznej wprowadza w jej zasadnicze wiązania, ukazuje ją w głębokiej perspektywie historycznej, wiąże z dniem dzisiejszym. Jest w tym przedstawieniu wiele ujęć niespodzianych, jak „obrona godności materii w imię ducha". „Wbrew oczekiwaniom umysłów powierzchownych — czytamy — fundamentem najoficjalniejszego systemu katolickiego poglądu na świat (tzn. tomizmu) jest nie co innego, jak zmysłowo dana oczywistość rzeczy materialnych".

Wielokrotnie i żarliwie staje Swieżawski w obronie metafizyki, ogólnej nauki o bycie, „filozofii pierwszej, od której umysowość europejska odeszła parę wieków temu". Określa ją jako „najwyższą i powszechną teorię otaczającej nas rzeczywistości", „najwyższą dostępną naszemu pozostawionemu własnym siłom rozumowi wiedzą o świecie i człowieku". Przeciwstawia ją „filozofiom myśli" i „filozofiom życia". Uzasadnia rację jej istnienia poza naukami szczegółowymi. Na tej linii dowodzeń najbardziej uderzające jest dwukrotne usprawiedliwienie egzystencjalizmu: „Egzystencjalizm w sposób skrajny wyraża jedną z najgłębszych prawd, że powołaniem najwyższym filozofii jest poznawanie bytu, w pełni realnego, naprawdę istniejącego, a nie tylko możliwego".

Cały wstępny dział książki jest poświęcony stosunkowi rozumu do wiary. Swieżawski, wierzący katolik i czynny filozof, dotyka tutaj jednego z najtrudniejszych zagadnień. Odrzuca zasadniczą sprzeczność między wiarą a wiedzą rozumową, między tajemnicą religijną a intelektem. Wraca do starej zasady chrześcijańskiej: *fides quaerens intellectum* — wiara domagająca się intelektu. Interesująco oświetla stosunek filozofii do teologii. Tomizm jest tu znowu metą myślową jako wielka synteza teologiczna dokonana przez filozofa o określonym poglądzie na świat, „synteza wiary i spekulatywnego wysiłku intelektualnego". Ale jeszcze bardziej zastanawiające jest zestawienie średniowiecznej formuły Piotra Damianiego: „filozofia-służka teologii" ze stwierdzeniem, Husserla, że filozof musi być „religijnie ześrodkowany".

W toku całej książki Swieżawski deklaruje się jako antyaugustynista co mu nie przeszkadza nazywać św. Augustyna „jednym z największych myślicieli świata i najgłębszych umysłów chrześcijaństwa". Szczególnie obca polskiemu tomiście jest polska odmiana augustynizmu — sentymentalna, powierzchowna, pełna niekonsekwencji i sprzeczności. „Nasze ustosunkowanie się do filozofii, a do metafizyki w szczególności, jest o wiele bardziej uczuciowe niż rozumowe, z większą usilnością szuka się wzniosłości i namaszczenia, niż prawdziwości czyli prostej zgodności naszych koncepcji z tym co jest". Podobnie surowo, niemal słowami Brzozowskiego, osądza Swieżawski właściwy nam, upowszechniony u nas typ religijności.

Można w ,,Rozumie i tajemnicy'' stwierdzić jakby dwa aspekty: jest to książka filozoficzna i książka wyznawcza. Przez pierwszy z tych aspektów wpisuje się ona w krąg tomizmu, który dziś jest znowu zjawiskiem o najszerszym zasięgu. Drugi czyni z niej znamienne wydarzenie lokalne. Warto je określić bliżej.

Bogata i pełna wewnętrznego napięcia, wrośnięta w odległą tradycję i otwarta szeroko na współczesność, świadoma rezerw duchowych i wyczulona na kryzys dzisiejszej kultury, jednocześnie stanowiąca akt wiary religijnej i akt rozumowego zmagania się z życiem — książka Swieżawskiego wraz z innymi usiłowaniami otwiera może nowy rozdział w historii naszego katolicyzmu. Jest to katolicyzm oświecony, uzbrojony w sprawny intelekt, intelektualnie zdobywczy.

Tymon TERLECKI

„Stary Rapacki" i „Zimajerka"

Znowu dwa cienie aktorskie wynurzyły się na światło, dwa puste lub prawie puste imiona wypełniły się konkretną treścią. Seria ,,Monografie czołowych artystów sceny polskiej'', licząca już blisko dwadzieścia tomów, wzbogaciła się o nowe, cenne pozycje: ,,Wincenty Rapacki'' Ryszarda Górskiego (1) i ,,Adolfina Zimajer'' Stanisława Dąbrowskiego (2).

Sprzęgnięcie tych nazwisk dokonało się przypadkiem, ale ma pewne uzasadnienie. Jest mniej ważne, że dwoje aktorów łączył stosunek powinowactwa, na które polszczyzna nie ma dogodnego określenia: syn Rapackiego (także Wincenty, aktor i pisarz) i córka Zimajerowej (Helena, również aktorka) byli małżeństwem. Ważniejsze jest, że oboje naznaczyli swoim działaniem drugą połowę XIX wieku, że w tej błogosławionej epoce, obfitującej w talenty aktorskie, jak żadna inna epoka chyba w żadnym innym kraju, świecili na antypodach światłami pierwszej wielkości. ,,Stary Rapacki'' — jak go niemal całe życie nazywano — występował w warszawskich ,,Rozmaitościach'' na równej stopnie ze słynnym Żółkowskim i Królikowskim, a potem odziedziczył ich role. Zimajerowa lub — częściej, poufale — ,,Zimajerka'', związana przez męża z Modrzejewską, jak ona zawdzięczająca mu pchnięcie na drogę sceniczną, podobnie jak ona wy-

(1) Ryszard Górski: *Wincenty Rapacki,* P.I.W., Warszawa 1960. Str. 102, ilustracje.

(2) Stanisław Dąbrowski: *Adolfina Zimajer,* P.I.W., Warszawa 1960. Str 104, ilustracje.

szła swoją sztuką poza polskie opłotki, podbiła nią sceny zagraniczne.

Z dwóch nazwisk teraz na nowo skonkretyzowanych Rapacki nasuwał dotąd trochę luźnych skojarzeń. Ale z bibliografii zestawionej przez Górskiego wynika naocznie, że składają się na nią tylko artykuły, że w ciągu 80 z górą lat życia Rapackiego, w ciągu 60 lat działania na scenie, w ciągu blisko 40 lat, dzielących nas od jego śmierci nie ukazał się o nim żaden druk zwarty. Ten zarys monograficzny jest pierwszą książką o Rapackim.

Zapowiada ona drugą, tzw. ,,almanach''. Do tej pory ukazały się dwa tomy tej oryginalnie i celowo pomyślanej kolekcji: jeden poświęcony Modrzejewskiej (1958), drugi — Żółkowskiemu-synowi (1959). Są to książki ustalające podstawowe fakty biografii, kariery artystycznej i odbioru, gromadzące budulec do konstrukcji i syntezy. W ślad za almanachem o Modrzejewskiej ukazała się jej ,,mała'', wstępna monografia pióra Józefa Szczublewskiego (1959), wchodząca w skład tej samej serii, do której należą omawiane książki. Odwrócenie naturalnej kolejności w przypadku Rapackiego jest nielogiczne, wydaje się stawianiem wozu przed końmi, ale łatwo się z tym pogodzić. Górski, jeśli nie jest współautorem zapowiedzianego almanachu, wyraźnie miał dostęp do jego kuchni. Oparł swój zarys na nowych materiałach np. nieznanych rękopisach Rapackiego, jego nieogłoszonej korespondencji z Bałuckim. Jest to już pierwszy, podobny do przypadku Modrzejewskiej i Szczublewskiego, wynik przeorania gruntu, rzucenia podwalin.

Sposobem ujęcia, składnością, rzecz o Rapackim góruje nad wcześniejszą książką Górskiego o Bolesławie Leszczyńskim. Zarys wydany obecnie ma wyraźną oś krystalizacyjną. Skupia się przede wszystkim na analizie rozwoju świadomości artystycznej, odsłania warsztat aktorski. A Rapacki była to świadomość wyjątkowo natężona, pogłębiana w ciągłym wysiłku. Warsztat Rapackiego był warsztatem nie w przenośnym, ale w dosłownym znaczeniu, bo on pierwszy w Polsce, jeden z pierwszych na świecie, komponował, budował, lepił, malował postać sceniczną jak malarz, rzeźbiarz i niemal architekt. Miał rzemieślniczą miłość tworzywa materialnego, pasję charakterystycznego szczegółu.

Jego sztuka transformacyjna, dar przeistaczania się w coraz to odmienną osobowość, niepodobną do innych, wyłączną, niepowtarzalną graniczyła z czarodziejstwem. Otwarła mu w r. 1869 wrota warszawskich scen rządowych — naszej Comédie Française czy naszego Burgtheatru — bez żadnych oporów, gdy np. Leszczyński musiał je zdobywać wielu szturmami, a niejeden znakomity aktor nie zdołał ich nigdy przekroczyć.

Górski pokazuje jak to przełomowe zamiłowanie do charakteryzacji zewnętrznej z czasem osiągnęło pełną harmonię z wewnętrznym uczuciowym przeżyciem przedstawianego charakteru. W swoich największych rolach, jak król Jan Kazimierz z ,,Mazepy'', odtwarzany w niezrównanej masce przez cztery dziesiątki

lat, jak rejent Milczek z „Zemsty", grany jeszcze w 1923 r. (na kilka miesięcy przed śmiercią), stary Rapacki osiągnął doskonałą równowagę, absolutne przystawanie duchowości i cielesności, jakby idealny stop psychofizyczny.

Nowością pracy Górskiego jest odsłonięcie, że to dążenie do prawdy życiowej nie zatrzymywało się na technice aktorskiej, ale obejmowało inscenizację i reżyserię, całe widowisko teatralne we wszystkich elementach składowych i szczegółach. Wydaje się, że tu i ówdzie monografista przecenia rewolucyjność Rapackiego jako reżysera, ale bez względu na to jaki będzie wynik bardziej szczegółowego i ostatecznego rachunku, książka wypełnia rozleglejszą treścią zaszczytny tytuł: „ojciec realizmu scenicznego w Polsce" (Grzymała-Siedlecki).

W procesie ukształtowania się osobowości artystycznej, której przysługuje takie miano, wielką rolę odegrał intelekt, kultura umysłowa, ambicje literackie. Rapacki czynnie przeciwstawiał się „talentyzmowi", zwalczał do dziś pokutujący przesąd, że aktor może być nieukiem i głupcem byle miał talent. Górski śledzi jego koneksje literackie i artystyczne z młodych lat w Krakowie i później (z Kraszewskim prowadził Rapacki systematyczną wymianę listów i przesyłał mu fotografie każdej nowej roli; korespondował z Bałuckim i rozstrzygająco zaważył na jego losach jako pisarza scenicznego). Odsłania obok warsztatu ze szminkami, perukami, które Rapacki często sam robił, rozmaitymi rodzajami zarostu, sztucznymi podbródkami i nosami, z całą alchemią charakteryzatorską — warsztat intelektualisty. Każdą rolę zwłaszcza historyczną, Rapacki wspierał na szczegółowych studiach epoki i charakteru, sięgał do źródeł, czytał pamiętniki i opracowania, poczynał sobie nie tylko jak artysta, ale również jak badacz. Był wśród aktorów twórcą typu leonardowskiego.

Wiąże się z tym oryginalna twórczość pisarska. Jako 24-letni adept sztuki aktorskiej Rapacki wystawił we Lwowie przeróbkę sceniczną „Nędzników" Wiktora Hugo. Później napisał blisko dwa dziesiątki utworów teatralnych, kilka powieści, zbiorów nowel i wspomnień. Był również historykiem teatru. Ten zakres działalności Górski uwzględnia tylko marginesowo, o tyle o ile przystaje on do linii przewodniej opracowania. Ale w tym marginesie można znaleźć jedną i drugą trafną uwagę. np. że niektóre sztuki Rapackiego (najsławniejszy „Wit Stwosz") przypominają panoramiczne malarstwo Matejki.

Odkrywczo oświetla Górski stosunek Rapackiego do warszawskich teatrów rządowych, pepiniery „gwiazd" w drugiej połowie XIX w. Rapacki, „gwiazda" pierwszej wielkości, po śmierci Żółkowskiego i Królikowskiego, po wyjeździe Modrzejewskiej do Ameryki jedyny — obok „Leszcza" (n.b. zięcia i całożyciowego antagonisty) — eksponent wielkiej tradycji, czuł się źle na „pierwszej scenie". W r. 1892 pisał do Bałuckiego: „Ten dwudziestokilkuletni pobyt tutaj był dla mnie jedną męczarnią, znosiłem go dla swej rodziny i dla mej aktorskiej kariery...".

Bez skutku próbował przełamać otaczającą go rutynę. W czasie, z którego pochodzi przytoczony list chciał objąć dyrekcję świeżo zbudowanego teatru krakowskiego porzucając wygodnictwo, anarchizm i zacofanie warszawskie, rezygnując z ciepłej emerytury (okazało się, że nie jest ona tak bezwzględnie pewna jakby można było sądzić, bo utracił ją w r. 1919 jako blisko 80-letni Matuzalem sceny polskiej i znalazł przytułek w Teatrze Polskim Szyfmana). ,,...we mnie leży talent pedagoga, ja potrafię stworzyć aktorów'' — tak uzasadniał swoją kandydaturę na dyrektora sceny krakowskiej. Jego uczniami byli Stanisława Wysocka i Zelwerowicz. Za prawdziwych kontynuatorów Rapackiego, którzy przyjęli nie tylko zdobycze w zakresie charakteryzacji, ale przede wszystkim metodę pracy nad rolą, sposób traktowania postaci Górski słusznie uważa: Kamińskiego i Solskiego, Junoszę-Stępowskiego i Bończę-Stępińskiego.

Z Adolfiną Zimajer los obszedł się jeszcze gorzej, niż z Rapackim. Do ostatnich czasów, praktycznie do książki Witolda Fillera o teatrach ogródkowych (,,Melpomena i piwo''), do świeżo ogłoszonej przez Dąbrowskiego sylwetki stanowiła ona ,,merum nomen sine re'', dźwięk bez treści. Jest to tym dziwniejsze, że zmarła dopiero na krawędzi kataklizmu, wiosną 1919 r. ,,Nikt nie zainteresował się nią dotychczas — stwierdza Dąbrowski — i nie upamiętnił 60 lat twórczości scenicznej tej siewczyni pogody, wesołości i kunsztu, artystki podziwianej przez trzy pokolenia''.

Praca Dąbrowskiego jest w jeszcze wyższym stopniu pracą pionierską, niż zarys Górskiego, choć nie sięga tak głęboko, choć nie opiera się na tak szerokiej podstawie materiałowej. Dąbrowski, senior naszych teatrologów, doskonale rozumiejący się ze średnią i młodszą, bujnie rozrodzoną i dynamiczną generacją badaczy teatru polskiego, był wyjątkowo powołany do skreślenia szkicu o ,,Zimajerce''. Dla niego nie jest ona wspomnieniem cienia, ale wspomnieniem żywej kobiety. Widział ją nie tylko u schyłku kariery artystycznej, ale prawie w samym jej rozkwicie.

Dąbrowski jest także historykiem. Umie powiązać to jedynie w swoim rodzaju zjawisko z tłem europejskim, wpisać je w szerszy kontekst. ,,Zimajerka'' wypłynęła i przez lata królowała na fali gatunku dziś właściwie przebrzmiałego lub przebrzmiewającego: operetki, małej opery, opery komicznej i antyopery. Koniec końców nie jest to byle co. Utwory tego typu komponowali Mozart i Pergolesi. Sam olimpijski Goethe napisał kilka lekkomyślnych librett. W Anglii ten typ widowiska stał się instytucją narodową dzięki spółce Gilbert and Sullivan. We Francji wystrzelił stupromienną racą Offenbacha (napisał on dokładnie 102 operetki).

Zimajerowa była w Polsce jego ,,propagatorką i krzewicielką''; ,,takiej ilości ról w jego operetkach — stwierdza Dąbrowski — nie śpiewała żadne primadonna''. Gabriellę w ,,Ży-

ciu paryskim" odtwarzała przez 48 lat, Orestesa w „Pięknej Helenie" przez 30 lat. Wnosiła do tych utworów niezrównany wdzięk i temperament, fenomenalną gibkość i ruchliwość. Mówiono o „zimajeryzmie", jej nazwiskiem nazywano popularne melodie taneczne („Polka Zimajer").

Dąbrowski przekonywująco, choć niekiedy trochę ogólnikowo, charakteryzuje świetne, ciągle doskonalone rzemiosło, ciągle wzbogacaną technikę tej z pozoru żywiołowej artystki; zdradza, że jej sprawność fizyczna była wynikiem bezustannego ćwiczenia. Cechowała ją wielka skala zainteresowań i możliwości. Zimajerowa była nie tylko najgłośniejszą u nas, „najbardziej atrakcyjną, odrębną, nowoczesną i sugestywną", divą operetki, ale także aktorką komediową i „disseuse'ą", artystką estradową. Wśród 250 ról przez nią odtwarzanych około 70, czyli jedną trzecią, stanowią role komediowe (to stwierdzenie Dąbrowskiego nie jest gołosłowne, opiera się na pierwszym, więc może niepełnym, ale imponującym pracowitością spisie ról, który zamyka książkę). Są wśród nich Helenka w „Panu Damazym" Blizińskiego, postaci fredrowskie: Matylda w „Małym człowieku do wielkich interesów", Klara w „Ślubach", Aniela „Damach i huzarach".

W zakresie „małej formy", sztuki estradowej Zimajerowa, kapitalna interpretatorka pisanych dla niej piosenek satyrycznych Barthelsa, ukazuje się jako współcześniczka twórczyni rodzaju Yvette Guilbert, jako protoplastka całego wielokształtnego ruchu, który naznaczył dwudziestolecie międzywojenne a i dzisiaj nie zdradza objawów słabnięcia.

Jeszcze nie wyczerpująco, ale po raz pierwszy w takim rozmiarze kreśli Dąbrowski zagraniczną ekspansję „Zimajerki". Obejmowała ona kraje mowy niemieckiej. Córka woźnego sądowego we Lwowie opanowała ją w sposób mistrzowski ze szczególnym uwzględnieniem gwary wiedeńskiej. W „Theater an der Wien" drugim po Paryżu królestwie śpiewnej i wesołej muzy, podziwiał „Zimajerkę" sam Franz Joseph, podobno znawca i tej gwary i tej muzy. Poza Austrią i Niemcami polska diva sięgnęła, choć na krótko, aż do Ameryki, występowała również w Rosji. W sumie jej ekspansja ma zasięg geograficzny większy, niż u Modrzejewskiej, ale nie dorównuje tamtej czasem trwania.

Jak Modrzejewską, naszą największą artystkę dramatyczną, zestawiano z Sarą Bernhardt i Eleonorą Duse, najsławniejszą primadonnę polską porównywano z bożyszczami czasu: Pepi Gallmayer i Marią Geistinger. Podobno w słynnej „Nitouche" przewyższała legendarną prawykonawczynię roli Dionizy de Flavigny — ognistą Węgierkę Ilkę Palmay.

Jeśli film nie utrwalił wyglądu, gestu, mimiki, jeśli płyta gramofonowa nie przekazała nam głosu „Zimajerki", tym większa wdzięczność należy się Dąbrowskiemu za przywołanie tego czarującego ducha. Można jego zarysowi wybaczyć, że tu i tam wpada w styl wyliczający, tu i tam ześlizguje się w ogólnik, że

zostawia wiele spraw niedopowiedzianych a nawet nieposta-wionych.

Książki o „starym Rapackim" i tak długo młodej, tak szybko zapomnianej „Zimajerce", o dwóch przeciwstawnych organizacjach aktorskich wzbogacają istotnie naszą wiedzę o teatrze polskim w drugiej połowie XIX wieku.

Tymon TERLECKI

Nadesłane nowości wydawnicze

SZTARAY (Zoltan). *Birth Control in Hungary since* 1956. Str. 22. (Odbitka z „The Review" Vol. III, No 1, ed. Imre Nagy Institute for Political Research, Bruksela, 1961).

SZTARAY (Zoltan). *Controle des naissances en Hongrie depuis* 1956. Str. 22. (Odbitka z No 1, 3-e année „d'Etudes", ed. Institut Imre Nagy des Sciences Politiques, Bruksela, 1961).

WENTZEL (Fritz). *Geographie-Geschichte — Paedagogik*. Festschrift für Walther Maas zum 9 Juni 1961. Str. 258. (Wyd. Verlag Erich Goltze K.G. Göttinger, 1961).

ASKENAZY (Szymon). *Bracia*. Str. 3-20. Odbitka z „Tek Historycznych", Londyn, T. XI, 1960-1961.

STEFFEN (Augustyn). *Słowniczek Trydencki*. Str. 221-243. (Odbitka z „Tek Historycznych", Londyn, T. XI, 1960-1961).

BÓBR-TYLINGO (Stanisław). *Do tajnej dyplomacji Napoleona III* (1863). Str. 245-255. (Odbitka z „Tek Historycznych", Londyn. T. XI, 1960-1961).

BIEGAŃSKI (Stanisław). *Uwagi o polityce PPS w pierwszej wojnie światowej*. Str. 191-215. (Odbitka z „Tek Historycznych", Londyn, T. XI, 1960-1961).

GUNTHER (Władysław). *Norwid i Klaczko o polskiej sztuce*. Str. 157-164. (Odbitka z „Tek Historycznych", Londyn, T. XI, 1960-1961).

WOJTOWICZ (Piotr) *Szlak wyprawy Rakoczego*. Str. 97-117. (Odbitka z „Tek Historycznych", Londyn, T. XI, 1960-1961).

BÓBR-TYLINGO (Stanisław). *Stany Zjednoczone A.P. a Powstanie Styczniowe*. Str. 133-156. (Odbitka z „Tek Historycznych", Londyn. T. XI, 1960-1961).

GIERGIELEWICZ (Mieczysław) *Pokusy cesarskie*. Str. 119-132. (Odbitka z „Tek Historycznych", Londyn, T. XI, 1960-1961).

Listy do Redakcji

Chicago, dnia 7 września 1961 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Trudno zrozumieć dlaczego redakcja „Kultury" informując czytelników o książce Aleksandra Hertza „Żydzi w kulturze polskiej" wybrała i umieściła na okładce sierpniowego numeru jedyne niefortunne wyrazy autora o „żydokomunie" i „drożdżach" niosących ferment i niepokój. Książka ta jest napisana ciekawie, barwnie i wyjątkowo bezstronnie. W całej książce nie występuje ani na chwilę chociażby jedna postać z „żydokomuny" albo ze środowiska owych „drożdży". Natomiast mamy tu szereg ludzi, noszących nazwiska Kronenbergów, Rotwandów, Wawelbergów i Askenazych. Słusznie przypomina nam autor o działalności Juliana Klaczki, Tuwima, Słonimskiego i tylu, tylu innych; szkoda, że zapomniał wymienić imię niezapomnianego dyrygenta Grzegorza Fitelberga. Ale nie były to żadne „drożdże" niosące ferment i niepokój, wręcz odwrotnie, były to postacie ludzi szlachetnych, uczciwych i wiele zasłużonych w dziejach kultury polskiej. Autor mógł w ogóle nie wspominać o „drożdżach", bo w każdym narodzie można znaleźć wyrzutki społeczeństwa, które nie tylko powodują ferment i niepokój, ale też szerzą cynizm, ruchy wymierzone przeciw ludzkości, nieidealizowaną pornografię, gloryfikują bandytyzm zwykły i polityczny, popierają wszelką anarchię w celu wyłącznie egoistycznym, a to właśnie, żeby na nieszczęściach ludzkich żerować.

Ze strony redakcji „Kultury" jest rzeczą już całkiem niespodziewaną — wybrać właśnie te niefortunne wyrazy, które z treścią książki nie mają nic wspólnego, jako coś w rodzaju *quintessence* wymienionego dzieła.

Z poważaniem.

Jerzy STOSIUS

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.
Dépôt légal: 4e trimestre 1961

ULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
FRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
RGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », ano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
USTRALIA : « Vistula » (Australia) **PTY Ltd.,**Daking se, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
ELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue oh-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
RAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** alpava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Franciszek a-Paprocki,** rua Martins Fontes 197, apt. 74, Sao o. Tel. : 34.18.59.			
RANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	3,50 NF	5 dol. am. 19 NF	9 dol. am 37 NF
OLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 terdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — .S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
RAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc, Holon, low Nr. 40	£. izr. 1,70	£. izr. 9,15	£ izr. 17,75
ANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., nto 3, Ont. lub c/0 **Polish Voice,** 1089 Queen St. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Ra-ski,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 29; **M. Król,** 328 Boyd Avenue, Winnipeg, Man.; **iazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., : LE 1-2491; **Olgierd Kiernowski,** 36 Bermuda Ave., nto 18., Ont.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
EKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
IEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon-tr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
ORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, ève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
WECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV kholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, nectady, N.Y. ; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew tynski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. rczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **Dziewanowski,** 41, Katherine Rd., Watertown, s.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, . Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,**2109 Robin-d Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford ace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 5 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 nphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book orting C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **rojanowski,** 124 Hellst rom Rd. East Haven, Conn.; **Sas-Babczynski,** 1819 B.W. Commonwealth Ave, mbra, Cal.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, ersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
LOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, it. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 3,50 NF